



ABC

**WYSZEDŁ
Z DOMU
I NIE WRÓCIŁ**

IWONA MEJZA

Oficyna

IWONA MEJZA

WYSZEDŁ Z DOMU
I NIE WRÓCIŁ



W maju dwa tysiące siódmego roku kamieniarz odsunął lastrykową płytę zakrywającą rodzinny grobowiec. Szykował się nam generalny remont. „Pani popatrz” – powiedział do mnie, a ja, nie zastanawiając się długo, podeszłam do krawędzi, przechyliłam się i zajrzałam do środka. Zobaczyłam nadszarpnięte czasem i wilgocią wieko dębowej trumny, w której pochowaliśmy dziadka Józefa, dostrzegłam także to, co pozostało z dziadka, i to, co mną wstrząsnęło najbardziej – skórzane chełmkowskie sandały, dziadka ulubione. Leżały sobie w pobliżu wieka trumny, jakby czas ich nie dotknął i od śmierci dziadka nie minęło szesnaście lat. Nadal mam je przed oczami.

Książkę dedykuję dziadkowi Józefowi, który na zawsze pozostanie żywy w mojej pamięci, oraz wujkowi Marianowi – nadal wydaje mi się, że słyszę, jak zamyka drzwi samochodu i, jak zawsze niespodziewanie, puka do drzwi.

Pamięć jest nieśmiertelna.

Komenda Powiatowa Policji w Oświęcimiu mieściła się w niewielkim, szarym gmachu, zbudowanym w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Nierzucający się w oczy budynek usytuowany został przy wąskiej, bocznej uliczce. Jeżeli ktoś nie wiedział, gdzie to jest, nie sprawdził na mapie, nie dopytał po drodze, to miał trudności z jej znalezieniem. Niejednemu już zdążyły poplątać się okoliczne uliczki i zamiast do komendy trafiał do sklepu z artykułami spożywczymi, przedszkola, szkoły albo apteki. Dzięki takiemu usytuowaniu komendy policjanci mieli względny spokój i nie musieli użerać się non stop z przypadkami beznadziejnymi. Wystarczały im te przypadki, które już zdążyły poznać drogę. Zaliczał się do nich niejaki Sebastian Kloc, nałogowy alkoholik, z powołania prowincjonalny bon vivant i poeta, który namiętnie recytował swoje wiersze dyżurnemu. Ostatnio trochę odpuścił. Za namową aspiranta Maciejaka postanowił na serio zająć się poezją i może coś opublikować. Pracował nad swymi dziełami, wytrwale cyzelując je literka po literce. Obiecał, że w razie sukcesu literackiego wszystkie wiersze zebrane w tomiku zadedykuje pracownikom ulubionej komendy. Sebastianowi Klocowi w poetyckich zmaganiach wytrwale kibicował komisarz Sławomir Ożegalski, zamiłowany kolekcjoner książek i propagator wiedzy wszelakiej.

Komisarz Ożegalski należał do najstarszych i najbardziej doświadczonych pracowników oświęcimskiej komendy. Niejedno w życiu widział i niejedno przeżył. Z racji stanowiska, doświadczenia i odnoszonych sukcesów zajmował najprzestronniejszy i jednocześnie najładniejszy pokój, pomalowany optymistycznie na zielono. Żeby mu się nie nudziło i żeby się cenna powierzchnia nie marnowała, komendant przydzielił mu do towarzystwa dwóch współpracowników. Byli to: starszy aspirant Zygmunt Maciejak i aspirant Jerzy Rokicki. Aspiranci szybko zasiedlili powierzchnię pokoju, podzielili się biurkami i poprzynosili poupychane po wszystkich kątach komendy graty. Aspirant Maciejak przyniósł zestaw plastikowych talerzyków, sztućców i kieliszków do wina, papierowe serwetki i wigilijny obrus, biały z nadrukiem zielono-czerwonych gwiazd betlejemskich w rozkwicie. Do kompletu rękawice bokserskie z czerwonej skóry, pamiątkowe. Maciejak co jakiś czas odgrażał się, że jeszcze wróci do sportowej formy i poboksuje. Aspirant Rokicki, skromniejszy, posiadał dużo mniej rzeczy; wszystkie zmieściły się w służbowym plecaku. Były to: podręczna apteczka, kamizelka ochronna zapakowana w folię, nawóz do roślin

doniczkowych w płynie i pamiątkowy scyzoryk o wdzięcznej nazwie Multitool. Scyzoryk przypominał mały kombajn i zawierał w zestawie śrubokręt z końcówkami, latarkę LED, otwieracz do butelek i ostrze z wytrzymałej stali. Rokicki scyzoryka nie używał, ale rodzice wpoili mu w dzieciństwie, iż otrzymanych prezentów się nie wyrzuca, więc trzymał przez sentyment dla darczyńcy – poprzednia narzeczona miała nadzieję, że tak użyteczny prezent zmusi Rokickiego do wzmożonej aktywności na polu domowych napraw. Srodze się zawiodła i w szybkim tempie przestała być narzeczoną. Na szerokich parapetach Rokicki ustawił rzędem kwiaty w doniczkach i w końcu zakupił porządną, blaszaną konewkę. Zrobiło się swojsko i przytulnie. W takiej atmosferze mogli wrócić do spraw czekających od lat na rozwiązanie.

Mieli przed sobą do przeczytania całe sterty akt. Jak nie nowe, to starsze albo zupełnie stare, prawie takie oświęcimskie Archiwum X. Teraz na przykład trzy przydziałowe biurka i dwa drewniane stołki były zarzucone przyniesionymi z piwnicy zielonoburymi, cuchnącymi wilgocią i grzybem teczkami pełnymi nierozwiązanych zagadek. Jakimś cudem tecki uniknęły wywiezienia z komendy w czasach, gdy czyszczono piwniczne archiwa i wszystkie zbędne papiery przekazywano do dyspozycji struktur nadrzędnych – do dalszego składowania bądź spalania. Zapewne wtedy po prostu nie chciało się nikomu sprzątać. Szukać, przekładać i wynosić. Tarzać się w kurzu i kichać. Może kartony z aktami były czymś przyłożone i niewidoczne? Funkcjonariusze upoważnieni do przeprowadzenia inwentaryzacji napisali w raporcie, że nie mają czego inwentaryzować, i było z głowy. Tak przynajmniej przypuszczał aspirant Maciejak, najmocniej z całej trójki chodzący po ziemi, realista i sceptyk, przewrotnie obdarzony ciepłym poczuciem humoru.

W zeszłym tygodniu zespół kierowany przez komisarza Ożegalskiego zakończył prowadzenie wielotygodniowego śledztwa przeciwko szajce złodziei sklepowych. Sprawę zamknęli. Sprawców i akta przekazali do prokuratury. Teraz czekali tylko na informację, czy prokuratura sprawę umorzy z powodu niskiej szkodliwości czynu, czy pozwoli złodziejom wyjść z aresztu za kaucją. Kto jak kto, ale oni pieniądze na kaucję mieli.

Widmo spodziewanej porażki zdążyli już przedyskutować u Maciejaka na piwie. W czerwcu spotykali się u aspiranta systematycznie; on jako jedyny dysponował wolną chatą i nikt nie przeszkadzał im w kibicowaniu polskiej drużynie piłkarskiej. Wprawdzie nie mieli zbyt wielkiego doświadczenia w dopingowaniu i wznoszeniu okolicznościowych okrzyków tudzież śpiewaniu odpowiednich piosenek, ale po pierwszym gwizdku adrenalina się podnosiła, a oni, śledząc przebieg spotkania, dawali upust emocjom. I to dość głośno. Pili niedużo, bo trzy piwa na jednego to teraz średnia u małałatów. Aspirant Rokicki trochę się

migał i zazwyczaj wypijał tylko jedno. Pomimo dwóch wspólnie przepracowanych lat nie przyzwyczaił się jeszcze do spędzania wolnego czasu w męskim gronie. Wychowany w porządnej rodzinie, w wieku dwudziestu siedmiu lat posiadał narzeczoną, mieszkanie M3 i fiata seicento. Przychodząc do komendy, częściej myślał o pracy za biurkiem i latach dzielących go od wcześniejszej emerytury niż o ściganiu bandytów i nadstawianiu własnej, zdrowo zaróżowionej skóry.

* * *

Obserwacja podejrzanego w czasie ulewnego deszczu połączonego z lekkim gradobiciem i urozmaiconego pohukiwaniem grzmotów wymagała hartu ducha i samozaparcia. Nie poddał się, śledził, pilnował, prawie przyklepiony do podejrzanego, aż w końcu dostrzegł, że Kamilski wchodzi do sklepu jubilerskiego. To było to, na co czekali od dobrych paru dni.

Podejrzany Kamilski pod pozorem chęci zakupienia prezentu ślubnego dla wymagającej chrześnicy zaczął oglądać coraz to nowe drobiazgi, zagadując miłą sprzedawczynię w celu odwrócenia jej uwagi. Gdy tylko aspirant Rokicki zauważył, że w kieszeni zawodowego złodzieja znika złota bransoletka, odszedł w odległy kąt sklepu i dyskretnie, przez komórkę, wezwał posiłki – w osobach komisarza Ożegalskiego i aspiranta Maciejaka. Jerzy Rokicki nie wyobrażał sobie, jak mógłby sam zaaresztować tak przebiegłego złodzieja. Na razie czekał na komisarza i obserwował rozwój sytuacji.

Gdy sprzedawczyni wróciła z zaplecza z kompletem stołowych sreber, Kamilskiemu nawet powieka nie drgnęła. Nie miał zamiaru poprzestać na głupiej bransoletce. Miał ochotę na lepszy kąsek. Teraz też marudził, robił miny i wylewnie komplementował trochę oszołomioną ekspedientkę. Młoda kobieta przede wszystkim chciała sprzedać towar. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że ten na oko ponad pięćdziesięcioletni, elegancki, ubrany na sportowo pan, jest profesjonalnym złodziejem. I to złodziejem z wielopokoleniową tradycją. Już dziadek Kamilskiego zrobił karierę jako doliniarz i to w samym Lwowie. Po wojnie dziadek przeniósł praktykę w okolice Oświęcimia, a po nim tradycje rodzinne kontynuował ojciec Kamilskiego, obecnie miły staruszek na złodziejskiej emeryturze. Kamilski złodziejstwo miał niejako we krwi. Przynajmniej nie musiał zastanawiać się nad wyborem zawodu. Teraz nawet aspirant Rokicki był zachwycony wprawą, z jaką Kamilski operował palcami lewej ręki, delikatnie i z wyczuciem chwytając i chowając w kieszonki szpanerskiej kamizelki rybackiej co piękniejsze drobiazgi. Aspirant z niecierpliwością czekał na przyjazd komisarza. Dla zabicia czasu chodził niecierpliwie od gabloty do gabloty, zwracając na siebie

uwagę sprzedawczynie. Na pytania, czego sobie życzy, może potrzebuje pomocy, może szuka czegoś specjalnego – aspirant odpowiedział grzecznie, że dziękuje, ale na razie tylko ogląda, i że mu się nigdzie nie spieszy.

Potem już tylko stał przed smukłymi szklanymi gablotami wypełnionymi wyłożonymi na czarnym aksamicie bransoletkami i zegarkami, przekraczającymi ceną wartość jego pensji. Stał i pracowicie ocierał chustką zroszone potem czoło. Czekał cierpliwie, cichutko wzdychając. Nie chciał niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Wiedział, że dobrze wykonał swoją część zadania. W końcu złapanie złodzieja na gorącym uczynku to nie byle co. Odetchnął z prawie słyszalną ulgą, gdy komisarz Ożegalski podjechał pod sklep nieoznakowanym samochodem. Komisarz szybko wysiadł, a zaraz za nim wyskoczył aspirant Maciejak. W ciągu kilkunastu sekund komisarz pokonał strome schody i otworzył ciężkie, samozamykające się drzwi wejściowe. Po chwili Rokicki zobaczył, jak komisarz podchodzi do Kamilskiego, wyciąga legitymację i przedstawia się. Aspirant Maciejak na wszelki wypadek obstawiał wejście, on sam ustawił się przy wyjściu na zaplecze.

Wytrawny złodziej poproszony o wyciągnięcie z kamizelki łupów najpierw się obruszył, zaczął zgrywać niewinnego. Potem, widząc, że jego protesty nie robią wrażenia na komisarzu, zażądał adwokata. Na wieść, że policja ma świadka kradzieży, spasował i osobiście opróżnił kieszenie. Aspirant Rokicki aż westchnął z niedowierzaniem, gdy zobaczył cały łup Kamilskiego. I to tylko z jednej wizyty w sklepie! Aspirant sam nie wiedział, jak i kiedy perfekcyjny złodziej zdołał zabrać te złote drobiazgi z lady. Teraz obserwował niewzruszonego Kamilskiego, który niczym magik z kapelusza wyciągał z kieszeni kamizelki przeróżne precjoza, w tym dwie złote bransoletki, pierścionek z diamentami i drugi z perłą, złoty szwajcarski zegarek i na koniec dwa komplety kolczyków pasujące do pierścionków. Stał przed nimi prawdziwy wirtuoz złodziejskiego fachu. Działał po cichu, sprawnie, bez jakiegokolwiek przemocy, ale jakże efektownie i efektywnie!

Młoda sprzedawczynie siedziała na krześle za ladą i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w zgromadzone na ladzie kosztowności, obliczając w pamięci niedoszłe straty. Aż się kobiecie słabo zrobiło na myśl, że musiałaby te straty pokryć własnymi, ciężko zarobionymi pieniędzmi. Nie było zmiłuj! Nikt się nie włamał, nikt nie przystawił jej noża do gardła, nie wyciągnął z za pazuchy gnata. Ubezpieczyciel nie wysuwałby ani grosza odszkodowania. Wszystko wyglądało tak, jakby pozwoliła się okraść. Właściciel sklepu jubilerskiego na pewno nie słuchałby jej tłumaczeń. W końcu podpisała, że jest odpowiedzialna materialnie za towar. W myślach łapała się za głowę. Gdyby nie ten miły policjant, poszłaby z torbami. Nie wiedziała, jak mogłaby mu podziękować. Na razie nie ruszała się i patrzyła, co dalej się

będzie działało.

Tak samo zniechęcony stał z boku aspirant Rokicki. Zasadzka na złodzieja sklepowego była jego pierwszą prawdziwą akcją w terenie. Bo trudno było liczyć te wszystkie przetrząsania melin w poszukiwaniu wyrostków na gigancie, wyłapywania bezdomnych śpiących na działkach albo patroli drogowe wykonywane w zastępstwie przebywających na szkoleniach kolegów. Poza tym papiery, ciągle tylko jakieś ankiety i rubryczki do wypełnienia. Ostatnia rzecz, na jaką Rokicki miał ochotę.

– Jurku, pomóż aspirantowi Maciejakowi – z zamyślenia wyrwał go energiczny głos komisarza Ożegalskiego. – Zabierzcie teraz podejrzanego i jedźcie do komendy, ja mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia w mieście, wrócę na przesłuchanie.

– Już się robi komisarzu! – Maciejaka nigdy nie opuszczał dobry humor. Teraz też zadowolony, lekko uśmiechnięty odprowadzał zwierzchnika wzrokiem, jednocześnie zapraszając do samochodu schodzącego po schodach beztroskiego Kamilskiego. Aspirant Rokicki zamykał pochód.

– Pan wsiądzie panie Bogumile. Małżonkę też namierzaliśmy. Znowu sobie państwo posiedzą rodzinnie. Ojciec też pójdzie do kicia – prorokował aspirant Maciejak, zerkając ukosem na Kamilskiego.

Ten siedział spokojnie na tylnym siedzeniu samochodu, skuty już służbowymi kajdankami z aspirantem Rokickim. Słuchał wywodów aspiranta Maciejaka z pobłażliwym uśmiechem.

– Panie aspirancie, co pan opowiada? Przecież mój staruszek jest już zdrowo po siedemdziesiątce. On ledwo żyje. Nigdy w życiu nie sprzedał obcego towaru. Zaręczam panu!

– Kamilski prawie bił się w piersi.

– Może i masz rację, obcego towaru nie sprzedał, ale ten, co ma od ciebie, sprzedaje na pewno. A wiesz gdzie? – Aspirant Maciejak z dobrodusznym uśmiechem zwrócił się do Bogumiła Kamilskiego, nagle mniej pewnego swego niż minutę temu. – Nie zgadniesz gdzie!

– Aspirant nadal drażnił się z Kamilskim.

– Dobra, pańskie na wierzchu, panie aspirancie, nie zgadnę – spasował Kamilski, pełen obaw, co tam znowu ojciec wymyślił.

– Na Allegro powystawiał te cacka z ostatniej kradzieży. Jubiler z Andrychowa, porządny facet, miał wszystko sfotografowane, w tym taki mały pierścionek z trzech rodzajów złota. To normalne złote, białe i różowe. A na nim litery K i M splecione. Przypominasz sobie? Widzę, że kojarzysz. Klient oddał, żeby poszerzyć, a ty zaraz cap. Taki trefny towar! Zidentyfikowaliśmy wszystkie fanty pochodzące z tamtego skoku. Tutaj masz

zatrzymanie na gorącym uczynku. Oj, posiedzisz chłopie, posiedzisz. – Aspirant nie żałował sobie i straszyl dla przyjemności.

– Panie aspirancie, posiedzę albo i nie posiedzę, pan wie, to się jeszcze okaże. – Kamilski odzyskiwał wrodzony optymizm i pogodę ducha. Tylko ten ojciec! Jak on sobie to Allegro wykombinował? Do tej pory pozbywał się towaru w sposób tradycyjny, nie narażając nikogo na kłopoty. Nie kradł od lat, wiek zrobił swoje, ale zawsze jakoś synowi pomógł. Miał odpowiednie kontakty, a to najważniejsze w tym biznesie. Teraz Kamilski będzie musiał sam zająć się zbytem. Miał żal do ojca za lekkomyślność.

Tak oto wyglądało złapanie złodzieja na gorącym uczynku. Oblane, obgadane, za chwilę miało iść w zapomnienie.

* * *

Poniedziałek upłynął im na pisaniu sążnistych raportów. Komisarz pilnował, żeby wszystko oddać do prokuratury w przepisowym terminie i żeby rozliczyć skrupulatnie dowody rzeczowe.

We wtorek mieli całkowity spokój, nawet telefony nie dzwoniły. Zero interwencji. Ludzie nie mieli siły na rozróby, siedzieli w domach i czekali, aż upała zelżeje. W południe słońce prażyło niemiłosiernie, a w komendzie zabrakło mineralnej. Przez pół godziny trwały targi, kto pojedzie do marketu i przywiezie od razu parę zgrzewek. Padło na stażystę Krzysztofa Bućka, wykorzystywanego zazwyczaj do takich zadań. Cała komenda, łącznie z komendantem, twierdziła, że stażysta Buciek do niczego innego się nie nadaje, więc chociaż w taki sposób odciąży resztę kolegów. Zrobili spis potrzebnych rzeczy; jak już jechał, to mógł dodatkowo parę drobiazgów kupić. Wyciągnęli składkowe pieniądze ze słoika i dali Bućkowi kluczyki od służbowego samochodu.

Po godzinie stażysta nadal nie wracał, telefonu nie odbierał, a komendant żałował, że sam nie pojechał. Byłby już trzy razy obrócił, nie tak jak ten niedojda. Boże litościwy! Co z takim robić?! Syn kuzynki dyrektora Promarchu uparł się, że zrobi karierę w policji. Na razie nic tej kariery nie zapowiadało. W końcu, po prawie dwóch godzinach oczekiwania, ujrzeli przez okno wjeżdżającego w uliczkę służbowego forda. Aspirant Maciejak nie wytrzymał nerwowo i poszedł sprawdzić, czy samochód jest cały.

Z zaparkowanego auta, cały w skowronkach, gramolił się stażysta. Aspirant przytrzymał otwarte drzwi samochodu i zapytał podniesionym głosem:

– Krzysiek, powiedz mi, cóżes ty robił tyle czasu?!

– A tak jakoś mi zleciało, sam nie wiem kiedy. Zrobiłem zakupy, poszedłem sobie na

kawę i... – Buciek nie zdążył dokończyć, bo w zdanie wszedł mu wzburzony aspirant.

– Kawę?! Jaką kawę? Czyś ty na ten swój głupi łeb upadł?! Służbowo pojechałeś, po służbową wodę. Miałeś szybko kupić to, co na liście, i wracać, nie pojechałeś dla przyjemności oglądać wystawy! Trzeba było zapłacić i z powrotem. Max pół godziny! Czy ty sobie zdajesz sprawę, co by się działo, gdybyśmy mieli wezwanie? Pamiętaj, jeżeli jesteś na służbie, to tylko służba się liczy, a nie lody, kawki i tym podobne! A może randkę też zaliczyłeś? – Aspirant Maciejak zaczynał się nakręcać.

– Ale panie aspirancie, pan się nie denerwuje, pan mi da dokończyć. Kawę to wypilem w sklepie, tam przy chlebie mają taki mały stolik. Wziąłem sobie trzy gałki lodów, są super! – zachwalał Buciek, nie zwracając uwagi na marsową minę aspiranta. – I nagle słyszę, jak w kolejce po mięso rozmawiają dwie takie starsze kobiety. Niech pan sobie wyobrazi, podobno na naszym cmentarzu parafialnym znaleziono wczoraj podwójnego nieboszczyka! – Stażysta przerwał relację, chciał zobaczyć reakcję aspiranta na tak sensacyjną wiadomość. Zobaczył.

Aspirant westchnął głęboko, potem w pamięci policzył do dziesięciu. Najchętniej, gdyby miał taką możliwość, wyrzuciłby Bućka z pracy, ale nie mógł. Po pierwsze nie leżało w jego kompetencjach wyrzucanie z pracy kogokolwiek, nie ta szarża, poza tym zamajaczyła mu przed oczami wizja wybitnie nieprzyjemnego i ustosunkowanego prezesa Promarchu. Aspirant wiele nie żądał, ale chciał sobie jeszcze trochę spokojnie pożyć i popracować. Niemniej jednak Buciek musiał na przyszłość pamiętać, że służba to służba. Tego mu nie daruje, a co stażysta usłyszy, to jego. Westchnął jeszcze raz i powiedział prawie spokojnym tonem:

– Człowieku! Ja cię kiedyś uduszę własnymi rękami. Jakiego podwójnego nieboszczyka? Sklonował im się czy co? A w ogóle to słuchasz kolejkowych plotek i myślisz, że cię to usprawiedliwia? Ciebie nic nie usprawiedliwia! Jak jeszcze raz tak zavalisz, to osobiście dopilnuję, żeby cię komendant wylał. I wtedy koniec kariery w policji, wojsku, straży miejskiej i służbie celnej, jakby ci się takowa zamarzyła!

– Panie aspirancie, może ja jestem głupi, ale nie aż tak – momentalnie zareagował stażysta. – Ja sobie posłuchałem, co one mówią, a potem pojechałem jeszcze na cmentarz. Tak że mnie nie było w komendzie służbowo, a nie prywatnie. Pojechałem na rozpoznanie terenu.

Aspirant Maciejak machnął ręką zniecierpliwiony. Nie miało sensu stanie przy samochodzie z otwartym bagażnikiem, w pełnym słońcu i denerwowanie się. Jeżeli faktycznie Buciek ma coś ciekawego do powiedzenia, to niech to zrelacjonuje raz a dobrze przy komisarzy.

– Dobra, bierzemy te zgrzewki, zamykamy bagażnik i idziemy do środka. Poroznosimy, a potem na spokojnie wszystko opowiesz komisarzowi Ożegalskiemu. Nie ma sensu, żebyś to wszystko powtarzał dwa razy, chociaż pewnie to jakiś stek bzdur. – Aspirant miał już dość spoconego, ale pewnego swoich racji stażysty.

Posapując z wysiłku, każdy z dwiema zgrzewkami mineralnej w rękach, weszli do środka. W korytarzu panował miły chłód, spotęgowany przez szarość ścian. Poroznosili po zgrzewce mineralnej do pokoi, potem stażysta przytargał resztę zamówionego przez kolegów towaru, w tym kawę rozpuszczalną i do parzenia, herbatę Lipton w ilości hurtowej, Assam liściasty i Madras. Całkiem niedawno oglądał Dzień Dobry TVN. Zdarzyło mu się wolne po nocnym dyżurze, nie mógł spać, włączył telewizor i go wciągnęło. W telewizji jakaś apetycznie wyglądająca kobieta z kolczykami w kształcie torebek herbaty tłumaczyła widzom, że teraz powinno się kupować herbatę do zaparzania w czajniczku, tak jak to było kiedyś, nie te zbierane z podłogi resztki, pyłki i odpadki, które producenci upychają do torebek i sprzedają jako ekskluzywne mieszanki. Buciek się przejął i na własny koszt kupił te liściaste. Na specjalne zamówienie komisarza zakupił delicje pomarańczowe i malinowe, służbowe paluszki z sezamem i mieszankę mix, z której wyjadali krakersy paprykowe, a resztę upychali, częstując znajomych i zatrzymanych. Wszystkie zakupy złożyli w pokoju komisarza Ożegalskiego, w służbowym sejfie. Sejf został w pokoju zamontowany całe lata temu, zaraz po przeprowadzce. Była to stalowa szafa wysoka na metr pięćdziesiąt, szeroka na osiemdziesiąt centymetrów, a głęboka na trzydzieści pięć. Kiedyś, dawno temu, jeszcze milicjanci, trzymali w tym sejfie ściśle tajne akta, protokoły z przesłuchań, które nie powinny nigdy ujrzeć światła dziennego, czasami broń i paczkę zapasowych naboju na zaś. Potem, nikt nie pamiętał kiedy to się stało, klucz zaginął, a wypatroszona z wszelkiego służbowego dobra szafa stanęła otworem. Od lat pełniła funkcję schowka na służbowe zaopatrzenie, a aspirant Maciejak pilnował, by wszyscy mieli po równo. Na nic się to pilnowanie zdało. Co rusz ginęły gdzieś służbowe czekolady czy cukier w kostkach, uwielbiany przez komisarza Ożegalskiego i także finansowany z jego kieszeni. Czasami zapadały się pod ziemię świeżo zakupione delicje. Doszło do tego, że w związku z narastającymi zniknięciami artykułów spożywczych komisarz zagroził rozpoczęciem śledztwa i zamierzał zacząć od – jak zapowiedział oficjalnie – pobierania linii papilarnych od podejrzanych. Przez ostatnie dwa tygodnie był spokój. Wszyscy odbierali należne wody, kawy i herbaty na bieżąco. Nic nie ginęło. Ale teraz doskonale zaopatrzona szafa znowu zaczynała kusić łakomczucha.

Trzeba będzie zastawić pułapkę, planował w myślach komisarz. Dopiero co wrócił z łazienki. Umył się zimną wodą i przez chwilę czuł ulgę. Teraz siedział na służbowym

obrotowym krześle z przymkniętymi oczami i wiatrakiem ustawionym na wprost. Dmuchało mu w twarz zimnym powietrzem, zimną wodę miał w plastikowym kubku, tyle że koszula nadal przyklejała mu się do pleców. Pomyślał, że powinien wziąć do pracy ze dwie podkoszulki na zmianę, najlepiej wszystkie czarne, żeby nie rzucało się w oczy, jak się przebierze.

W tym momencie usłyszał jęśliwe skrzypnięcie drzwi, a potem szuranie butów. Po chodzie rozpoznawał Maciejaka. W końcu tyle lat pracy razem. Za Maciejakiem wszedł jeszcze ktoś. Komisarz otworzył oczy. Stał przed nim stażysta Krzysztof Buciek z niewyraźną miną. W otwartych drzwiach z nową porcją akt w rękach zamarł aspirant Rokicki. Komisarz momentalnie opanował sytuację.

– Jurek, wejdź, połóż te akta i zamknij za sobą drzwi. Ty, Krzysiek, możesz już usiąść, wyglądasz, jakbyś miał za chwilę się przewrócić!

Aspirant Maciejak sam dobrze wiedział, co ma robić, i wskazówki komisarza nie były mu do szczęścia potrzebne. Po chwili sytuacja została opanowana, a komisarz popatrzył wyczekująco, nie wiedząc, czego się może spodziewać po tak dobranym zespole. Nie czekał długo. Aspirant Maciejak z doświadczenia pamiętał, że stażysta Buciek nie zacznie bez delikatnej zachęty, więc jak to on, zwięźle i spokojnie zaproponował:

– Krzysiek, relacjonuj, tylko po kolei i dokładnie, czego się dowiedziałeś.

W odpowiedzi stażysta wstał z niewygodnego krzesła służącego do przesłuchiwania podejrzanych, poprawił nieregulaminową koszulkę polo i zaczął: – No więc...

– Krzysztofie! Jak przypuszczam, ty nawet nie pamiętasz, ile razy ci powtarzałem, że nie zaczynamy zdania od „więc” – zwrócił mu uwagę komisarz Ożegalski.

– Ale zacząłem od „no więc”, nie samego „więc”, panie komisarzu – zaprotestował urażony stażysta.

– Nie szkodzi, to jest równoznaczne.

– Ale...

Aspirant Maciejak uznał, że lepiej będzie, jeżeli się wtrąci. Kwestia „więc” czy też „no więc” była przerabiana przez komisarza i stażystę przy okazji każdej rozmowy i nic nie wskazywało, aby mogli osiągnąć kompromis.

– Panie komisarzu, niech on po prostu zacznie, bo jak się zastępuje na tym swoim „więc”, to dalej nie pojedzie. Mówiłeś „no więc” i co dalej? – zachęcił Bućka aspirant.

– Tak jak opowiadałem panu aspirantowi, siedziałem sobie w sklepie, w Kauflandzie, piłem kawę, jadłem lody, gdy nagle doszło do mnie, o czym rozmawiają dwie starsze babki.

– Mów dalej – zareagował aspirant, widząc, że komisarz już otwiera usta, by poprawić

Krzyśka. Stażysta wyrażał się w sposób niechlujny, niestety. Z kolei komisarz był odrobinę przeczulony na punkcie poprawności mowy ojczystej i prawidłowego budowania zdań. Każdy z nich był uparty i nieskory do kompromisu. Częściej ustępował stażysta, ale tylko z racji wyższości rangi komisarza. Obaj w owych sporach byli śmiertelnie poważni i przekonani o swojej racji.

– Opowiadały, że na cmentarzu parafialnym odkopano podwójnego nieboszczyka. Ten, który odkopał, był podobno bardzo zdziwiony, ten ich znajomy, nie nieboszczyk, bo tam, gdzie kopał, to nie powinien nikt leżeć. Ani pojedynczo, ani podwójnie. I tak naprawdę to ten znajomy nawet nie kopał tego grobu, tylko go otworzył. To był podobno czysty grób, bez napisów. Taki wymurowany, betonowy, dzikim winem obrośnięty. Tak one mówiły. Potem opowiadały jeszcze o takiej znajomej, co pieli na grobach, sprzęta na lewo, kwiaty sadzi i ma z tego całkiem niezłe pieniądze. Jeszcze opowiadały, że ta jedna to ma męża całkiem niedojdę, co nie potrafi nic zrobić, tylko telewizor ogląda i gazety czyta – relacjonował dokładnie bardzo przejęty stażysta.

– Do rzeczy człowieku, co nas obchodzi mąż żony? – zapytał aspirant Maciejak.

– Właśnie, że obchodzi, on, ogółem mówiąc, jest ważny, ponieważ to właśnie jego kolega odkrył tego podwójnego nieboszczyka. Ten mąż nie mógł przeżalować, że właśnie jest na chorobowym, lumbago go złapało i nijak nie może wrócić do pracy. Bo oni pracują razem w zakładzie kamieniarskim i ten zakład dostał zlecenie. Otworzyć stary grób, wymurować nową piwniczkę, a na górze zamiast tych betonów porośniętych mchem labradorem strzelić. Zaraz wszystko będzie pięknie wyglądało – zachwalał cały zadowolony stażysta.

– I co dalej z tym nieboszczykiem? – zapytał zaciekawiony aspirant Rokicki. Opowiadanie Krzyśka kojarzyło mu się z opowieściami dziadka o duchach, zostawianiu w nocy na cmentarzu i przebijaniu osikowym kołkiem. – Właśnie, a może on był przebity?

– O żadnym przebijaniu nie było mowy. Przecież to trwałe uszkodzenie ciała, paragraf... za to się siedzi! – Buciek był śmiertelnie poważny. – Tak mnie to zaciekawiło, że pojechałem na cmentarz, zostawiłem samochód pod murem i poszedłem szukać tego grobu. Na cmentarzu pusto, ani widu, ani słyhu. W służbowej dyżurce nikogo nie zastałem, kaplica pozamykana, na kratkach kłódki. To znaczy, że już nie wrócą. Pospacerowałem sobie alejkami, nawet ładnie. Trzeba by się kierownika cmentarza zapytać, może coś wie. Przecież bywają takie nieopisane groby, nikt nie powiedział, że każdy ma się rozpisywać i podawać wszystkie dane personalne, łącznie ze zdjęciem do akt. Chociaż... Jak tak zacząłem sobie oglądać, to niektórzy całkiem fajnie na tych zdjęciach wyglądają.

– Reasumując, czego się dowiedziałeś? Masz jakieś konkrety na usprawiedliwienie

zmarnowanego czasu? Czy w godzinach pracy zwiedzałeś cmentarz parafialny?

– Panie komisarzy, melduję, że służbowo spacerowałem po cmentarzu, ale nie był to czas stracony, bo zlokalizowałem ten grób. – Stażysta zaczynał błyszczeć od spływającego mu po twarzy potu. Z natury pucułowaty i wiecznie zarumieniony, teraz wyglądał tak, jakby go ktoś nabłyszczaczem do liści pokropił.

– O, to nawet dobrze! Mamy chwilę przestoju, możemy się zająć czymś innym dla rozrywki. Już mi te kradzieże i rozboje nosem wychodzą. Skopanie na śmierć dla stowy to chore! – Aspirant Maciejak nadal, mimo długich lat pracy w policji, nie mógł się pogodzić z brutalizacją życia społecznego.

– No właśnie, tak sobie pomyślałem, że to ciekawe. U nas są przepisy w sprawie pochówku dosyć konkretne i ostre. Jeżeli nie powinien nikt leżeć, a leżał i to niejako podwójnie, to może być ktoś, kto kiedyś zaginął. Sprawa typu: wyszedł z domu po zapalki i nie wrócił, a żona pewnie już nawet nie czeka. Czyli może się nam zbiegło, panie komisarzy. Wie pan, te akta, niewyjaśnione sprawy. Na pewno nikomu nie przyszło do głowy, żeby szukać zaginionego na cmentarzu.

Komisarz popatrzył zdumiony na stażystę. Codzienna obojętność i tumiwizizm odeszły w dal. Podniecony, bardziej niż zazwyczaj zarumieniony, z błyszczącymi oczami i nosem wysuniętym do przodu, wyglądał na szczęśliwego człowieka. Miał fart, trafił na sprawę, która go zainteresowała i, w sensie pracy w policji, obudziła. Była szansa, że stażysta wyjdzie jednak na ludzi. Komisarz zastanawiał się, jak podzielić pomiędzy nie mniej zainteresowanych aspirantów pracę nad podwójnym nieboszczykiem. Po przejściach z Kamilskimi należało się chłopakom trochę niewinnej rozrywki.

– Cóż, dobrze... Zgadzam się z wami, że sprawa, a w zasadzie załączek sprawy, wygląda interesująco i powinniśmy się nią zająć – komisarz starał się precyzyjnie wyrażać myśli. – W takim razie po pierwsze, aspirant Maciejak razem ze stażystą Bućkiem służbowo odwiedzą cmentarz parafialny. Nawiążą kontakty z zarządem cmentarza. Trzeba wypytać kierownika cmentarza, grabarzy. Może coś wiedzą, może coś pamiętają... Znajdźcie również tych kamieniarzy, którzy przeprowadzają remont grobu i odkryli nieboszczyków. I ostatnia sprawa, trzeba ustalić, dokąd zostały przeniesione te nielegalne zwłoki i czy naprawę nielegalne... Może nie ma napisu, jest za to wpis w księdze parafialnej. Może ksiądz proboszcz jest zorientowany. – Komisarz przerwał na moment, coraz częściej zawodziła go pamięć i wołał, nauczony doświadczeniem, od razu zapisać podział czynności. – Reasumując, wy wyruszacie w teren, a aspirant Rokicki przejrzy akta pod kątem osób zaginionych. I tak musimy je wszystkie przewertować, to przy okazji zwrócisz, Jurku, uwagę na tego typu

zgłoszenia. Wprawdzie nie mamy pojęcia, sprzed ilu lat może być ta sprawa, ale chyba niezbyt świeża. Nie wiadomo też, czy cokolwiek w tych aktach będzie, może nikt nie zgłosił zaginięcia – komisarz, popijając drobnymi łykami zimną mineralną, snuł hipotezy.

Aspirant Maciejak zamknął szuflady biurka, zabrał saszetkę z dokumentami oraz kluczyki do samochodu i w towarzystwie Krzyśka Bućka opuścił pokój. Zdawał sobie sprawę, że zanim dojadą na cmentarz, zanim znajdą kogoś kompetentnego do rozmowy, to im się dzień pracy skończy. Prawie wychodzili, gdy komisarz oderwał się od notatek i mruknął pod nosem:

– Nie rozumiem, tam podobno było dwóch, a nie powinno być żadnego. Ciekawe, czyj to grób. – Nawet nie zauważył, jak wyszli, tak był pochłonięty nową sprawą.

Trzasnęły drzwi i w pokoju pozostał komisarz Ożegalski i aspirant Rokicki, cały nieszczęśliwy, że to jemu przypadło w udziale grzebanie w śmierzących stęchłą dokumentach. Żeby chociaż trochę osłodzić sobie pracę, zaparzył kawę, wyciągnął paczkę malinowych delicji i sięgnął po cukier w kostkach.

– Tylko nie przesłodzi – rzucił z przekąsem komisarz.

– Nie... ja tylko tak... lubię słodkie. Taka nudna robota mnie czeka, to chociaż to... – Rokicki zaczynał narzekać.

– Nie wybrzydź! A praca wcale nie jest nudna. Poczytaj te akta, może trafisz na coś interesującego. To są sprawy, o których już dzisiaj nikt nie pamięta, ja sam nie wiem, co może być w tych papierach. Prawie ci zazdroszczę. Może odkryjesz coś, co nam się przyda do sprawy. Czytaj wszystko uważnie, zwracaj uwagę na drobiazgi. Masz bardzo odpowiedzialne zadanie do wykonania i jakże interesujące! – komisarz motywował Rokickiego do wyteżonej pracy.

– Tak jest szefie! – Zmotywowany aspirant sięgnął po pierwszą z góry, niegdyś zieloną teczkę, przetarł ją po wierzchu nasączoną chusteczką higieniczną i otworzył. Po chwili w pokoju zapadła cisza przerywana tylko brzęczeniem namolnej muchy, szumem wiatraka i szelestem przekładanych kartek papieru.

* * *

Eligiusz Kamilski miał reumatyzm, zgagę i prawie osiemdziesiąt lat. To znaczy siedemdziesiąt pięć, ale lubił się chwalić, że dobija do osiemdziesiątki. Ot, taka słabość starszego pana. Kamilski miał także nadzieję na przyszłość i to nie samotną, tylko u boku pięknej kobiety. Piękna kobieta mogłaby być jego córką. Sam przed sobą udawał, że to w zasadzie nic takiego, gdy dużo młodsza kobieta interesuje się starszym mężczyzną. Może

lubi? Ma prawo. Może się zakochała? Też ma prawo. W końcu pomimo podeszłego wieku Eligiusz Kamilski nie zrezygnował z życia i jego uciech. Amelię poznał właśnie przy uprawianiu tychże uciech. Nie chodziło o nic specjalnie zdrożnego. Grupka mocno starszych, zaprzyjaźnionych od lat panów raz w miesiącu urządzała składkowe przyjęcia. W ścisłej tajemnicy przed rodzinami i bardziej zaskorupiałymi znajomymi organizowali sobie prywatki, zwane teraz domówkami. W zależności od nastroju urządzali sobie turnieje gry w kości przeplatane niewinnymi brydżkami. Czasami oglądali filmy dla bardzo dorosłych mężczyzn, przypominając sobie lata beztrudnej młodości. Nie robili nikomu krzywdy, tyle że opinia publiczna jest bardzo surowa dla starców w wieku siedemdziesiąt plus. Jakby starość nie czekała na każdego za rogiem! Dlatego woleli się nie ujawniać, tylko dyskretnie korzystali z ostatnich uciech, jakie im niosło życie.

Miesiąc temu spotkanie organizował Alfredo. Dwukrotny rozwodnik, uwielbiał zadawać szyku i brylować w towarzystwie. Już dzień przed imprezą wchodził w nastrój, najpierw odwiedzając fryzjera, potem zaprzyjaźnioną masażystkę. Wyciągał z szafy odświętne ubranie i śnieżnobiałą koszulę zapinaną na złote spinki, ostatnie wspomnienie bogatej przeszłości. Spodnie uszyte z szarej flaneli i granatowa marynarka ujmowały mu lat, a przydawały elegancji. Jak mówiły panie: gdy wchodził Alfredo, wiało wielkim światem. Tym razem to na niego przypadała organizacja spotkania. Od kilku dni zastanawiał się, czym można by było je urozmaicić. W końcu kości, brydż i różowa seria też mogą się znudzić. Jemu chodziło o kulturę wyższego rzędu. Może śpiew albo gra na instrumencie? Melorecytacja? Nie, odpada. Te stare dziadki zaraz by posnęły, a jemu byłoby głupio.

Przez moment pomyślał o sprzątacze w bikini. Mieliby co oglądać. Sama młodość i bujność kobiecego ciała. Niestety, z tego, co wiedział, były to kobiety nieskore do obdarzania swoimi wdziękami. Miały zasadnicze podejście i były nastawione na wysprzątanie wszystkiego do błysku. Jeszcze by mu siła fachowa wstydu przed kolegami narobiła. Nie... To musiało być coś innego.

Tak się zamyślił, że nawet nie zauważył, kiedy doszedł do Rynku. Zamierzał zrobić podstawowe zakupy w pobliskim sklepie spożywczym. Ćwiartka chleba, biały ser i pół kostki masła. Miał ochotę na kawałek sernika z polewą czekoladową i kokosem do kawy, ale ten cholesterol... – lekarz zalecał dietę. Wahał się, smak sernika czuł prawie na końcu języka, jedwabisty, kuszący, niezbyt słodki, idealny. A co mu tam! Kupi kawałek. Podniesiony na duchu własną odwagą przystanął przy budynku sądu. Miał wrażenie, że coś się zmieniło w okolicy od jego ostatniego spaceru. Rozejrzał się dokoła, uważnie lustrując otoczenie. Rynek nadal świecił pustkami, od czasu wyburzenia pawilonu Tęcza minęły prawie dwa lata.

Dobrze, że zniknął szpecący miasto budynek o uroku zdewastowanego bunkra, ale w jego miejsce nie powstało na razie nic nowego. Dyskutowano, co będzie dalej. Pokiwał głową, miał rację. Chodnik przylegający do kamienicy Ślebarskich, w której znajdowała się siedziba sądu, zastawiono rzędem rysunków i fotografii Rynku. Umieszczone za szkłem, ustawione na wysmukłych stelażach przyciągały wzrok. Zaciekawiony podszedł bliżej, przystanął przed pierwszą z rzędu ilustracją i wyciągnął z kieszeni okulary. Nie ten wiek, by czytać bez pomocy sprzętu. Na rysunku zobaczył Rynek w przyszłości, po remoncie. Zapowiadało się ciekawie. Słyszał różne uwagi na temat jego przebudowy. W pokoleniu Alfreda przeważali zwolennicy koncepcji rynku tradycyjnego. Fontanna, ławeczki, kwiaty posadzone w klombach i figura świętego Jana Nepomucena w centralnym punkcie. Czy o to chodziło? Zamyślił się. Dobrze pamiętał, jak wyglądało miasto kiedyś, pamiętał nawet dzień, w którym figurę świętego Jana Nepomucena hitlerowcy zwalili z postumentu. Widział, jak wypadły z niej dwie butelki. Dzieciak wtedy był z niego, ale pamięć miał dobrą. Figura leżała na Rynku kilka dni, po czym zniknęła i do tej pory nie wiadomo, w którym miejscu została ukryta. Podejrzewano, że została zakopana w skarpie cmentarza parafialnego. Nie wiedział też, co zawierały te dwie butelki. Tajemnica. Można by było figurę świętego odtworzyć, ale on wołał do tego, co było, nie wracać. Spodobała mu się przedstawiona koncepcja Rynku dwudziestego pierwszego wieku, nowoczesna, ale pozwalająca zajrzeć w przeszłość. Odtworzona ze zdjęć studnia, z której i tak nie czerpano wody, bo chętnie przyjmowała topielców, i pozostałości murów pierwszego Ratusza, wykopalisko archeologiczne przykryte szkłem. Tak samo podobały mu się fundamenty wieży zamkowej. Pieczołowicie odkryte, zabezpieczone i wystawione na widok publiczny. Pamiętał ten dreszcz emocji, gdy pierwszy raz odwiedził zamek i zobaczył te historyczne fundamenty, trzymające się zwarcie i niezmiennie od ośmiuset lat. To było przeżycie! Tutaj też wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy przyjdzie na gotowy Rynek i zajrzy w głąb historii poprzez szklaną tafelę. Zresztą zwolennicy tradycji nie powinni narzekać. Przewidziano fontannę i klomby, i rząd drzew. Ławeczki w ich cieniu i ścieżki z okrągłaków, naturalnego materiału budowlanego, którego pełno nad brzegiem Soły. Może był stary, ale lubił nowoczesne, funkcjonalne rozwiązania.

Tak się zamyślił, chodząc od tablicy do tablicy i oglądając stare fotografie Rynku, że aż podskoczył, gdy usłyszał dochodzący zza pleców damski głos.

– Witaj, Alfredo!

Przystanął i oglądnął się za siebie. Popatrzył zdziwiony. Nie poznawał stojącej za nim kobiety.

– Przepraszam bardzo, ale czy my się znamy? Jakoś nie przypominam sobie. –

Podobała mu się, jednak naprawdę nie wiedział, gdzie mógł ją poznać. I jeszcze to, że mówiła mu po imieniu, bez pan... Zaskakujące, ale przyjemne.

– Nie poznajesz mnie? Naprawdę? – Kobieta z wdziękiem poprawiła sobie skręcone w drobne loki ciemne, prawie czarne włosy.

Skądś pamiętał ten gest. Boże, kiedy to było?! Czyżby to była...

– Czy ja dobrze pamiętam? Amelia? – Imię wygrzebał z zakamarków pamięci.

– O wszystko bym cię podejrzewała, ale nie o to, że własnej żony nie poznasz! – rzuciła odrobinę urażona, a jednocześnie rozbawiona.

– No tak... Ty byłaś druga! – oświeciło go nagle. Przypomniał sobie, jak całe lata temu, dochodził wtedy do pięćdziesiątki, pojechał na wycieczkę do Włoch. Florencja, Piza, Wenecja, Rzym i oczywiście Neapol. Podróż życia! Na otarcie łez po rozwodzie z pierwszą żoną, która wybrała życie u boku dużo lepiej sytuowanego badylarza. A on, cóż, domek nad Sołą i duży fiat. Nie protestował, dzieci nie mieli, rozwód wzięli szybko i kulturalnie. Pojechał, by odpocząć i zapomnieć. Nabrać dystansu. Najbardziej podobało mu się Morze Tyrreńskie, płytkie, że aż miło. Nie umiał pływać, a tu proszę – cała masa zdjęć Freda zanurzonego po pachy w wodzie. Skąpanego w słońcu. Wyluzowanego i wypoczętego. Wtedy jeszcze mówili do niego Fred. Po tej wycieczce wszystko się dla niego zmieniło. Został Alfredem, przywiózł ze sobą drugą żonę, właśnie Amelię. Zmienił życie, zmienił pracę, po latach trwania na posadce otworzył prywatne biuro projektowe i zakochał się w Italii. Zawsze potem mówił Italia, twierdząc, że Włochy to leżą pod Warszawą.

Amelia była od niego młodsza o ponad dwadzieścia lat. Zakochał się w niej od pierwszej chwili. Zwiedzali z wycieczką okoliczne, nadmorskie miasteczka. Co jedno, to bardziej urokliwe, jakby prosto z pocztówki. Tak dojechali do Sorrento. Nie mógł się nadziwić żółtym od nadmiaru cytryn drzewom i dojrzewającym wśród bujnych gałęzi różowym grejpfrutom. Próbował wszystkiego, pierwszy raz za granicą. Pizzeria rodziców Amelii znajdowała się właśnie w Sorrento. Pamiętał, jak wszedł do środka i otulił go zapach pieczonych pomidorów, topiącego się sera i rozmarynu. Usiadł przy stoliku i zamówił pizzę o romantycznie brzmiącej nazwie – Quattro fromaggio. Nie wiedział, co to znaczy, ale miał ochotę na niespodzianki. Dostał na talerzu parujący kawał ciasta, w czterech różnych gatunkach sera zatopione były kawałki pomidorów ozdobione paroma listkami świeżego rozmarynu. To była specjalność restauracji. Delektował się smakiem nieznannej potrawy, popijając każdy kęs dobrze schłodzonym piwem. Czas stanął w miejscu i dopiero wołanie kolegi, że autobus, że natychmiast, przywróciło go do rzeczywistości. Poderwał się z miejsca i podbiegł do lady zapłacić. Tam zobaczył Amelię. Wycieczka pojechała bez niego.

Długo ją namawiał, zanim zgodziła się wyjechać z nim do Polski. Musiał wracać, urlop mu się kończył, obowiązki wzywały. Amelia chciała, by to on został tam, w Sorrento. Miałby pracę, wprawdzie niezgodną z kwalifikacjami, ale z czasem coś by znalazł. Ona miałaby rodzinę na miejscu, nie czułaby się tak samotna i opuszczona. W końcu uległa jego namowom i przyjechała do Polski, wzięli ślub, a potem z dnia na dzień odeszła. Kiedyś często myślał o tym, co się zdarzyło, czy mógł przewidzieć rozwój sytuacji. Gdyby mógł cofnąć czas, to zostałby w Italii. Może teraz byłby ojcem gromady dorosłych dzieci, dziadkiem. A tak... eh! Wspomnienia!

Amelia przyglądała mu się z napięciem pokrytym uśmiechem. Od wielu dni myślała, jak sprowokować takie przypadkowe spotkanie. Trochę się wahała, ale musiała zaryzykować. Zauważyła, że Alfredo coraz rzadziej wychodzi z domu. Być może zaczynał dokuczać mu wiek, może przyplątały się jakieś dolegliwości. Widać było, że trochę się nudzi. Mieszkał sam, w domku nad Sołą. Był nadal przystojnym, starszym panem, odrobinę skubniętym przez ząb czasu. I był jej w tej chwili bardzo potrzebny.

Uśmiechnęła się uroczo i kokieteryjnie okręciła na palcu kosmyk wijących się włosów. Ta sztuczka zawsze i na każdego działała. Czekwała, czy Alfredo, na razie nieco zaskoczony i onieśmielony spotkaniem, zaproponuje jej kawę. Widziała, jak zakłopotany drepcze z miejsca na miejsce, miętosząc palcami połąkę eleganckiej, zamszowej marynarki. Widok byłej żony obudził w nim dawno uśpione uczucia i coś w rodzaju tęsknoty za przeszłością. Pal licha! Co najwyżej się na niego obrazi i odmówi. Pomiętosił jeszcze kieszeń, potem wygładził zagięcia, cicho odchrząknął i zapytał:

– Może dasz się namówić na kawę albo lody... Tu blisko jest cukiernia. – Wyciągnął drżącą z wrażenia rękę i pokazał na Kołaczka. Nie widząc jej reakcji, dopowiedział: – Chyba że wolisz te nowoczesne... mnie jest obojętne. – Był na siebie zły za to jąkanie i proszenie się. Trzeba było uchylić kapelusza i pożegnać się elegancko, a nie na jakieś kawki zapraszać.

Amelia odetchnęła w duchu. Widać było gołym okiem, że nadal robi wrażenie na byłym mężu. To ułatwiało jej sytuację. Udawała przez moment, że się waha, nie chciała, by Alfredo poczuł się od początku zbyt pewnie.

– Skoro proponujesz... nie odmówię. Chodźmy w takim razie na bezy. Dawno ich nie jadłam.

* * *

Komisarz Ożegalski miał własne tajemnice. Przykładowy mąż i ojciec rodziny oraz stale awansujący, obiecujący pracownik Komendy Powiatowej Policji w Oświęcimiu, miał jedną

słabość. Uwielbiał czytać kryminały. To była jego prywatna sprawa i wolał się ze swoim hobby nie ujawniać. Trochę nie pasowało do poważnego i nieco zasadniczego komisarza. Już wyobrażał sobie, jak koledzy za plecami nazywają go komisarzem Maigretem lub co gorsza – panną Marple. Może gdyby miał pewność, że będą mówili do niego Sherlocku, to by zaryzykował. A tak po prostu bał się kompromitacji. Komisarz od lat uzupełniał swoje zbiory, skupując w okolicznych miastach brakujące mu do kolekcji egzemplarze, buszując w internecie, względnie przeczesując składnice makulatury. Te ostatnie były nieocenionym źródłem różnego rodzaju książek. Od literatury pięknej, poprzez poezję, literaturę naukową, do setek kryminałów. Nigdy nie wiedział, co przywiezie do domu. Czy będzie to podręcznik *Patologia dla studentów medycyny* czy *Teatrzyk Zielona Gęś* ze świetnymi tekstami Gałczyńskiego. Ze składnicy makulatury pochodziły także *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* i *Klechdy domowe* czytane dzieciom. Oraz całe sterty kryminałów. Zdarzało się, że przywoził do domu po dwadzieścia, trzydzieści sztuk, ciesząc się jak dziecko z każdej nowości, zakupionej za zabójczą kwotę pięćdziesięciu groszy. Raj skończył się w momencie, gdy urząd skarbowy zażądał od właściciela składu makulatury założenia kasy fiskalnej, by ten mógł udokumentować sprzedaż każdego egzemplarza. Nie dziwiło, że pracownicy składu makulatury porzucili ratowanie wyrzucanych książek. Trudno, by dopłacali do interesu. Ale co komisarz kupił, to jego. Czasami zbędne egzemplarze podrzucali znajomi albo znajomi znajomych. Nie wybredzał, zbierał wszystkie kryminały, krajowe i zagraniczne, stare, te nowe i najnowsze. Potem, wieczorami, wtuliwszy głowę w przytulną, obleczoną flanelą poduszkę, przy zaświeconej lampce nocnej, połykał kolejne strony przygód dzielnych detektywów lub innych, nie mniej dzielnych stróżów prawa przeróżnego asortymentu i narodowości. Rano, niejednokrotnie niewyspany, podążał do swej jakże momentami nudnej i monotonnej pracy.

Podwójny nieboszczyk stanowiąc nie lada gratkę i komisarz postanowił, że nie odpuści, dopóki nie wyjaśni sprawy do końca. Podwójny nieboszczyk pobudzał jego wyobraźnię i sprawiał, że czuł się tak, jakby wszedł w sam środek książkowej historii kryminalnej. Niestety, tym razem nie mógł zerknąć na ostatnią stronę zawierającą rozwiązanie zagadki.

* * *

– Znowu labrador. Ci ludzie nie mają wyobraźni – mamrotał pod nosem Wincenty Szumiejko zdegustowany żądaniami klienta. Dusza sumiennego, z dziada pradziada kamieniarza burzyła się w nim na myśl o żądanych zmianach. Taki nowobogacki przyjdzie i rządzi. Myśli, że pieniądze mogą wszystko. Zero szacunku dla siwych włosów! I te papiery

takie niepewne. Zanim zrobią cokolwiek, musi jeszcze porozmawiać z Antonim.

Wincenty niejedno przeżył i niejedno w życiu widział, ale to, co działo się ostatnio, przekraczało nawet jego pojęcie. Weźmy na przykład ten stary, zaniedbany grobowiec położony na peryferiach cmentarza. Takie niezbyt przyjemne miejsce, w które mało kto zagląda, chyba że musi odwiedzić bliskich. Tam się nie chodzi na spacer, aby pooglądać nagrobki. Ciężko przejść, dróżka wąska, tak że trzeba deptać po brzegach grobów. Nie każdy tak lubi, dla niektórych to widoczny brak szacunku dla zmarłych.

Właśnie ten grób zaczęli teraz remontować. Niewielka budowla została wymurowana całe lata temu przez Wincentego, a ściślej mówiąc – przez jego ojca. Starszy pan do końca życia rządził rodzinnym interesem. W rodzinnych archiwach zachowały się opisy wszystkich miejsc pochówku wymurowanych przez rodzinę Szumiejków. Począwszy od najstarszych, z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, do najnowszych stawianych przez syna Wincentego, Jana. Ten przeznaczony do remontu grobowiec został wykonany na zamówienie Aleksandra Sierszy-Janickiego, przedwojennego hrabiego, a powojennego radcy prawnego, mieszkającego częściej w Krakowie niż w Oświęcimiu. Hrabia chciał mieć grobowiec gotowy na wszelki wypadek. Twierdził, że nie ma nikogo, kto mógłby się zatroszczyć o jego przyszły pogrzeb, a tak przynajmniej miejsce będzie czekało. Wincenty nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wykonywali jakiegokolwiek prace przy grobie. Żadnych poprawek, pochówków, wykuwania napisów. Nigdy więcej nie widział Aleksandra Sierszy-Janickiego ani nikogo z jego rodziny. Ba, był pewien, że Siersza-Janicki rodziny nie miał. Przynajmniej tak wynikało z lata temu przeprowadzonej rozmowy. Ale może nie wiedział, chociaż to mało możliwe. Grobowiec rodzinny stał pięknie wymurowany i z roku na rok niszczał, kruszał. Jak to beton.

Tak się złożyło, że dwa tygodnie temu Wincenty Szumiejko siedział w biurze. Syn załatwiał sprawy urzędowe – odwiedziny w ZUS oraz US. Poza tym chciał wstąpić do ośrodka zdrowia, sprawdzić, który lekarz przyjmuje. Ostatnio nie czuł się zbyt dobrze. Żona Wincentego gotowała w domu obiad dla wszystkich, a Wincenty poszedł pracować do kantorka, w razie gdyby klient przyszedł. Nie siedział na marne. Nigdy na oczy nie widział tego eleganckiego i uprzedzająco grzecznego mężczyzny, który przyszedł w sprawie remontu grobu po Janickich. Twierdził, że wujek zapisał mu grobowiec w testamencie. Na dowód położył przed Wincentym stosowny dokument. Zgadzało się, testament został potwierdzony przez krakowskiego notariusza. Okazało się, że Siersza-Janicki nie żyje od trzech lat i został pochowany w Krakowie. No tak jakoś... ten pan nie wiedział o grobowcu położonym na oświęcimskim cmentarzu. Dopiero z testamentu...

Wincenty Szumiejko powiedział panu, co i jak ma pozałatwiać, uprzedził, że on bez zezwolenia proboszcza grobowca nie ruszy. Ma być grób wymierzony przez kierownika cmentarza, pieczętka od proboszcza i oczywiście uzgodnienie, jaki ten grób i z czego ma być.

Wincentemu najbardziej podobały się stare groby, rzeźbione, z figurami, ale on był starej daty. Teraz to tylko granit albo marmur i wybrzydzenie z kolorami. Może szary w srebrne ciapki, może rudy, a jeszcze lepiej zrobmy różowy albo zielony. Kiedyś grób w grób był szary albo w ostateczności czarny i też było dobrze, a może nawet lepiej.

Elegancki pan już się do nich nie pofatygował. Zamiast niego przyjechało dwóch młodzieńców odzianych w skóry, w czarnych okularach, ze złymi uśmiechami na twarzach. Zażądali dyskrecji (jakby zajmował się kiedykolwiek plotkami!), zielonego labradora i natychmiastowej roboty. Miał nieprzyjemne wrażenie, że lufa pistoletu dotyka mu karku. Wziął od nich kartkę podbitą przez księdza proboszcza i obfitą zaliczkę na poczet remontu, a potem powędrował na cmentarz. Nie wiedział, co o tym zleceniu myśleć. Robił w życiu różne groby, dla różnych ludzi. Największy problem sprawiało mu murowanie grobów dla dzieci, nawet nie tych małych, kilkuletnich, ale tych wchodzących w dorosłość, dzieci, których śmierć obracała wniwecz naturalny porządek życia. Teraz miał wyremontować pusty grób, a w zasadzie wybudować go od nowa. Nie umiał przestać zastanawiać się, czy Siersza-Janicki miał jakąkolwiek rodzinę. Musiał mieć, skoro tamten człowiek mówił o nim „wujek”. On, Wincenty, nigdy o żadnej rodzinie nie słyszał. No trudno, chciał nie chciał, trzeba było brać się do pracy. Odrobinę zdyszany stanął przed bramą cmentarza parafialnego.

Zawsze gdy wchodził na cmentarz, ogarniało go wzruszenie. Praca wielu pokoleń Szumiejków widniała tu jak na dłoni. Tyle grobów, tylu znajomych!

Pamiętał, że cmentarz parafialny w Oświęcimiu został założony w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Wincenty wiedział, że najstarszy zachowany nagrobek pochodzi z tysiąc osiemset czterdziestego drugiego roku. Oprócz niego było tu kilkadziesiąt pięknych, zabytkowych pomników świadczących o dawnej randze miasta, zaś wśród tych pomników – groby najzaciejszych obywateli: burmistrzów, artystów, rajców, lekarzy, wybitnych nauczycieli i duchownych. Malarzy i lekarzy Stankiewiczów, Radwańskich, aptekarzy Polaszków, klanu nauczycielskiego Tobiczaków. Niektóre z tych pomników – przepiękne, zadbane, odnowione, inne kruszące się ze starości, zapomniane, z zatartymi przez wiatr i deszcz napisami.

Wincenty, gdy miał czas, odwiedzał żołnierskie mogiły, zapalał znicze, by pamięć o bohaterach wojen trwała. Na cmentarzu wszyscy byli równi wobec Pana, i tak obok siebie leżeli żołnierze wielu kampanii. Od wojny austriacko-pruskiej tysiąc osiemset

sześćdziesiątego szóstego roku, o której się prawie nie wspomina, poprzez pierwszą światową... Te mogły odwiedzać najczęściej, szczególnie ulubiony sobie grób ułanów poległych w tysiąc dziewięćset czternastym roku. Zachodził też do poległych w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym strzelców Wojska Polskiego, przy okazji odwiedzając czerwonoarmistów, którzy zginęli w końcowej fazie wojny, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Miejsc pamięci zbiorowej było więcej, nie na jeden spacer starszego już człowieka.

Od czasu do czasu przychodził z bukietem kwiatów. Stawiał je przy zabytkowej kaplicy cmentarnej, w wazonie pod tablicami poświęconymi oświęcimskim proboszczom. Jego ojciec, dziadek i pradziadek znali wszystkich oświęcimskich duchownych, współpracowali z nimi przez całe lata. Teraz należało od czasu do czasu przynieść im kwiaty, znicze zapalić. Wincenty Szumiejko myślał o chwili, w której przyjdzie mu złożyć swoje kości w rodzinnym grobowcu. Nie zamierzał ulegać modzie na spopielanie. Chciał stanąć przed panem Bogiem w jednym kawałku i sumiennie rozliczyć się z ciężko przepracowanego życia.

Coś go dzisiaj zebrało na wspomnienia... To przez ten grobowiec Sierszy-Janickiego. Wincenty otrząsnął się, jakby strzepywał z siebie urok, odgarnął długie, białe włosy do tyłu i wyprostował ramiona. Miał dopiero siedemdziesiąt pięć lat i zamierzał jeszcze parę lat pożyć.

* * *

Aspirant Maciejak i stażysta Buciek zostawili samochód na pobliskim parkingu i różnym krokiem wmaszerowali na cmentarz. Zbliżała się trzecia po południu, na cmentarzu i w alejkach ziało pustką. Tylko przy studni starsza, szczupła kobieta nalewała wodę do małego, czerwonego wiaderka. Policjanci, nie zatrzymując się, poszli prosto do budynku, który uznali za siedzibę gospodarza cmentarza, niestety drzwi zastali zamknięte. Kaplica z zatrzaśniętą solidną kratą mówiła sama za siebie, widać było, że jest już po dzisiejszych uroczystościach. Postali chwilę niepewni, potem poszukali wzrokiem tabliczki z informacją o czasie urzędowania. Ani słowa. Markotni ruszyli w kierunku nadal stojącej przy studni kobiety.

– Dzień dobry, a panowie milicjanci to do kogo? – zapytała.

– Dzień dobry pani, teraz policjanci – odpowiedział grzecznie aspirant Maciejak. Nie wiedział dlaczego, ale starsza pani kojarzyła mu się z babcią Felicją, emerytowaną nauczycielką. Babci należało odpowiadać grzecznie i pełnymi zdaniami.

– Nieważne, i to, i to władza – odpowiedziała z przekornym uśmiechem.

Aspirant Maciejak zdążył ścisnąć ramię stażysty, który się zachnął i wyglądał jak nadmuchana piłka.

– Nie orientuje się pani, do której godziny możemy zastać kierownika cmentarza?

– Oczywiście, że się orientuję. Do dwunastej trzydzieści, chłopcze. Chyba że jest więcej pogrzebów, wtedy pan Antoni zostaje dłużej, żeby zamknąć kaplicę. Wszystkiego trzeba pilnować, kwiatów, obrusów, obrazów. Ludzie teraz nie mają niczego w poszanowaniu – gderała kobieta. – A wy zapewne w sprawie nieboszczyka?

Aspirant nawet się nie zdziwił. Jego babcia też wszystko wiedziała. Była sprytna i znała wszystkie plotki.

– To prawda, właśnie chodzi nam o tego dodatkowego nieboszczyka. A może pani mogłaby nam pomóc? – zapytał prawie przymilnie.

– Może bym mogła, a może nie mogła – odpowiedziała filozoficznie. Odrobinę posmutniała, a na poranej zmarszczkami twarzy uwidocznilo się zmęczenie. Pochyliła się z wysiłkiem po wiaderko, ale nie zdążyła go podnieść, ponieważ uprzedził ją stażysta Buciek. Zręcznym ruchem chwycił za rączkę i nie puszczał.

– Pan to odda, młody człowieku!

– Ale ja pani pomogę, zaniemiemy dokąd trzeba. Prawda? – Stażysta popatrzył błagalnie na aspiranta Maciejaka, który stał obok.

– Tak... Oczywiście, że zaniemiemy... Nie będzie pani nosić takich ciężarów. Przejdziemy się z panią. – Aspirant w lot pojął, że towarzysząc starszej pani, mają największą szansę na poszerzenie wiedzy o podwójnym nieboszczyku.

Szli powoli chodnikiem do głównej alejki. Wyglądało na to, że rodzina starszej pani należy do szczególnie zasłużonych. Przynajmniej na to wskazywało miejsce wiecznego spoczynku, ulokowane w głównej części cmentarza. Aspirant i stażysta Buciek z zainteresowaniem czytali napisy na mijanych grobach. Wiał lekki wiaterek, słońce przygrzewało, a cmentarny spokój rozleniwił.

– Ja wiem bardzo mało – usłyszeli nagle.

Buciek aż przystanął na moment z wrażenia i zakołysał wiaderkiem.

– Uważaj, młody człowieku, jak wszystko wylejesz, to będziesz musiał iść z powrotem po wodę. Ja wiem mało, ale coś tam w końcu wiem. I wam powiem, niech stracę. – Starsza pani podjęła decyzję. – Zresztą i tak najczęściej to wam może powiedzieć Wincenty Szumiejko, nasz kamieniarz. Wprawdzie jest już na emeryturze, teraz jego syn prowadzi zakład, ale Wincenty na cmentarzu jest prawie codziennie, tylko tak koło jedenastej. On był przy tym, jak wyciągnęli tych dwóch nieboszczyków, podobno prawie zemdłał. To nie były

świeże zwłoki, bo jakby były świeże, to by od razu dzielnicowy do nich przyjechał. Podobno miały tak na oko ponad dwadzieścia lat. Wiecie, dziwnie to wyglądało. Jedna trumna, bardzo porządna, dębowa, jeszcze jej wieko w całości się ostało, w środku dwa szkielety, czaszki, strzępy ubrania. Jak się zdaje, coś tam znaleźli ciekawego. Wyglądało, jakby w jednej trumnie pochowano dwie osoby. W grobie, na którym nigdy nie było żadnego napisu i który uchodził za grób pusty! Poza tym słyszałam, że ksiądz proboszcz szuka teraz notatek sprzed dwudziestu lat, kartkuje kroniki i księgi. Mają problem, nikt nie pamięta podwójnego pogrzebu. – Nie wiadomo dlaczego uśmiechnęła się odrobinę złośliwie.

– Czyli mówi pani, że lepiej będzie, jeżeli przyjdziemy jutro? – zapytał Buciek.

– Przyjdźcie, kiedy chcecie, dzisiaj też możecie sobie pospacerować, ale jak chcecie z kimś porozmawiać, to tylko jutro do południa. Tak między jedenastą a dwunastą – doradziła.

– Dziękujemy pani. – Aspirant Maciejak ustawił na chodniczku obok grobu wiaderko i dyskretnie odczytał nazwisko wyryte złotymi literami na granitowej tablicy: „Grób rodziny Kranców”.

Odmaszerowali ku wyjściu odprowadzani baczным spojrzeniem pani Emeliny Krancowej.

* * *

W środę od rana zaczęło padać. Koło południa poranna ulewa przeszła w całkiem miły letni deszcz. Aspirant Rokicki tym razem był zadowolony, że może zostać w komendzie, natomiast aspirant Maciejak ze stażystą, nadrabiając miną, pożyczili parasole od kolegów i udali się pieszo na cmentarz. Nie przewidzieli wcześniej, że wszystkie samochody zostaną rozdysponowane. Stwierdzili optymistycznie, że taki deszcz to pryszcz, i poszli. Nie mieli bardzo daleko, ale i tak zdążyli zmoknąć. Cmentarz pełen był równie zmokniętych żałobników czekających na wyniesienie trumny z kaplicy. W kantorku było pusto, widocznie kierownik cmentarza miał co innego do roboty niż czekanie na policję. Aspirant Maciejak nie miał wątpliwości co do tego, że pan Antoni został dokładnie poinformowany o ich wczorajszej wizycie. Pytanie tylko, czy miał ochotę z nimi rozmawiać...

Deszcz nie ustępował i żałobnicy stojący na zewnątrz kaplicy zaczęli przestępować z nogi na nogę. Msza miała się już ku końcowi, pozostawała jeszcze mowa pożegnalna wygłaszana przez najbliższych zmarłego. Po pogrzebie jednego z lokalnych notabli przyjął się zwyczaj wygłaszania mów pożegnalnych. Nie zawsze z sensem, nie zawsze do rzeczy, ale ktoś tam zawsze musiał powiedzieć parę słów. Po chwili usłyszeli gwar, żałobnicy zafalowali i zrobili przejście dla ubranych w eleganckie garnitury karawaniarzy. W tym samym

momencie rozległ się dźwięk cmentarnego dzwonu. Z westchnieniem ulgi przemoknięty tłum przeszedł obok zafascynowanego widokiem stażysty Bućka.

– Chodź, idziemy. Co ci się stało? – Aspirant trochę zaniepokojony popatrzył na wmurowanego w chodnik Krzyśka.

– Nie... nic takiego... Wszystko w porządku. Tylko to pierwszy pogrzeb, jaki widziałem na żywo – tłumaczył się odrobinę speszony stażysta.

– Nie żartuj!

– Nie żartuję. Poważnie. Moi dziadkowie ze strony mamy zmarli, jak byłem malutki, ci ze strony ojca żyją do dzisiaj. Rodzice w porządku, ciotki, wujkowie też. My mamy bardzo małą rodzinę.

– To wystarczy na dzisiaj tego oglądania. Idziemy szukać pana Antoniego. Przejdziemy się w kierunku tego grobowca, może tam będzie – zarządził aspirant Maciejak.

Przy grobowcu było tłoczniej niż gdzie indziej. Pięć osób skupionych pod wielkimi czarnymi parasolami, stojących na małym kawałku betonu, dyskutowało zawzięcie.

– A ja wam mówię, że z tym jest coś nie tak! – siwy, żwawy starszy pan podniósł głos. – Chyba ja najlepiej wiem, że tutaj nikt nie został legalnie pochowany! W końcu to mój cmentarz! Przecież pamiętałbym! To znaczy, skoro, jak twierdzi twój klient, Siersza-Janicki leży pochowany na cmentarzu w Krakowie, to tutaj leży jakiś obcy nieboszczyk. Przemycony nie wiadomo przez kogo! I to jeszcze razy dwa! – w każdym zdaniu starszego pana pobrzmiwało niedowierzanie. – Coś mi się w tym nie podoba, wiem dobrze, że Siersza-Janicki nie miał rodziny.

– Ależ co ty wygadujesz, Antek?! – obruszył się drugi siwy pan. – Przecież mówiłem wam, że dwa tygodnie temu był u mnie krewny Sierszy-Janickiego. Taki elegancki, nawet dosyć sympatyczny. Tylko potem jeszcze tych dwóch młodych... To nie byli mili ludzie. – Wincenty westchnął przeciągle i podparł się prawą ręką o grób. Sam swoją gorliwość przeklinał w duchu. Gdyby wtedy nie poszedł zastąpić syna, nie mieliby tych wszystkich kłopotów.

– Moim zdaniem trzeba zawiadomić policję. Nie możemy tego tak zostawić. Teraz mają różne nowoczesne metody śledcze. Pobiorą z kawałka kości DNA, wezmą do badania. Wytypują, kto i kiedy zaginał, dopasują i tyle – wymądrzał się lekko przygarbiony, bardzo elegancki pan siedzący pod czarnym parasolem, na kawałku folii rozłożonym na grobie obok.

– Wszystko się zgadza, panowie.

Panowie odwrócili się energicznie w kierunku, skąd dochodził głos. Zobaczyli przed sobą wysokiego, dobiegającego czterdziestki człowieka, w zmoczonej deszczem policyjnym

mundurze. Człowiek wyglądał sympatycznie. Lekko łysiejący blondyn w grubych okularach uśmiechał się do nich łagodnie i patrzył wyczekująco. Obok niego stał o wiele młodszy i dużo grubszy mężczyzna. Ten też uśmiechał się uprzejmie. Policjanci pomimo mokrych mundurów prezentowali się godnie.

– Panowie pozwolą, że się przedstawimy – łysawy blondyn wyciągnął rękę w kierunku pana siedzącego na grobie. – Ja jestem aspirant Zygmunt Maciejak, a to nasz stażysta Krzysztof Buciek.

Panowie odkłonili się uprzejmie.

– Chcielibyśmy z panami porozmawiać na temat tego zaskakującego odkrycia. Czy może coś się do dzisiaj wyjaśniło, może ksiądz proboszcz odszukał, kto tam leży?

Panowie popatrzyli po sobie spłoszeni. Wcale nie mieli zamiaru reklamować się ze swoją wiedzą, a tym bardziej z nieśmiało klującymi się domysłami, które zaczynały niebezpiecznie dryfować w kierunku niegdysiejszych afer. Ale w końcu co oni wiedzieli? Jakies popłuczyny informacji, domysły domysłów pozbawione logiki i podstaw. Dwadzieścia lat temu afer było sporo. Odpryskiem której były te zaskakujące szczątki? Nie bardzo wiedzieli, jak się mają zachować wobec policji, ale sytuację uratował kamieniarz Wincenty.

– Dobrze, że panowie przyszli. Sam zamierzałem tam do was podejść, tylko ciutkę zwlekałem – usprawiedliwił się.

– Co prawda, to prawda, co się stało, to się nie odstanie – aspirant odpowiedział ugodowo przysłowiem. – Teraz niech nam pan powie, co pan wie.

– Tak naprawdę to nie wiem nic pewnego, ale podejrzewam, że w tym grobowcu został jednak pochowany Aleksander Siersza-Janicki, jego prawowity właściciel. Nie wiemy, czy został zamordowany, czy zmarł śmiercią naturalną, nie wiemy, kto go pochował ani kiedy, ale myślę, że ci, którzy zlecili mi otwarcie i remont tego grobowca, nie mieli zielonego pojęcia, że ktoś w nim leży. Byli pewni, że jest pusty. Miałem w nim wymurować nową piwnicę, zrobić półki na urny, że teraz niby będą się kremować. Miałem wykonać nowe wejście od zewnątrz, bo ta krata, która była założona, rozpada się ze starości. Nowa krata miała być zamykana na dwie porządne kłódki. Odniosłem wrażenie, jakby ktoś szykował sobie skarbiec, a nie grób, ale może się mylę. Urny też muszą być dobrze zabezpieczone. Chociaż ten elegancki pan przebąkiwał o alarmie, ale mu to wybiłem z głowy. Kto by latał na cmentarz tylko dlatego, że grobowiec wyje? – podsumował brutalnie pan Szumiejko.

Reszta pokiwała głowami ze zrozumieniem. Mieli takie samo zdanie jak nestor oświęcimskich kamieniarzy.

– Poza tym ci dwaj wyglądali mocno podejrzanie i posądzili mnie o plotkowanie. Ja

dobrze wiem, co mogę powiedzieć, a czego nie.

– A czego nie powiedziałaś? – zapytał żartobliwie dużo młodszy mężczyzna, podobny do Wincentego. Widać syn.

– Moja sprawa, nie wasza. Co mogę, to powiem naszej władzy. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli sami zobaczycie, co zostało z tych niegdysiejszych nieboszczyków. Wtedy zadecydujecie.

Starszy pan wyciągnął pęk kluczy i zaczął otwierać potężną kłódkę zawieszoną na kracie broniącej dostępu do grobowca. Krata była rdzawo-czarna, zmurszała, wyglądała, jakby miała się rozpaść. Po dłuższej chwili mocowania się z zamkiem wejście do grobowca stało się otworem. W czarną czeluść pierwszy, mocno pochylony, wszedł Wincenty, za nim aspirant Maciejak. Dla reszty nie starczyło miejsca.

To, co pozostało po dwóch zmarłych osobach, zmieściło się w jednym, czarnym, foliowym worku. Obok, owinięte w gazetę, leżały pozostałości ubrań i jedna para brązowych sandałów, zachowana, o dziwo, w doskonałym stanie. W grobowcu panował mrok rozjaśniany blaskiem latarki zamontowanej w telefonie komórkowym aspiranta. Bardzo pożyteczne rozwiązanie w takich sytuacjach.

– Dziwne, tylko jedna para butów.

Wincenty uśmiechnął się smutno.

– Panie aspirancie, myślę, że to nie jest dowód morderstwa. Przypuszczam, że jest to dowód na skąpstwo osoby, która tego zapasowego nieboszczyka chowała – wyjaśnił kamieniarz, a po chwili dodał: – Co ja przeżyłem, jak te podwójne szczątki zobaczyłem! I jeszcze to! Mam nadzieję, że media nie zwąchają sensacji.

– Wincenty, nie bądź takim pesymistą! – odezwał się starszy jegomość stojący z tyłu, przed wejściem, w którym aspirant rozpoznał Eligiusza Kamilskiego. Świeżo po przesłuchaniu, nadal cieszył się wolnością.

Jak zauważył aspirant Maciejak, prawie wszyscy zgromadzeni w pobliżu grobowca mężczyźni już dawno przekroczyli siedemdziesiątkę. Wyjątek stanowił syn Wincentego Szumiejki – około pięćdziesiątki, czerstwy, z poczuciem humoru. To on usiłował odrobinę bagatelizować sprawę, którą ekscytowała się reszta towarzystwa.

Aspirant popatrzył na Bućka. Stażysta nie odrywał rozognionego wzroku od wejścia do grobowca. Najwyraźniej miał ochotę wejść i zobaczyć miejsce zdarzenia na własne oczy. Maciejak zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Wyszło mu, że najlepiej będzie, jeżeli wdrożą standardowe czynności śledcze.

– Krzysiek, zaczekaj, niech najpierw ekipa wejdzie. Weź i zadzwoń, niech od razu

przyjadą i zabezpieczą ślady – polecił.

– Proszę pana, jakie ślady? – zdziwił się syn Szumiejki. – Przecież jeżeli tu były jakiegokolwiek ślady, to i tak zostały gruntownie zdeptane przez te tłumy zwiedzających. Pan wie, jaka to była cmentarna sensacja?

– Trzeba postępować zgodnie z procedurami. Gdybyście nas zawiadomili od razu, cała sprawa byłaby o wiele prostsza do rozwiązania. Teraz mamy dwóch w jednym worku. Nie wiadomo, do którego należały sandały? Może w środku coś się zachowało, zobaczymy. – Aspirant przestąpił z nogi na nogę. Bolał go kręgosłup, bolały go nogi. Na co dzień przyzwyczajony do jazdy samochodem, dzięki podwójnym nieboszczykom zażywał długich spacerów.

– Myśmy na początku nie skojarzyli, dopiero jak przyszedł ojciec... Ta trumna tak leżała odciągnięta na bok, to nieprzyjemna robota, zostawiliśmy ją na potem. A potem to zrobiła się cała afera. Kto mógł przypuszczać? – westchnął syn Wincentego i przysiadł na folii obok Alfreda.

– No cóż, mleko się rozlało, teraz trzeba poskładać wszystko w całość. – Aspirant nadal zachowywał się ugodowo. Czekał na ekipę.

Panowie pożegnali się grzecznie i rozeszli do swoich obowiązków. Zostali tylko Wincenty i Antoni, osoby, jakby nie było, urzędowe. Jedno zdanie rzucone na pożegnanie przez eleganckiego mężczyznę w dwurzędowej marynarce zwróciło uwagę aspiranta.

– Pamiętacie o sobocie?

– Pamiętamy! – odpowiedzieli chórkim.

Zgrana paczka. To było widać na pierwszy rzut oka. Pewnie koledzy ze szkoły. Takie przyjaźnie pozostają na całe życie. Są najtrwalsze.

Przez moment przy grobowcu zrobiło się luźniej. Dopiero po dwudziestu minutach przyjechała ekipa i technicy zaczęli zabezpieczać resztki śladów. Pracowali w milczeniu, skupieni, tak by niczego nie przeoczyć. Jeden na zewnątrz, drugi wewnątrz. Na zewnątrz nie było zbyt wiele pracy, więc skupili się na poszukiwaniach we wnętrzu grobowca. Nagle jeden z nich upadł na kolana i zaczął grzebać w prawym kącie pomieszczenia. Leżały tam jeszcze kości, zgniłe liście, strzępki szmat zmieszane z ziemią. Zbyt dużo rozmaitych śladów! Technik wstał, podszedł do walizeczki z przyborami, pogmerał w środku. Wyciągnął jeszcze jeden reflektorek. Teraz mógł pracować. Wrócił do kąta, doświetlił sobie i zaczął tę bezładną zbieranie przyszyłych dowodów rzeczowych rozdzielać i pakować do woreczków.

Instykt go nie zawiódł. Spod sterty zgnilizny wystawał skrawek żółtego, usianego czarnymi plamkami papieru.

– Panie aspirancie, ta kartka wygląda na list. – Technik wolał, by aspirant osobiście oglądnał na razie nic im niemówiący skrawek.

Aspirant, czekający dotąd przy wejściu do grobowca na efekty pracy ekipy, pochylił się, pamiętając, by głowę trzymać nisko. Kontakt z górną krawędzią wejścia był nieco bolesny. Tak zgięty w pół, wszedł ostrożnie do środka. Obawiał się zdeptania śladów. Gdy znalazł się w rogu grobowca, przykłęknął, sięgnął po pincetę leżącą w walizeczce i osobiście wyciągnął woniejący zgnilizną strzępek papieru. Przybliżył do oczu prawie rozpadający się w rękach świstek, ale nie umiał odczytać ani jednego słowa. Sięgnął po woreczek, włożył do niego dowód rzeczowy numer jeden, na razie nie wiadomo czego, i podał technikowi.

– Zabezpieczyć i do laboratorium. Może coś z tego odszyfrują – polecił, podniecony odkryciem.

Policjanci nawet nie zauważyli, kiedy przestał padać deszcz, a zza chmur wychynęło słońce. Ziemia parowała, wszystko zaczynało schnąć. Aspirant rozpiął mundur, robiło mu się coraz duszniej. Żałobnicy z pogrzebu dawno porozchodzili się do domów, dochodziła piętnasta. Zarządca cmentarza, pan Antoni, twardo trwał na posterunku. Był ciekawy, czy policjanci dojdą, co się za tym kryje. On wolał, by wszystko zostało załatwione po cichu. Proponował Wincentemu, żeby nieboszczyków pochować jeszcze raz. Zapakować ich razem do małej trumienki, zakopać w tej piwniczce i zamurować. Ksiądz odprawiłby mszę za zmarłych i byłoby po kłopotcie. Ale nie! Ten stary osioł Wincenty uparł się, że trzeba wyjaśnić sprawę. Antoni, dopiero sięgając pamięcią wstecz, zaczynał kojarzyć, co mogło się zdarzyć. Wszystko, o czym myślał, mieściło się w sferze przypuszczeń, domniemań i podejrzeń popartych usłyszanym lata temu zdaniem. Mógł się mylić, mylił się prawie na pewno, ale do pewności pomyłki brakowało tego małego „prawie”. Poza tym cała sprawa byłaby dla niego dużo lepiej zrozumiała, gdyby w grobowcu był pochowany jeden, a nie dwóch nieboszczyków. Dla tego jednego znalazłoby się wytłumaczenie, ale tamten drugi? I który był pierwszy, a który drugi? Wyjaśnienie kolejności pochówku pomogłoby mu zrozumieć, czy to, co przemknęło mu przez myśli, było prawdą, czy bzdurą wyssaną z palca. Na razie postanowił odpuścić i czekać, co znajdzie policja. Nie miał ochoty dodawać sobie problemów na stare lata.

* * *

Komisarz Ożegalski w czwartek wziął dzień urlopu. Wybierał się do Andrychowa, do dawnego kolegi z pracy, także namiętnego kolekcjonera kryminałów. Podobno tamten zdobył jakieś perełki i chciał się nimi pochwalić. Poza tym miał dla Sławka odłożoną porcyjkę do

zabrania. Taką mieli umowę. Brali, co w ręce wpadło, a potem wymieniali się między sobą. Ludzie takie książki wyrzucali z domu, że aż żal! Trzeba było je ratować od zniszczenia i zapomnienia.

Rano wypoczęty, odświeżony, zaopatrzony w liczne instrukcje od małżonki wsiadł w samochód i pojechał spokojnie trasą na Kęty. Dawno tędy nie przejeżdżał prywatnie – służbowo i owszem, ale jazda służbowa to co innego. Wtedy nie ma czasu na kontemplację otoczenia i napawanie się widokami. A tak kierował samochodem prawie automatycznie, oglądając krajobrazy i piękne budynki rosnące wzdłuż szosy jak grzyby po deszczu. Nawet nie wiedział, kiedy dotarł do kęckiego ronda. Postanowił pojechać prosto, przez rynek. Po remoncie reprezentacyjna część miasta zachęcała do wypoczynku. Drzewa, klomby i figura Jana Kantego kusily, by zatrzymać samochód, kupić parę gałek lodów i usiąść choćby na chwilę. Komisarz zawahał się przez moment, ale jednak postanowił jechać dalej. Kolega czekał. Wyjechał z Kęt i skierował się na Andrychów. Jechał prosto, lubił takie trasy, gdy prowadząc samochód, mógł przy okazji pomyśleć. Przypomniał sobie o głośno reklamowanym parku miniatur w Inwałdzie. W sumie niedaleko od Oświęcimia. Będzie się musiał wybrać z żoną i z chłopakami. W końcu są wakacje. W tym roku nie planowali wspólnego długiego wyjazdu, ale w ramach rekompensaty mogli pozwolić sobie na kilka krótszych wypraw i pozwiedzać pobliskie wsie i miasteczka. W okolicy roilo się od zabytkowych kościółków, klasycystycznych pałacyków i owianych mgłą tajemniczy cmentarzy. Warto było zacząć zwiedzać. Komisarz miał wyrzuty sumienia, że tak słabo zna swoje okolice. Mieszkał w Oświęcimiu od zawsze i o ile dobrze pamiętał, to nawet dziadek ojca urodził się już tutaj. Tutaj to znaczy w Klucznikowicach, ale to także był przecież Oświęcim. Powinien odświeżyć wiadomości. Wyruszyć w teren, a nie tak jak do tej pory tylko praca, dom, ogród i w czasie, gdy powinien spać – książki. Postanowił, że ten rok będzie inny. Mapa w dłoń i rower albo samochód. Będą zwiedzać, ile wlezie. Może koledzy z komendy też będą chcieli? Można podciągnąć służbowo pod poznawanie terenu.

Kolega od kryminalistów mieszkał blisko pomnika samolotu myśliwskiego, słynnego Lim-2, na starym osiedlu. Ożegalski pamiętał, jak całe lata temu, jeszcze za kawalera, przyjeżdżał do Andrychowa na najlepsze w okolicy placki ziemniaczane. Z sosem i kwaśną śmietaną, pachnące podsmażoną cebulką. Do tej pory przełykał ślinę na wspomnienie o nich i za każdym razem wstępował do baru, który jakimś cudem przetrwał, a nawet się rozrósł, nadal serwując legendarne już placki. Powoli wjechał w osiedlową uliczkę i zaparkował swojego fiata punto. Z rozrzewnieniem wspominał całkiem niedawne czasy, gdy podróżował ukochanym maluchem. Najpierw koloru yellow bahama, taki więcej sraczkowaty, kupiony

przez ojca jeszcze za dewizy, zaraz gdy tylko syn skończył osiemnaście lat. Zakup był dokumentnie przemyślany, Sławek był jedyną osobą w rodzinie, która nie tylko miała prawo jazdy, ale także potrafiła prowadzić samochód. Ojciec sam zresztą twierdził, że nigdy nie przeskoczy teorii, a co mu z praktyki, skoro mu się wszystkie znaki mylą... Matka lubiła być wożona. Zakup samochodu dogodził wszystkim, dając jednocześnie przyszłemu komisarzowi upajające poczucie wolności. Potem, już sam, kupił granatowego malucha, nowoczesnego. Zamiast linki do rozruchu maluszek posiadał klapkę, której odcignięcie do góry uruchamiało ssanie. Był zwrotny i szybki, kochał prędkość w okolicy stu dziesięciu i żadna droga nie była mu straszna. Dopiero gdy rodzina się powiększyła, dwoje dzieci i żona z trudem mieściły się w samochodziku, komisarz podjął bohaterską decyzję o zakupie przestronniejszego fiata punto, którym jeździł do dziś. Nie narzekał, też mu się trafił dobry, bezawaryjny egzemplarz, ale jednak swojego maluszka wspominał z czułością i rozrzewnieniem. Czasami podjeżdżał na Zasole i sprawdzał, czy z samochodem wszystko w porządku. Widać nabywcy byli do niego też przywiązani, bo po ojcu samochód przejął w posiadanie syn, a granatowy lakier nadal błyszczał jak nowy.

To były czasy... – westchnął i delikatnie zamknął drzwi punto. Popatrzył do góry. Okna u kolegi były pootwierane. Wietrzył od rana. No tak, po dziesiątej znowu zacznie się skwar nie do wytrzymania. Całe szczęście, że zapowiadali zmianę pogody od przyszłego tygodnia na trochę mniej upalną. Ciekawe, czy się sprawdzi, bo ostatnio te przepowiednie pogodowe kompletnie były oderwane od rzeczywistości. I jeszcze ten zachwalany przez opalone prezenterki i nie mniej strzaskanych słońcem prezenterów ukrop lejący się z nieba. Będzie pięknie, zwłaszcza dla tych, którzy codziennie muszą iść do pracy i nie mają klimatyzacji zapisanej w kontrakcie. Komisarzowi zebrało się na zgryźliwe podsumowania.

Drzwi prowadzące do klatki schodowej były zamknięte. Odszukał znajome nazwisko i nacisnął przycisk na domofonie. Po chwili otwierał drzwi do mieszkania kolegi, emerytowanego policjanta, obecnie właściciela agencji detektywistycznej, Dariusza Białka. Białek zajmował dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze typowego bloku. Mieszkanie było urządzone bez przepychu, wręcz skromnie – zawierało tylko najpotrzebniejsze sprzęty i urządzenia. Część ścian przedpokoju i dwie dużego pokoju zabudowano rzędami drewnianych, robionych na zamówienie regałów. W małym pokoju, służącym jako sypialnia, Białek trzymał książki na szafce nocnej; poukładane w eleganckie stosiki, czekały na przeczytanie. Jedynym wyjątkiem w tym zalewie książek była łazienka, do której Białek najczęściej przychodził z aktualnie czytaną książką. Czasami pozwalał sobie na kąpiel w pianie, z kieliszkiem wina i dobrym kryminałem w ręku. Także w kuchni górne półki

zajmowały książki. Wprawdzie kucharskie, odziedziczone po mamie, żonie i licznych ciotkach ciągle dorzucających nowe okazy do kolekcji kochanego Darusia.

Lwią część półek zajmowały poustawiane według krajów i autorów kryminały, thrillery i różnej klasy sensacje. Czasami obok siebie stały dwa, a nawet trzy jednakowe egzemplarze, czekające na moment, gdy któryś z nich powędruje w świat, pozwalając powiększyć kolekcję o nowy nabytek z wymiany. Przepastny skórzany fotel stojący w dużym pokoju zajmowała sterta kilkudziesięciu książek. Na ten jakże miły widok komisarzowi ręce same się wyciągnęły. Otworzył pierwszą książkę z wierzchu i zobaczywszy tytuł, aż zachłusnął się ze szczęścia.

– To dla mnie? – zapytał.

– Wiedziałem, że cię zatka – ucieszył się kolega. – Tak się złożyło, że ja mam, a ty mówiłeś, że szukasz do kolekcji. Wszystko, co leży na tym fotelu, jest przeznaczone dla ciebie, chyba że już coś posiadasz, to mi się potem przyda na wymianę.

– A skąd masz aż taką liczbę książek naraz? – zdziwił się komisarz, nagle uświadamiając sobie, że zachował się wobec kolegi co najmniej niegrzecznie. Wpadł do mieszkania, szybkie „cześć” i rzucił się na książki, jakby nigdy w życiu kryminału nie widział. – Ja cię naprawdę przepraszam, ale tak mnie zaskoczyłeś, nic mi nie mówiłeś przez telefon, myślałem, że może tak z dziesięć sztuk, ale nie kilkadziesiąt – tłumaczył się speszony.

– Nie przejmuj się, mnie by też przytknęło na sam widok, ale to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Wiesz, że ja się z moim zbieractwem nie kryję. Lepiej, żeby rodzina, znajomi i sąsiedzi wiedzieli, niż mieliby wyrzucać książki do śmieci. Trzeba trafu, że ostatnio ciocia Marysia robiła porządki na strychu. Wiesz, jak wygląda strych u cioci.

Komisarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Zdarzyło mu się przedzierać przez ostępy ciotczyego strychu w poszukiwaniu rzeczy w danym momencie niezbędnych. Najczęściej okazywało się, że te rzeczy leżą całkiem gdzie indziej, ale co się naszukał, pomagając Darkowi, to jego.

– Rozumiesz, o czym mówię. Ciocia uparła się, że będzie sprzątać. Wiadomo, musiałem przyjechać i pomóc. Prawda jest taka, że strych po porządkach niewiele różni się od strychu przed porządkami, ale ja akurat nie mogę narzekać. Przeglądając kartony ze starymi „Burdami” i kilkunastoletnimi, kolorowymi magazynami, odkryliśmy całą pakę powiązanych kryminałów. Wyglądały jak przygotowane do oddania na makulaturę. Przycisnąłem ciocię i przypomniała sobie, że lata temu, po śmierci wujka, spakowała wszystkie kryminały w paczkę. Rzeczywiście miała je oddać na makulaturę, tylko tak zeszło, potem robiła porządki

na dole i niepotrzebne rzeczy wyniosła na strych. Ja wtedy jeszcze pracowałem, mieszkałem w Oświęcimiu. O zbieraniu czegokolwiek nie było mowy. Pamiętasz, jaka z Małgosi była pedantka. A książki to kurz. Dopiero potem... Sam zresztą wiesz, jak było. – Białek zacisnął usta i umilkł. Nie miał ochoty na zagłębianie się we wspomnieniach. Co było, to było i się nie wróci. Teraz jest teraz. – W każdym bądź razie część kryminałów jest od cici, ja wziąłem te, których nie miałem, więc się nie krępuj. Reszta to biblioteka pani Ali. Pamiętasz panią Alę?

– Tak, pamiętam, taka miła starsza pani. – Komisarz z bólem oderwał się od przeglądania książek.

– No właśnie. Pani Ala wyprowadziła się od nas i to tak z dnia na dzień. Nikomu nic nie mówiła, sprzedała mieszkanie i wprowadziła się do córki. Narzekała, że już nie ma siły i pieniędzy na utrzymanie mieszkania, a tak, razem, będzie im łatwiej. Tyle tylko, że miejsca dużo mniej i musiała zlikwidować część biblioteki. Miałem kolosalne szczęście, że zgadałem się z nią na schodach. Nazajutrz miał przyjechać antykwariusz z Krakowa i zabrać wszystko. No i jeszcze tego samego dnia przyszedłem, powybierałem, co mi potrzebne. Nie uwierzysz, ale w ciągu tygodnia przyniosłem do domu ponad dwieście książek. I to jakich! Tylko że tytuły się powtarzały. Dlatego i ja mam, i ty dostaniesz. – Widząc po minie kolegi, że nie marzy o niczym innym, jak o spokojnym przejrzaniu książek, Białek machnął ręką i zdecydował: – To ty sobie powybieraj, co chcesz, a ja idę poprzeglądać internet. Jak skończysz, to pogadamy i spokojnie napijemy się kawy. Mam do ciebie sprawę.

Do zwisającego nad fotelem komisarza nie dotarło ani jedno wypowiedziane przez kolegę słowo. Nadal przedzierał się przez sterty, ustalając, które książki zabierze ze sobą. Wychodziło mu, że prawie wszystkie.

Po godzinie Białek pogrążony w surfowaniu po internecie poczuł na ramieniu rękę kolegi.

– Skończyłem, czterdzieści dwie sztuki, niesamowite! – entuzjazmował się komisarz. – Nie mam pojęcia, jak ci się odwdzięczę.

– Nie przejmuj się, zawsze może się zdarzyć, że i tobie taka manna z nieba spadnie, no to wtedy się ze mną podzielisz. Siadaj, zrobię nam kawy, musimy pogadać.

* * *

W sobotę nagle zrobiło się pochmurno i spadło parę kropli deszczu. Początek lipca był w tym roku wyjątkowo kapryśny. Alfredo czuł się odrobinę nieswojo, wybierając się z comiesięczną wizytą, tym razem do Eligiusza Kamilskiego. Sam przed sobą nie miał odwagi się przyznać, że widok Amelii, wspólna kawa i długie rozmowy wskrzesiły dawno uśpione

uczucia. Sam siebie mitygował. W końcu w tym wieku nie powinien myśleć, że jakaś kobieta, że Amelia...

Wtedy u Kołaczka siedzieli długo, delektując się kawą, bezami i czekoladowym ciastem. Potem zamówili jeszcze jedną kawę i pucharek lodowy dla uczczenia spotkania po latach. Od słowa do słowa, trochę wspominając, a trochę opowiadając o aktualnym życiu, Alfredo wygadał się przed Amelią. Nie powinien był nawet słowem wspominać o domówkach, ale tak mu się jakoś samo wysnęło, że ma problem, bo nie wie, co urządzić. Chciałby coś innego...

Amelia nie zastanawiała się długo. To była jedyna okazja, by bez wzbudzenia podejrzeń poznać wszystkich kolegów Alfreda, a zwłaszcza jednego z nich. Nie powinni nic podejrzewać. Wszystko musi wypaść naturalnie i tak wypadnie – postanowiła.

– Mój drogi – uśmiechnęła się uroczo, budząc kołatanie serca u dawnego męża. – Nie wiem, czy myślałeś kiedykolwiek o czymś takim jak wieczór kuchni włoskiej?

– A wiesz, że nie. Ja nigdy zbyt dobrze nie gotowałem, a teraz na emeryturze po prostu mi się nie chce. – Alfredo nigdy nie miał złudzeń co do swoich zdolności kulinarnych.

– Właśnie to jest to, czym mógłbyś zaskoczyć swoich przyjaciół. Jak rozumiem, spotykacie się systematycznie i w celach ściśle rozrywkowych.

– Zgadza się, wszystko jest tak, jak mówisz. To takie niewinne spotkania, żadne orgie czy coś w tym stylu, po prostu wspólnie pooglądamy telewizję, gazetkę przeglądniemy – dodał usprawiedliwiająco starszy pan. – Nam już niewiele od życia potrzeba, ale dlaczego mamy rezygnować ze wszystkiego? W końcu ja jestem samotny, Antoni wdowiec od lat, Eligiusz tak samo. Jedynie Wincenty ma żonę, ale to, że sobie film poogląda, nie ma żadnego znaczenia – usprawiedliwiał kolegę.

Amelia potaknęła, lekko przechylając głowę.

– Ja wam niczego nie wymawiam, ale tym razem, jeżeli chcesz odmiany, to przygotuj dla kolegów wieczór z włoską muzyką i włoską kuchnią. Jak wam się spodoba, to następny może być rosyjski albo francuski. Zależy, na co będziecie mieli ochotę.

– Wszystko to piękne, moja droga, ale kto przygotowuje te wszystkie potrawy? – zapytał, uśmiechając się nieśmiało i dopijając resztki zimnej już kawy.

– No cóż... Jak mnie ładnie poprosisz... – Amelia uśmiechnęła się promiennie, zwracając na siebie uwagę wchodzącej do kawiarenki pary. Ukłonili się jej bezwiednie, poddając się urokowi uśmiechu.

– Mogłabyś? – wyjąkał Alfredo, cały spocony z emocji i gorąca.

– Mogłabym... W końcu jeżeli mogę ci w czymś pomóc... – kobieta zawiesiła głos – to

pomogę. O ile dobrze pamiętam, kiedyś miałeś sporo kaset z włoską muzyką, a prawdziwe przeboje nigdy się nie starzeją. Poszukaj, jeżeli nie znajdziesz, to sama przyniosę parę kaset. A o menu się nie martw. Przygotuję ci taki wieczór, że oczarujesz całe towarzystwo – kusiła.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Naprawdę nie musisz. Myślałem, że mnie nienawidzisz. Tak wyjechałaś bez słowa. Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego. Co ja takiego zrobiłem? – sumitował się Alfredo.

Amelia przyglądała mu się uważnie. Widać było, że się przejął. Tyle straconych, zmarnowanych lat życia! Nie ma co myśleć. Na sobotę musi im przygotować zwalający z nóg wieczór i takie jedzenie, że długo będą wspominali. Do serca, albo jak w tym przypadku – do kieszeni, mężczyzny droga wiedzie przez żołądek. Nawet jakby musiała nagotować dla całego pułku piechoty.

– No to jesteśmy umówieni. – Uznała, że powinna się zbierać. Wystarczyło tego siedzenia i wysłuchiwanie wspomnień o bujnej młodości Alfreda. Połowa i tak wyssana z palca. Wyciągnęła z torebki puderniczkę i dyskretnie poprawiła makijaż. Wstała z krzesła, na ramiona narzuciła jedwabny, malowany w motyle szal i powiedziała: – Dziękuję ci za zaproszenie. Zadzwoń w piątek, to umówimy się dokładnie. W końcu te wszystkie pyszności trzeba upiec, zanim je zjecie – zażartowała i odwróciła się w kierunku wyjścia, nie przejmując się dziękczynnym mamrotaniem byłego męża. Wśród potoku słów wyłowiła coś o wdzięczności i zapłaceniu przez niego rachunku.

Oj, ty jeszcze niejeden rachunek zapłacisz. Poczekamy, zobaczymy. Na razie pierwszy punkt planu, czyli dotarcie do byłego męża, miała za sobą. Teraz należało dostać się do kręgu jego najbliższych przyjaciół. Podejrzewała, że jeden z nich był posiadaczem tajemnicy, na której zgłębieniu tak jej zależało. Musiała ich dokładnie poznać i wyselekcjonować tego właściwego człowieka. Na to potrzeba było czasu, a właśnie czasu zaczynało jej brakować. Wyszła z kawiarni, zostawiając byłego męża stojącego na baczność i odprowadzającego ją wzrokiem. Już nie wyglądał na tak zahukanego jak przed chwilą.

Czyżby się zorientował? Mimo ciepła owiało ją lodowate zimno. Otuliła się mocniej szalem, potarła dłonie, chcąc pobudzić krążenie. Musiała się spieszyć.

* * *

W piątek wyczekała do dziesiątej (Alfredo zawsze lubił sobie dłużej pospać) i zadzwoniła do byłego męża. Odebrał rozradowany, widocznie nie liczył, że będzie pamiętała o złożonej obietnicy. Okazało się, że zdążył już zrobić remanent w starych kasetach i wynalazł te z włoskimi piosenkami. Nie musiał tego Amelii mówić. Przez telefon dobiegał do

niej chrapliwy głos Drupiego. Ucieszyła się. Wszystko, co zaplanowała, było na najlepszej drodze do realizacji. Uzgodnili menu, trochę wspomnieniowe. Główną rolę miała w nim odegrać pizza z serami, pomidorami i rozmarynem – specjalność restauracji jej rodziców. Oprócz pizzy zaplanowała grzanki z mozzarellą i sałatkę rzymską. Na deser tiramisu i deskę serów z gruszkami. Do tego czarna kawa. Menu ułożyła tak, by było jednocześnie sycące i eleganckie. Jeżeli po takim posiłku nie owinie sobie byłego męża i jego przyjaciół wokół palca, to nie nazywa się Amelia Scolari. Całe szczęście, że miała w domu rozmaryn w doniczce przywieziony z Włoch. Nie ma to jak oryginał. Resztę zakupów zrobiła szybko w markecie, sprawdzając pozycja po pozycji na liście, którą spisała wcześniej. Chciała wszystko tak przygotować, by do Alfreda zawieźć prawie gotowe dania. Szczególnie dużo pracy czekało ją przy przygotowaniu pizzy. Zastanawiała się, jak wybrnąć z sytuacji. Gdyby to ona miała decydować, to ugotowałaby im spaghetti, też typowo włoskie danie, ale Alfredo się uparł. No cóż, trudno. Jak przyjedzie do Alfreda, to w pierwszej kolejności zarobi ciasto na pizzę. Powinno postać minimum godzinę, a przydałoby się dłużej. Sery są, pomidory są, rozmaryn w doniczce czeka.

Koledzy Alfreda byli nad wyraz punktualni. To u niego albo u Eligiusza Kamilskiego spotykali się najczęściej. Wincenty Szumiejko nie miał u siebie w domu warunków na takie imprezy. A to żona, a to wnuki, ciągle jacyś goście, rodzina, znajomi. Zero intymności. Wprawdzie żona wiedziała, że Wincenty co miesiąc spotyka się z kolegami ze szkolnej ławy, ale pojęcie o tym, co się dzieje podczas spotkań, miała mgliste. Wincenty wołał jej nie wtajemniczać, jeszcze by mu się żona niepotrzebnie denerwowała. Przecież i tak była jedyną kobietą w jego życiu, a że sobie pooglądał... Taka niewinna rozrywka.

Odmianą sytuację miał Antoni. Po śmierci żony zamiast korzystać z uroków emerytury i tak jak inni przesiadywać na ławeczce przed blokiem albo chociaż jeździć na działkę w celu uprawy czegośkolwiek, on całkowicie poświęcił się pracy. Nadal, tak jak i całe lata wcześniej, większość swego czasu spędzał na cmentarzu parafialnym. Zarządzał, doglądał, pilnował. Czuł się cały czas potrzebny. Nie wyobrażał sobie momentu, w którym przyjdzie do domu i już nigdzie nie będzie musiał wychodzić, nie będzie miał nic do zrobienia. Co najwyżej jakieś drobne zakupy, obiadek z papierka – nigdy nie przepadał za gotowaniem. Nie, takie leniuchowanie to nie dla niego. Chętnie przyjmowałby u siebie kolegów, gdyby nie dwie przeszkody. Po pierwsze, mieszkanie w bloku nie sprzyjało przyjmowaniu gości, a koledzy potrafili pohłasować, poza tym on nie miał nic przeciwko spojrzeniu raz czy drugi na ekran telewizora. Niestety, oglądane filmy miały sporo tak zwanych momentów i mało tekstu. Za to jakie przerywniki! Antoni wiedział, że takie imprezy

nie uszłyby oczom, a przede wszystkim uszom ciekawskich sąsiadek i miasto w szybkim tempie huczałoby od plotek, a wtedy – żegnaj praco na cmentarzu. Takie zachowanie nie licowało z jego dotychczasowym wizerunkiem. Z kolei brak pracy, i to tej pracy, wykończyły go szybko i Józek z Frankiem musieliby mu wykopać dół w wiadomym celu. Dlatego bawił się w konspirację i składał wizyty mniej zależnym od opinii publicznej kolegom.

Tym razem umówili się u Alfreda. To u niego mieli najlepsze warunki do swobodnych spotkań. Kwadratowa działka, na której stał dom, przylegała do wału i Alfredo mógłby codziennie uprawiać długie spacery wzdłuż rzeki. Mógłby, ale niespecjalnie lubił. Duży, nieco zaniedbany ogród otoczony był wysokim, zbitym z grubych desek płotem. Dawało mu to miłe poczucie odosobnienia. Nie przejmował się tym, że w ogrodzie zamiast kwiatów szaleją rumianki, a trawa już dawno powinna zostać skoszona. Dom, pomimo że z zewnątrz wydawał się mały, w środku był wyjątkowo przestronny i funkcjonalnie urządzony. Spotkania zazwyczaj odbywały się w salonie przylegającym do kuchni. U Alfreda wszyscy czuli się wyjątkowo dobrze i bezpiecznie. Tego dnia byli potwornie ciekawi, co się będzie działo. Alfredo przez telefon zapowiedział niespodziankę.

* * *

Aspirant Rokicki był już znużony przeglądaniem niewyraźnych ze starości, cuchnących grzybem akt. Od tygodnia systematycznie, kartka po kartce, świstek po świstku czytał i odkładał do granatowego, plastikowego kosza przyniesionego z domu wszystkie te archiwalne szpargały. Na razie przedarł się przez kilkanaście teczek zawierających opisy awantur domowych zakończonych rękoczynami i wyważaniem drzwi łomem, ewentualnie obrazy dewastowania tychże drzwi poręczną siekierką do rąbania drewna. Przeczytał opisy drobnych włamań do sklepów spożywczych w celach zaopatrzeniowych oraz podpalenia przez nieznanego sprawcę samochodu marki Polonez Caro. Podejrzenie padło na zawistnego sąsiada, ale skończyło się tylko na podejrzeniu. Polonez miał pojemność jeden cztery i silnik firmy Rover – i na ten temat prowadzący sprawę napisał cały elaborat.

Ze spraw samochodowych jeszcze jedna, niezwykle interesująca, zwróciła uwagę aspiranta. Piętnaście lat temu wykradziono cały renomowany komis samochodowy. To było niespotykane zdarzenie, a najbardziej niesamowite było to, że zawiadomienia o przestępstwie nie złożył właściciel okradzionego komisu, tylko właściciele oddanych w komis samochodów. Myk był prosty. Przyjeżdżał do komisu samochodowego posiadacz dobrego wozu. Najlepiej jakiegoś mercedesa, audi czy volkswagena. Właściciel umawiał się z nim, że

jak będzie miał kupca na jego samochód, to zadzwoni. Sprzedający podjedzie i zostawi samochód na jeden dzień. Taki układ pasował sprzedającemu, który mógł jeździć do ostatniej chwili, a potem od razu miał pieniądze w kieszeni. Sprzedający czekał cierpliwie na telefon, gdy właściciel komisju zadzwonił, ten przyjeżdżał i zostawiał wóz na komisowym placu. Operacja trwała krótko i była sprawnie przeprowadzana, a i kupujący, i sprzedający chwalili sobie taki system. Afera wybuchła, gdy jednego dnia dobrze ponad dwadzieścia osób przywiozło swoje samochody do sprzedania. Co jeden to bardziej luksusowy i drogi. Operacja została tak zorganizowana, że sprzedający nie wiedzieli o sobie nawzajem i nie widzieli samochodów na placu. Nazajutrz mieli zgłosić się po pieniądze. Gdy przyjechali, okazało się, że teren komisju jest zamknięty, dookoła żywego ducha nie ma, a na placu ani jednego samochodu. Wszystkie zniknęły. Zniknął też właściciel i pracownicy. Nie wiadomo gdzie. Samochodów już nie odzyskano, o właścicielu słuch zaginął. Nawet listy gończe nie pomogły. W trakcie przeprowadzania czynności służbowych okazało się, że cała akcja została bardzo sprytnie i precyzyjnie zaplanowana i przeprowadzona. Pracownicy zostali już tydzień wcześniej zwolnieni, działalność została wyrejestrowana. Płatności uregulowane. Nie było się do czego przyczepić. Zagadki zniknięcia samochodów nie wyjaśniono do dzisiaj.

Rokicki zastanowił się. Sprawa wyglądała na jasną i klarowną. Nieuczciwy właściciel komisju samochodowego poszedł na duży kant. Zorganizował sobie przerzut luksusowych bryk do Rosji albo na Ukrainę, a sam ulotnił się gdzieś za granicę. Zgarnął całkiem przyzwoitą kupę szmalu. Tak... musiał mieć niezłe znajomości, żeby tak wszystko samodzielnie zorganizować. A jeżeli nie samodzielnie? To był gruby kant, do tego potrzeba ludzi, choćby do przerzutu samochodów. A jeżeli miał współników, którzy namówili go na ten interes, a potem zabili i zwłoki umieścili w grobowcu? Cała ta historia pachniała mafią samochodową, a to nie są ludzie, którzy lubią dzielić się zyskami.

Rokicki dokładnie poukładał wszystkie kartki i karteczki w teczce, spiął je spinaczem. Te całkiem luźne zapakował do koszulki foliowej. Teczke odłożył na stertę spraw do wyjaśnienia. A nuż uda im się coś znaleźć? Kryminalistyka poszła tak do przodu, że może akurat jest szansa jeśli nie na odnalezienie samochodów, to chociaż śladu właściciela komisju samochodowego.

Poza tym cała masa spraw niejako zaopatrzeniowych. Od alkoholu po ubitego nielegalnie świniaka, nie mówiąc o hurtowym pędzeniu samogonu i to nie w lesie, pod chmurką, tylko w mieście. Bimber zawsze kojarzył mu się z wsią i chatą pod lasem, ale to chyba zadziałały opowieści ojca, inżyniera chemika, który po studiach zamieszkał na wsi, w domku pod lasem. Właśnie wtedy poznał mamę Jerzego, pobrali się i zostali rodzicami. Żeby

wykarmić kapryśnego malca, ojciec pędził bimber i wymieniał na kurczaki i króliki ze znajomymi gospodarzami. Wszystkim taki układ pasował. Rolnicy dostawali bimber wysokiej jakości, w końcu od inżyniera chemika, a on mięso dla dziecka. Czasami nawet sam się załapał na udko z kurczaka albo króliczą nóżkę. Ojciec z łezką w oku wspominał tamte czasy, twierdząc, iż aparatura już dawno temu uległa zniszczeniu. Rokickiemu nie chciało się w to wierzyć. Przypuszczał, że ojciec nie chciał wprowadzać rozterek w jego policyjne życie, bo pędzenie bimbru nadal było zajęciem nielegalnym i podlegającym karze. Rokicki już nie pamiętał tych czasów, gdy czystą kupowało się na kartki, a wyprawienie przyjęcia weselnego było przedsięwzięciem karkołomnym i najeżonym łamaniem przepisów prawa. Temu w łapę, tamtemu w łapę. Znajomy znajomego pomoże. Odkupić kartki albo wymienić na coś innego. Wystać w kolejce przez całą noc, zapisać się na listę i odhaczać obecność. W głowie mu się to nie mieściło.

O, nawet tutaj taki ciekawy przypadek, sprawców nie złapano. Z zainteresowaniem czytał notatki z miejsca zdarzenia. Włamanie do sklepu spożywczego sprzed dwudziestu lat. Patrol policji przejeżdżający ulicą Dąbrowskiego, od strony Starego Miasta, dostrzegł palące się na ful światła w sklepie spożywczym. Wiadomo było, że personel należał do oszczędnych i nigdy światła w taki sposób nie palił, ledwie jakaś mała żaróweczka się tliła. Ten drobny szczegół zwrócił uwagę jednego z przejeżdżających funkcjonariuszy. Podjechali bliżej i okazało się, że dzielnicowy Białek miał nosa. Metalowe i okratowane drzwi zostały uszkodzone poprzez wyważenie zamka, a złodzieje, nie troszcząc się o nic, wywieźli najwidoczniej towar, bo nikt nie wierzył, że pięć kontenerów czystej byliby w stanie unieść na własnych plecach. Chyba że... Złodzieje mieli nosa, sklep był świeżo po towarze, dlatego kierowniczką nawet nie potrzebowała liczyć, co zginęło, tylko przeczytała z faktury. Do tego w charakterze zagrychy zabrali kiełbasę krakowską suchą, ser żółty gouda i śledzie marynowane w ilości trzynastu słoików. Rokicki poczuł ssanie w żołądku. Ileż można czytać o jedzeniu? Jeszcze tylko jedna strona, skończy i odłoży teczkę do przeczytanych. Co tam jeszcze zginęło? Pięć paczek kawy mielonej, paluszki, szampan Sowietskoje Igristoje... O! To jakiś koneser się trafił wśród złodziei. Dzielnicowy przesłuchał kierowniczkę sklepu i personel. Świadków nie było. Całe zdarzenie miało miejsce w piękną majową noc, pomiędzy drugą a piątą nad ranem, kiedy to patrol dostrzegł światło. Ciekawe skąd było wiadomo, że nie przed drugą? A właśnie! O pierwszej patrol też przejeżdżał. Inne czasy były. Niby mało benzyny, mało ludzi, ale porządku pilnowali, a oni tylko te papiery i papiery przekładają – narzekał w myślach Rokicki.

Dawne Ogrody... Gdzie to jest? Gdzieś blisko tego sklepu. No tak, teraz to teren stacji

benzynowej. Słyszał o Ogrodach od ojca. Ponoć w tamtejszych szklarniach kwitły pola storczyków, posadzonych jak w naturalnym środowisku – między zmurszałymi pniami drzew. Może jednak przenosili tę wodę na plecach? Wszystko możliwe. Ktoś doniósł, że tam odbywały się libacje. Patrol podjechał następnego dnia, ale nikogo już nie było. Trochę prawdy musiało być w donosie, bo zabezpieczono jeden plastikowy kontener po wódce i jakieś bliżej niezidentyfikowane odciski palców. Sprawców nie wykryto, zresztą nikt za tym specjalnie nie biegał. Ubezpieczyciel pokrył straty i wszyscy byli zadowoleni.

Aspirant trzymał przez chwilę w ręku zamkniętą teczkę. Niby przeczytał, nie było żadnej zbieżności z podwójnym nieboszczykiem, ale sprawa go zainteresowała. Te odciski palców. Można by było sprawdzić w bazie danych, może akurat się trafi. Tak dla własnej satysfakcji. Odłożył teczkę do żółtego korytka przeznaczonego na sprawy rokujące rozwiązanie. Granatowy koszyk ze sprawami już przeglądniętymi i zakwalifikowanymi do spalenia (w końcu tych akt tak jakby nie było i nie musieli ich trzymać na wieczność) przestawił na podłogę. Zabierze ten, kto ma piec, żeby się po śmietnikach nie plątało. Chyba że komisarz zdecyduje inaczej. Na razie nie miał się kogo zapytać.

Komisarza wywiało od rana, a Maciejak powędrował konferować z księdzem proboszczem. Buciek rzucił w przestrzeń, że wychodzi na cmentarz, i tyle go widzieli. A on jak ta sierota... No, chociaż sobie teraz kawę ze śmietanką wypije, a do tego może jakieś ciasteczko... Rokickiego kusiło napoczęcie świeżych delicji, ale pamiętał o rzucanych w przestrzeń groźbach o śledztwie. Nie jego wina, że ciągle miał ochotę na słodkie. Nie można tak sobie wszystkiego odmawiać, poza tym ma sukces... Taka ciekawa sprawa... I jedna, i druga. A delicji dokupi jutro przed pracą. Rozgrzeszywszy się solennie w myślach, najpierw dokładnie umył ręce, a potem odświeżony sięgnął po paczkę delicji wiśniowych i rozerwał opakowanie, rozkoszując się ulatującym z paczki zapachem czekolady. Każdemu w życiu należy się odrobina przyjemności na co dzień. Poza tym, gdyby komisarz siedział w pokoju, to by się go zapytał, a tak to trudno, musi sam decydować.

* * *

Aspirant Maciejak poważnie potraktował wizytę w kancelarii parafialnej. Dowiedział się, że najlepiej będzie, jeżeli zajrzy około dziesiątej rano, bo kancelaria jest zazwyczaj otwarta do dziesiątej trzydziści. W ten sposób będą mieli czas, by swobodnie porozmawiać. Ksiądz, z którym aspirant kontaktował się przez telefon, nie chciał się wypowiadać ani na temat cmentarza, ani podwójnego nieboszczyka, twierdząc, że tylko ksiądz proboszcz jest kompetentny w tej sprawie i aspirant po prostu musi uzbroić się w cierpliwość.

Teraz czekał w ciemnej, wykładanej boazerią poczekalni. Czuł się nieswojo wśród okolicznych elementów okupujących twardą, drewnianą ławkę i podpierających ściany. Niestety nie miał innego wyjścia, musiał poczekać na swoją kolej. Ksiądz proboszcz sływał z dobrego serca i wspomagania co poniektórych, wykorzystujących tę dobroć parafian. Kolejka szła szybko, ludzie wychodzili z kancelarii i bąkając półgębkiem pożegnania, opuszczali ciemne pomieszczenie. Aspirant się nie pchał, wołał, by ostatni zainteresowany parozłotową dotacją opuścił poczekalnię. Punktualnie o dziesiątej zrobiło się pusto. Policjant wstał z twardej ławki, rozprostował kości, poprawił krawat, nie pukając w zwaliste drzwi, nacisnął klamkę i wszedł. Znalazł się w małym, dusznym pomieszczeniu ze ścianami zabudowanymi regałami. Same akta, nic, tylko papier, westchnął współczująco i rozejrzał się. Przy bocznych drzwiach, prowadzących z pokoju w głąb budynku, stał młody ksiądz ubrany w dżinsy i szarą koszulę z koloratką. Aspirant uśmiechnął się nieśmiało.

– Dzień dobry, czy mam przyjemność z księdzem proboszczem? – zapytał.

Młody ksiądz pokręcił przecząco głową.

– Szczęść Boże, tak się złożyło, że ksiądz proboszcz musiał udać się z posługą kapłańską i niestety nie może się z panem spotkać, ale upoważnił mnie do rozmowy.

– Och, to dobrze! – ucieszył się aspirant. Od razu wyczuł, że rozmawia z osobą kompetentną i konkretną. – Mam nadzieję, że dowiem się czegoś... To znaczy... – zaplątał się – chcemy wiedzieć, kto został pochowany w tamtym remontowanym grobowcu. Nie ma napisu, pan Antoni mówi, że nic nie wie, a w grobowcu leży dwóch nieboszczyków. To znaczy już nie leżą, tylko myśmy ich zabrali – zająknął się, niepewien reakcji bądź co bądź osoby duchownej. – My nawet na razie nie wiemy, czy ci ludzie zmarli śmiercią naturalną, a przypadek sprawił, że zostali razem pochowani, czy też ktoś ich zamordował, bo tej możliwości również nie możemy wykluczyć – policjant usiłował jak najdokładniej przekazać księdzu, o co w tym chodzi.

Ksiądz podszedł powoli do dużego, założonego księgami biurka i poprosił, by aspirant zajął miejsce po przeciwnej stronie. Sam także usiadł. Zaczekał chwilę, aż gość usadowi się wygodnie, po czym sięgnął po księgę kancelaryjną obitą zieloną skórą i otworzył ją na założonej uprzednio żółtą karteczką stronie. Chwilę szukał wzrokiem odpowiedniej pozycji, po czym położył palec na samym środku strony i przeczytał cichym, jednostajnym głosem:

– Grobowiec rodziny Siersza-Janickich. Użytkowanie opłacone na dwadzieścia pięć lat przez Aleksandra Sierszę-Janickiego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. W grobowcu została pochowana jedna osoba, Aleksander Siersza-Janicki. Było to dziewiątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Siersza-Janicki urodzony

drugiego marca tysiąc dziewięćset piętnastego roku miał w chwili śmierci siedemdziesiąt sześć lat. – Ksiądz oderwał wzrok od wpisu w księdze, zdjął okulary i popatrzył na zaczerwienionego z emocji aspiranta Maciejaka. – To by było to, co mamy udokumentowane. Na pewno nikt potem nie został pochowany w tym grobie. Ksiądz proboszcz nie przypomina sobie takiego zdarzenia, nie ma żadnej notatki na ten temat, żadnego wpisu. – Ksiądz przerwał na chwilę, wypił łyk wody z kubka, zastanowił się przez moment, po czym dokończył ze słyszalną ironią w głosie: – Doszły do nas słuchy, że mamy problem ze znalezieniem wpisu, ba, że w ogóle takiego wpisu nie ma. Jak pan widzi, nie wszystko, co ludzie mówią na cmentarzu, jest prawdą. Panu Antoniemu wydaje się, że wie wszystko, a nawet że wie więcej od samego księdza proboszcza. A to nieprawda. Poza tym niech sobie przypomni, gdzie był w kwietniu dziewięćdziesiątego pierwszego. Czy czasem nie w sanatorium i to przez miesiąc?

Aspirant Maciejak z powątpiewaniem pokiwał głową.

– Czyli jednego nieboszczyka mamy wyjaśnionego, a ten drugi nadal pozostaje nieznanym. I zastanawia mnie, dlaczego na grobie nie ma napisu. Jeżeli Siersza-Janicki nie miał rodziny, to kto organizował pogrzeb? Wygląda na to, że nikt się tym grobem nie interesował przez całe dwadzieścia lat. A potem? Czy może ksiądz powiedzieć coś na temat tego starszego pana, który zlecił remont? Podobno miał pismo podbite przez kancelarię, grób wymierzył pan Antoni. Niby wszystko legalnie, ale coś mi tu nie gra.

– Cóż, papiery były w porządku, wyraziliśmy zgodę, bo w końcu rodzina ma prawo do przeprowadzenia remontu czy przebudowy. Na razie grób jest opłacony. Ten pan mówił, że jak skończą remont, to zapłaci z góry za następne dwadzieścia pięć lat. Nie znamy nazwiska osoby dysponującej grobem, wyszłoby, gdyby przyszedł kogoś pochować albo gdybyśmy wystawiali pokwitowanie, a tak... Było tylko napisane, czyj grób i wymiary. Tam jest tak mało miejsca, że przestrzegamy reguły, by nie powiększać grobów. Ale przecież kamieniarz na pewno ma upoważnienie albo zlecenie remontu, no choćby podpisany rachunek. On na pewno będzie znał nazwisko zleceniodawcy – zasugerował ksiądz.

Aspirant już podnosił się z twardej, niewygodnej ławki, gdy nasunęło mu się jeszcze jedno pytanie.

– Jeżeli można, to czy ksiądz proboszcz pamięta, jak zmarł ten Siersza-Janicki? Czy to były jakieś niewyjaśnione okoliczności, czy wszystko normalnie? W końcu nie był taki stary...

– Na to pytanie niestety nie mogę panu odpowiedzieć, ale może żyje ktoś z jego dalszej rodziny, jakaś osoba bliska. Ja w ogóle pierwszy raz spotykam się z tym nazwiskiem.

Na pewno gdybym je sływał, to bym zapamiętał. Ono wpada w ucho i zostaje w pamięci. – Ksiądz też podniósł się z miejsca i wyszedł zza biurka. – Jeżeli jeszcze moglibyśmy w czymś pomóc, to zapraszam. – Zastanowił się przez moment, zawahał, po czym podszedł z powrotem do biurka, z pojemniczka wyciągnął małą, białą karteczkę i napisał dwa numery telefonów. – Proszę, tutaj ma pan drugi numer do kancelarii, a ten niżej to moja osobista komórka. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Powiem panu szczerze, zainteresowała mnie ta nietypowa sprawa. Wiem, że nasz cmentarz kryje różne tajemnice, ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Jeżeli mógłbym w czymś pomóc... Proszę się nie krępować i dzwonić. Pomogę z chęcią.

Aspirant wychodził z kancelarii podbudowany. Wyglądało na to, że zyskał sprzymierzeńca przy wyjaśnianiu tej jakże skomplikowanej sprawy. Teraz należało ustalić, kim był i skąd się wziął w trumnie drugi nieboszczyk. Zastanawiał się nad kwestią praktyczną. Jak w jednej trumnie mogą pomieścić się dwa ciała? Przecież w środku nie ma aż tyle miejsca. Chyba żeby wywalić te wszystkie poduszki, koronki i tiule oraz pod warunkiem że obaj byli mikrej budowy. Obaj? A może drugi nieboszczyk to kobieta? Te wszystkie kostki i kosteczki tak były przemieszane, że nie byli w stanie rozróżnić, a i prawdę mówiąc, nie zwrócili szczególnej uwagi na rozmiary i budowę miednicy. Musi koniecznie zadzwonić do doktora Jastrząbka, może już coś wie.

Zeskakiwał ze schodów z werwą, pełen energii, dalej kombinując. A może drugi nieboszczyk został po prostu dołożony? I to nawet niekoniecznie w tym samym dniu. Jeżeli trafił się ktoś mało obrzydliwy, to i po miesiącu był w stanie dołożyć drugie zwłoki, a wiadomo, że ta robota nie jest dla obrzydliwych. Czyli ktoś z cmentarnego kręgu. To nie było skomplikowane. Wystarczyło mieć tylko klucz do kłódki albo, co bardziej prawdopodobne, podważyć kłódkę małym łomem, otworzyć, a po wszystkim założyć nową. Nic takiego dla chcącego. Ktoś miał dostęp do kraty i dostęp do cmentarza w porze, gdy nie ma na nim ludzi, jest cicho i pusto. Trzeba będzie sprawdzić, kto pracował na cmentarzu te dwadzieścia jeden lat temu. Powoli, po nitce do kłębka.

Bardzo zadowolony wsiadł do samochodu, wyjechał z placu przy kancelarii i płynnie włączył się w ruch uliczny.

* * *

Komisarz Ożegalski stał przed sklepem jubilerskim i zastanawiał się, jak to było te dwadzieścia parę lat temu. Który z licznych oświęcimskich złotników prowadził w tamtych latach działalność, kto przetrwał, a kto zdążył ze trzy razy zmienić profil działalności? Kto

żyje jeszcze, a kto umarł? Sam takich szczegółów nie pamiętał. Ogólniak i owszem kończył w Oświęcimiu, ale na studia wywędrował do Katowic. Dopiero po studiach wrócił do miasta nad Sołą i zaczął pracę w policji. Siedemnaście lat przeleciało jak z bicza strzelił. Musi pogrzebać w pamięci, przypomnieć sobie, o jakich sprawach rozmawiali w komendzie starsi koledzy. Na razie miał czarną dziurę i kłopoty z odtworzeniem pierwszych miesięcy w pracy. Co do jubilerów, to powinien zrobić wywiad, popytać. Albo lepiej niech Maciejak popyta. On ma dar wyciągania od ludzi wiadomości. Tak mimochodem, w czasie rozmowy o wszystkim i o niczym. Maciejak będzie najlepszy. Komisarz momentalnie poczuł ulgę, zrzucając na aspiranta ciężar rozmów z ludźmi.

Otrząsnął się z zadumy i wszedł do środka sklepu. Rozejrzał się uważnie i dokładniej spojrzął na artystycznie poukładane precjoza. Tak mu się wszystko skrzyło i mieniło kolorami tęczy, że postanowił parę drobiazgów pooglądać z bliska. Miał przed oczami zachwycające łańcuszki, bransoletki, wisiorki. Wszystkie misternej roboty. Pierścionki przepiękne, ozdobione barwnymi kamieniami, pierścionki z brylantami skrzące się w słońcu. Wyroby włoskie, markowe i masówka. Wyroby własne. Przeróbki posiadanej przez klientów biżuterii, kupno i wymiana przedmiotów ze złota na inne, oczywiście po cenie złomu, nie wyrobu. Ktoś musiałby być mocno zdesperowany, żeby zgodzić się na taki handel!

Podobało mu się srebro. Dużo mniej nachalne od złota, a też piękne. O, ta bransoletka na przykład. Skromna, a elegancka, taka jak jego żona. Powinien pomyśleć o prezencie dla niej. W końcu za niedługo będą obchodzili dziesiątą rocznicę ślubu, a to nie byle co. Komisarz stał przed gablotką, wpatrując się zachłannie w piękną bransoletkę. Sięgnął po leżące na szafce cenniki. Numerek dwieście pięćdziesiąt osiem. A niech cię! – aż syknął pod nosem. Bransoletka kosztowała cztery stowy. Do tego przydałby się wisiołek z łańcuszkiem, kolczyki i pierścionek do kompletu. Murowany tysiączek albo nawet więcej. Trochę go otrzeźwiło. Może jednak lepiej by było zabrać żonę do teatru, do Krakowa albo nawet do Warszawy. Wyjdzie na to samo, a rocznicę uczczą oboje, bez dzieci, odpoczną na łonie kultury. Ma jeszcze trochę czasu, by coś atrakcyjnego wymyśleć.

Komisarz miał szczęście. Trafiła mu się małżonka nad wyraz rozsądna i bezpretensjonalna. Rozumiejąca, że skoro wyszła za mąż za policjanta, którego wiecznie nie ma w domu, to po ślubie nic się w ich życiu nie zmieni i mąż nie zacznie przychodzić do domu na obiad o szesnastej. Najcięższy dla niej był czas po urodzeniu dzieci. Najpierw była wściekła, że bliźniaki i to dwóch chłopców. Z czasem doszła do wniosku, że nic lepszego nie mogło się zdarzyć. Dzieci były już trochę odchowane i właśnie miały pierwsze w życiu wakacje. Ona po latach zajmowania się domem i dziećmi mogła wrócić do wymarzonego

zajęcia. Przed laty urzędniczka w urzędzie gminy, potem całe lata kobieta prowadząca dom, postanowiła zrealizować swoje marzenia z młodości i założyć pracownię krawiecką. I tak przez całe lata szyła na potrzeby domowników. Czasami jakiejś koleżance wyświadczyła przysługę i uszyła spódnicę czy bluzkę. Gdyby chciała, miałaby sporo zajęcia, ale zawsze brakowało jej czasu. Teraz, po naradzie rodzinnej, postanowiła zacząć zarabiać na coraz większe potrzeby rodziny szyciem. Pracownię założyła sobie w domu, przeznaczając na nią jeden pokój na parterze. W zasadzie pokój to było dużo powiedziane. Po prostu mąż wyremontował kanciapę przy kuchni, służącą całe lata jako spiżarka i jednocześnie składzik. Dzięki temu wszystko miała pod ręką. Mogła szyć, gotować i pilnować, by chłopcy odrabiali lekcje. Komisarz doskonale wiedział, że trafił mu się skarb, nie żona, i teraz zamierzał ten skarb odpowiednio docenić.

Tak... Jednak dużo lepszy będzie teatr. Potem kolacja w restauracji, jakiś hotelik. I jemu, i żonie należała się odrobina wypoczynku. Jeszcze raz popatrzył na bransoletkę, potem ogarnął wzrokiem ściany i sufit. Zewsząd patrzyły na niego oczy kamer. Sklep posiadał solidne zabezpieczenia. I bardzo dobrze. Przynajmniej w razie czego wszystko będzie nagrane, zarejestrowane i udokumentowane. Nie to, co kiedyś, gdy najlepszym zabezpieczeniem była własna, często nielegalna broń względnie przemykana przez czechosłowacką granicę gaz łzawiący. Komisarz aż przystanął w miejscu, jakaś myśl mu mignęła i poleciała dalej. Co to było? Jakieś niejasne skojarzenie, jakaś sytuacja. Pokręcił bezradnie głową, zwracając na siebie uwagę ładnej sprzedawczyni.

– Dzień dobry, czym możemy służyć? – zapytała uprzejmie.

Komisarz zaliczał się do przystojnych mężczyzn. Wprawdzie nie przypominał żadnego z mniej lub bardziej znanych aktorów, ale kobiety zwracały na niego uwagę. Wysoki, ale nie za bardzo, dobrze zbudowany, wytrenowany, w lecie najczęściej ubrany w czarny podkoszulek i dżinsy, imponował muskulaturą i opalenizną. Kłopoty z szybko przerzedzającymi się włosami zlikwidował, goląc głowę na łyso. Tuż po czterdziestce, mógł się podobać. Teraz odrobinę speszony nie wiedział, jak ma odmówić tej miłej kobiecie. Najlepiej było powiedzieć wprost.

– Bardzo dziękuję, ale przyszedłem tylko pooglądać, jeszcze się na nic nie zdecydowałem. Mam czas – uśmiechnął się grzecznie. – Do widzenia.

– Do widzenia, zapraszamy ponownie – kobieta nadal była ujmująco uprzejma. Następnym oglądającym. Nic tylko oglądają i oglądają, a sklepy są od kupowania, a nie od oglądania, pomyślała nieco już zmęczona. Popatrzyła jeszcze czujnie na gabloty, czy wszystkie pozamykane, i wycofała się na zaplecze. Miała przed sobą całą masę pracy z

wyceną wyrobów, a potem musiała jeszcze posprawdzać wystawiony towar z listą. Coś się jej nie zgadzało, miała niejasne wrażenie, że czegoś jej brakuje. Musiała wziąć skoroszyt do ręki i numer po numerze sprawdzić, czy wszystkie wystawione przedmioty leżą na swoich miejscach. Powinna to zrobić, tylko od paru dni nie miała czasu, by się za tę nużącą pracę zabrać.

* * *

Komisarz Ożegalski szedł rytmicznym krokiem, rejestrując czujnie widziane po drodze scenki. Nie ma to, jak czasami przejść się ulicami własnego, rodzinnego miasta. Przynajmniej człowiek ma szansę zauważyć zmiany. Tu się budują, a tam remontują. Gdzie indziej z kolei pełną parą trwają rozbiórki. Postąpił chwilę przy kiosku Ruchu, pooglądał wystawioną prasę. Skoro już tam był, to postanowił kupić „Gazetę Krakowską”. Dowie się przy okazji, co w regionie słychać. Przez parę minut miło gawędził z panią sprzedającą gazety, pożegnał się z nią, gdy zauważył, że blokuje niecierpliwą się kolejkę. Odchodząc od kiosku, spostrzegł nadjeżdżający od strony ulicy Sienkiewicza samochód straży miejskiej – zbliżał się pogrom kierowców parkujących bez ważnego biletu parkingowego.

Pograżony w myślach, podążył w kierunku klasztoru sióstr serafitek. Zabudowania zakonne, zawierające w swoim kompleksie klasztor, kościół, przedszkole, dom sióstr emerytek i zakład opiekuńczo-leczniczy, były ogrodzone porządnym, wysokim murem. Zauważył, że jedna furta jest otwarta. Można było wejść do kościoła, pomodlić się. Przypomniał sobie, że jest to jedyny kościół tego zgromadzenia na świecie. Wybudowany pod koniec dziewiętnastego wieku w stylu neogotyckim, strzelisty, piękny, od strony placu Tadeusza Kościuszki przysłonięty rozłożystymi koronami drzew, emanował urokiem gotyckich katedr. Trochę jednak pamiętał. Lekcje religii z katechetką Antoniną Małysiak na coś się przydały. Pamiętał ją tak, jakby od czasów, gdy chodzili na religię do salki katechetycznej przy kościele, minęło parę, a nie prawie trzydzieści lat. Tak... następnym razem zabierze chłopców i żonę, pójdą, chociaż zwiedzą, zobaczą, jak kościół wygląda w środku. Widział z zewnątrz, od strony przedszkola, że siostry znowu remontują. One to mają zdrowie... Jak nie remontują, to budują, i tak od ponad stu lat.

Właściwie skoro już tu jest, to może zaglądnąć na cmentarz. Ciekawe, co aspiranci ustalili. Trzeba by było pomóc Rokickiemu w przeglądaniu tych zwałów akt. Czuł przez skórę, że klucz do rozwiązania tajemnicy podwójnego nieboszczyka kryje się wśród tych protokołów sprzed lat. Szkoda tylko, że to wszystko było złożone w piwnicy byle jak, w jedną stertę. Zero chronologii. Zaraz za teczkami ze sprawami z roku tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątego drugiego sprawy z dziewięćdziesiątego szóstego. Jak to w ogóle możliwe?! Dziwił się, że te akta przetrwały. Przynajmniej tych z siedemdziesiątego drugiego już dawno nie powinno być. Trzeba się sprężyć. Komisarz najbardziej bał się, że za chwilę komendant zleci im jakąś skomplikowaną sprawę do rozwikłania i nie będą mieli czasu na hobbistyczne zajmowanie się nieboszczykiem. Chyba że doktor Jastrząbek odkryje coś interesującego.

Raźnym krokiem wszedł w uliczkę prowadzącą na cmentarz. Nie uszedł daleko, gdy usłyszał:

– Dzień dobry, panie komisarzu. Czyżby coś nowego? Mają panowie dzisiaj spotkanie na cmentarzu? – Z kiosku obstawionego dookoła zniczami, wiadrami z kwiatami i plastikowymi pomarańczowo-żółtymi kompozycjami wychylał się młody człowiek. Miał oczy iskrzące się z ciekawości i prawie znak zapytania na czole.

– A dzień dobry, dzień dobry – wymamrotał pod nosem komisarz i przyspieszył. Co mówił ten młody człowiek? Że mają na cmentarzu zebranie? Jakie zebranie, przecież Rokicki miał siedzieć w komendzie i czytać akta! Zygmunt był umówiony z proboszczem. Z Bućkiem komisarz nie zdążył porozmawiać i... no tak! Stażysta na pewno poszedł na cmentarz.

Komisarz, trochę zdyszany, dotarł do otwartej na oścież bramy cmentarnej. Przedtem mijał pełną klepsydr tablicę. Widać było, że pana Antoniego czekały ciężkie dni. Pogrzeb po pogrzebie. Teraz też przed bramą przystanął karawan należący do starej oświęcimskiej firmy pogrzebowej. Komisarz pomyślał, że najlepszym hasłem reklamowym takich starych firm mogłoby być: „Pochowaliśmy twojego dziadka, pochowaliśmy twojego ojca, pochowamy i ciebie. Zaufaj nam, robimy to już od stu lat”. Można było jeszcze dodać, że satysfakcja gwarantowana. Wyobraźnia komisarza osiągnęła górne rejestry i skłęsała.

Szedł zdecydowanie prosto w kierunku grobowca, nie rozglądając się zbyt. Minął zbierających się przy kaplicy ludzi i zaferowanego pana Antoniego. Nigdzie nie zauważył charakterystycznej postaci stażysty. Przy grobowcu także nie było nikogo. Porośnięte chwastami, wydeptane dziesiątkami stóp ścieżki i wyrwane, zwiędłe już pokrzywy były jedynym śladem wzmożonych działań w tym rejonie. Panującą ciszę przerwał jazgotliwy dźwięk telefonu.

Komisarz obejrzał się za siebie, ale nikogo nie zauważył. Telefon nadal dał się wniebogłosy, emitując w eter jeden z najnowszych hitów muzycznych. W końcu do komisarza dotarło, że dźwięk dochodzi gdzieś z bliska, wyglądało, że z okolic grobowca. Potykając się, podszedł do boku budowli i w tym momencie muzyczne jazgotanie umilkło. Czyżby telefon leżał gdzieś przy grobie? Może ktoś go zgubił? Komisarz zaczął się rozglądać, pilnie wpatrując się w wąską ścieżkę. W końcu nachylił się i zaczął roznosić

pyszniące się dookoła, podnoszące już wdeptane w ziemię liście, chwasty. No niech to licho porwie, niemożliwe, żebym go nie widział, pomyślał.

Pozostawała jeszcze jedna możliwość, która zaczynała niepokoić komisarza. Sygnał telefonu przypominał mu dźwięk komórki Bućka. Czyżby dociekliwy stażysta włamał się do zabezpieczonego grobowca? Ale w jakim celu, co mu przyszło do głowy? Komisarz obszedł grób od prawej strony i przykucnął przy kracie. No oczywiście! Kłódka wyłamana, pieczęcie zerwane, krata zawiązana kawałkiem starego drutu. Komisarz wyciągnął własny telefon i znalazł numer do Bućka. Jak już tu był, to musiał sprawdzić, czy jego podejrzenia są słuszne. Po chwili usłyszał dochodzący z czeluści grobowca sygnał telefonu i przytłumiony, bolesny jęk. To już nie miało z komórką nic wspólnego. Podeszedł do wejścia do grobowca. Odplatał byle jak omotany drut, otworzył zdezelowaną kratę i pochylając głowę oraz przyginając kolana, odważnie wszedł do środka.

Nie zaszedł daleko, bo potknął się o ułożoną na podłodze grobowca przeszkodę i upadł na kolana. Namacał, przeszkoda była długa i miała obły kształt. Znowu usłyszał jęk. Powoli badał powierzchnię, czując pod palcami szorstkość materiału. Zdenerwowany przykucnął i sięgnął rękami wyżej. Wyglądało na to, że stażysta Buciek dał się komuś zamknąć w grobowcu. Fujara! Komisarz z wysiłkiem przewlókł nadal nieruchomego Krzyśka w kierunku kraty. Miał chłopak szczęście. Jakby tak dłużej posiedział, mogłoby zrobić się nieprzyjemnie. Przy kracie było odrobinę jaśniej i mógł przede wszystkim wyciągnąć amatorski, zrobiony z jakiegoś gałganka knebel blokujący usta stażysty, potem wziął się do odwiązywania zaplątanego na przegubach krawata męskiego, niefirmowego, popielato-niebieskiego, wzmocnionego kawałkiem sizalowego sznurka. Prowizorka. Pojękujący stażysta nadal nie otwierał oczu, kołysząc się z lekka i pozostając w pozycji pólężącej. Takiego bezwładnego ledwo przeciągnął przez otwór i w pozycji siedzącej oparł o ścianę grobowca. Nie było innego wyjścia z sytuacji, musiał zadzwonić po pogotowie.

Dość długo siedzieli obok siebie, ściśnięci jak śledzie w beczce, i czekali na przyjazd pogotowia ratunkowego. Nagle komisarz zauważył zamieszanie w szeregach konduktu pogrzebowego – to sanitariusze przedzierali się przez tłum podekscytowanych ludzi.

– Tego tylko brakowało! Za chwilę wszystkie baby w sklepach będą plotkowały o wydarzeniach na cmentarzu – mruknął komisarz i złapał się za głowę. Z nadmiaru wrażeń przejął sposób wyrażania się Bućka. – Dobrze, że nie słyszał – powiedział cicho.

– O co chodzi, komisarzu? – Energiczny, ubrany na czerwono mężczyzna właśnie zabierał się do oglądania nadal nieprzytomnego stażysty. Popatrzył mu do oczu, zbadał puls, osłuchał i zadecydował: – Zabieramy go do szpitala, trzeba zaczekać, aż się obudzi.

– Ale jakie obudzi? – zdziwił się komisarz. – Myślałem, że ktoś go uderzył w głowę i jest nieprzytomny.

– A nie, nie, nic z tych rzeczy. Wszystko wskazuje na to, że ktoś go potraktował chloroformem, niech pan posłucha, jaki ma równy oddech. Pośni sobie u nas, a jak się obudzi, to zrobimy mu badania. Jeszcze raz osłuchamy, opukamy. Nie musi się pan martwić, najdalej pojutrze podwładny wróci do pracy. – Lekarz lekceważąco machnął ręką. – Wygląda na to, że ktoś chciał go czasowo unieszkodliwić. Posiedziałyby sobie w tym grobie, może nawet sam by dał radę się uwolnić. Tylko trochę strachu, ale to w końcu, jak widzę, policjant.

Sanitariusze zgrabnie ułożyli stażystę na składanych noszach i manewrując pomiędzy ciasno ułożonymi grobami a niedobitkami ciekawskich żałobników, wyszli na chodnik. Mieli przed sobą spory odcinek drogi do przejścia, a Krzysztof Buciek do szczupłych nie należał. Klnąc na upał i gapiowatych policjantów, targali nosze do stojącej przy głównej bramie karetki. Za nimi powoli szli komisarz z lekarzem. Zmęczeni i zamyśleni, nie mieli ochoty na czcze rozmowy. Dopiero przy bramie komisarz dla przypomnienia poprosił:

– Jak tylko się obudzi, to bardzo proszę o wiadomość. Muszę z nim natychmiast porozmawiać. Może pamięta, kto go w ten sposób urządził. Musimy znaleźć sprawcę.

– Tak, tak, panie komisarzu, w końcu macie zamach na policjanta – zakpił sobie ubawiony lekarz.

– Może mamy, tego nie jestem w stanie stwierdzić, nie wiem, co się wydarzyło. Wiem tylko, że policjant na służbie wykonywał czynności wyjaśniające związane ze sprawą, którą teraz prowadzimy – odpowiedział napuszenie komisarz.

– Znam, znam, podwójny nieboszczyk... To o taką sprawę chodzi... – zamyślił się na moment lekarz. – Proszę się nie martwić, komisarzu, pracownik będzie pod dobrą opieką. U nas nic mu się nie stanie. Proszę czekać na mój telefon. – Doktor wyciągnął rękę do policjanta, cofnął ją, chwilę pogmerał w kieszeni czerwonej bluzy i wyciągnął wizytówkę. – Tak na wszelki wypadek, zawsze włączony, nawet w nocy. – Podał rozmówcy kartonik i szybko wsiadł do karetki.

Po chwili rozległo się wycie koguta. Wprawdzie nic takiego się nie działo, ale sanitariuszom spieszyło się do szpitala. Mieli ochotę na przerwę i kawę. Oczywiście o ile nagłe wypadki im pozwolą.

Komisarz już zmierzał w kierunku ścieżki prowadzącej prosto na osiedle Trzeciego Maja, gdy nagle zatrzymał się i wiedziony impulsem skierował w stronę przymentarnych kiosków. Z tego, co mówił tamten sprzedawca, wywnioskował, że na cmentarzu spotka też aspiranta Maciejaka. Postanowił, że podejdzie i zapyta o niego. Nawet nie zdążył ust

otworzyć i wyartykułować pytania, gdy usłyszał, że mężczyzna coś do niego mówi.

– Przepraszam, umknęło mi. Czy mógłby pan powtórzyć? – poprosił zakłopotany.

– Ależ tak, dzisiaj mamy niesamowite zamieszanie! Widziałem, co się działo! A mówiłem, że minęliście się panowie. Pan, komisarzu, poszedł prosto, a pan aspirant kilka minut po panu wybiegł z bramy. Podszedłem wtedy do kolegi, do drugiego stoiska, to widziałem, że przybiegł z bocznej alejki. A jeszcze chwilę przed nim wyszedł z cmentarza taki elegancki starszy pan i wsiadł do terenówki. Aspirant też wsiadł do samochodu i mam wrażenie, że pojechał za tamtym panem – opowiadał szczegółowo sprzedawca zniczy. – Nie wiem, czy mi się nie zdawało, ale odniosłem takie wrażenie, że pan aspirant śledzi tego pana. Tylko jakie to śledzenie służbowym samochodem! Przecież każdy głupi zobaczy, że policja – podsumował bezlitośnie i zabrał się do przestawiania wiader ze sztucznymi kwiatami. Ustawiał je w karnym szeregu przed kioskiem, żeby nie zajmowały zbyt wiele powierzchni.

Komisarz przez moment się zastanawiał. Wiadomości były bardziej niż cenne. Teraz wzorem wszystkich detektywów powinien podążać za tropem, ale skoro Maciejak już podążył, to on musi czekać na efekty. Najgorsze, że mu się kadra wykruszała. Sięgnął po komórkę i wystukał numer do Maciejaka. Czekał dość długo, niecierpliwiąc się. Już, już miał się wyłączyć, gdy usłyszał:

– Abonent poza zasięgiem, abonent poza zasięgiem.

Boże drogi, oby się Zygmunтови nic złego nie stało! Trzeba było poczekać. Na już pozostawał jeszcze jeden trop do zbadania.

– Czy pamięta pan, jakiej marki był samochód, za którym pojechał aspirant? Może chociaż kawałek numeru rejestracyjnego? – zapytał z nadzieją w głosie.

Sprzedawca oparł się o drzwi do kiosku, wystawił twarz do słońca, nawet przymknął oczy, żeby sobie widzianą scenę odtworzyć. Namyslał się. Coś mu świtało, ale nagle chwilę skupienia przerwał piskliwy głos niestarej jeszcze, wyjątkowo krzykliwie ubranej kobiety.

– Panie kochany, pan na mój widok nie zamyka oczu, pan patrzy, klient przyszedł! – Kobieta już wyciągnęła rękę i zaczęła potrząsać ramieniem nadal trwającego w bezruchu sprzedawcy. – Panie Zdzišku, pan się obudzi, coś z panem niedobrze? – Nagle zatroskała się i puściła szarpane ramię.

– Już się robi, pani Paździkowa, w tej chwileczce, tylko... – Sprzedawca rzucił spłoszone spojrzenie na policjanta i nie dokończył zdania.

Kobieta popatrzyła ciekawie na stojącego z boku kiosku mężczyznę, przymrużyła oczy i wycelowała w stronę komisarza palec wskazujący prawej ręki.

– Pan jest z policji, zgadza się? – bardziej stwierdziła, niż zapytała. Nadal patrzyła

wprost na komisarza, kombinującego, w jaki tu w miarę elegancki sposób się wycofać. Chciał jeszcze tylko wyciągnąć jakieś wiadomości z tego młodego człowieka. Cokolwiek, kolor, markę, literę albo chociaż cyfrę, a tu przeszkoda za przeszkodą. Czuł się sfrustrowany i coraz bardziej bał się o aspiranta Maciejaka. Wprawdzie Maciejak to stary wyga, ale jednak...

Kobieta zobaczyła, że komisarz nie reaguje na jej widok. Nie to nie, ona i tak się wszystkiego dowie. Żadnej łaski jej nie robią.

– Daj pan dwa te znicze po sześć pięćdziesiąt i trzy wkłady po dwa złote, zapalki, niech stracę. Straszna u was drożyzna, jak tak dalej pójdzie, to przeniosę się do kiosku obok. Dwadzieścia groszy różnicy na sztuce – rzuciła w kierunku spłoszonego sprzedawcy. Ten wszedł do kiosku i z wprawą powkładał znicze do reklamówki. Paździkowa wydarła mu ją z ręki i nie zwracając uwagi na głośnie „do widzenia”, powędrowała na cmentarz.

– Pan to się napatrzy i nasłucha – komisarz współczuł sprzedającemu.

Ten lekceważąco machnął ręką.

– Jakbym się miał przejmować gadaniem każdego kupującego, to po tygodniu już bym zwariował. Paździkowa tym swoim odejściem straszy mnie już drugi rok, a przychodzi tydzień w tydzień. Lubi sobie kobieta pogadać, ponarzekać. Jest okrutnie ciekawska i zawsze jakąś informację ze mnie wydrze. Przyzwyczailem się. Najbardziej denerwujące jest to, że coś sobie kojarzyłem, ten numer rejestracyjny nie był od nas, a ona mi wszystko przegoniła. Pan da numer telefonu, jak sobie coś przypomnę, to zadzwonię.

Komisarz żałował, że jednak nie pojechał samochodem. Dochodziła trzynasta, dużo czasu pochłonęło to całe zamieszanie z Bućkiem. Teraz chciał jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju, w komendzie, i zabrać się za czytanie papierów. Był przekonany, że to w nich kryje się klucz do rozwiązania zagadki podwójnego nieboszczyka.

* * *

Pan Antoni czuł się mocno zaniepokojony. Od rana na cmentarzu działy się dziwne rzeczy. W niecałą godzinę po otwarciu bramy zawitała na cmentarz nowa ekipa kamieniarska. Podobno dostali zlecenie na remont grobowca. Gdy pokazali którego, pan Antoni zachnął się i powiedział krótko:

– Nie ma mowy! Przecież to zabytek. Zgoda konserwatora zabytków, panowie. Ciekawe, kto wam to zlecił? To bardzo stara oświęcimska rodzina, ostatni z rodu zmarł bezpotomnie. Nie dostaniecie zgody na prace przy obiekcie. Remont może przeprowadzić albo ksiądz proboszcz, albo stowarzyszenie na rzecz ratowania zabytkowych obiektów cmentarnych, to oni zbierają pieniądze, potem załatwiają zgodę konserwatora i znajdują

wykonawcę. Wszystko pod kontrolą. A wy zabierajcie się stąd!

Później żałował, że nie kazał im pokazać dowodów osobistych albo że nie wezwał policji, zaraz by ich wzięli na spytki, ale spieszył się, a ci ludzie wyglądali naprawdę nieciekawie i nie chciał mieć z nimi dłużej do czynienia. Widział, że dokądś dzwonił i rozmawiali, wruszając lekceważąco ramionami. Przez moment obleciał go strach, ale szybko uświadomił sobie, że cmentarz pełen jest ludzi, a grabarz Józef z pomocnikiem Frankiem otwierają grób na najbliższy pochówek, i uspokoił się.

Po jakimś czasie odebrał w kantorku dziwny głuchy telefon, ale pomyślał, że to nie pierwszy ani nie ostatni raz. Ludzie się mylili albo jak się odezwał, zapominali, o co mieli zapytać. Różne rzeczy się zdarzały.

Potem kątem oka dostrzegł przemykającego między nagrobkami tego najmłodszego z policjantów. Szybko stracił go z oczu, zresztą musiał otworzyć kaplicę, wygładzić obrusy, przygotować zapałki do zapalenia świec. Przypilnować wszystkiego. Od czasu gdy, jak przypuszczał, żałobnicy ukradli mu piękne wiązanki z białych lilii, orchidei i tulipanów, zrobił się nieco przeczulony na punkcie służbowego mienia. Wiązanka i przybranie ołtarza zostały w kaplicy po wyjątkowo okazałym pogrzebie. Służyły przez wiele mszy, sprawiając przyjemność tak odprawiającym mszę księżom, jak i rodzinom zmarłych. Największą przyjemność miał on. Pilnował, chuchał, dmuchał i podlewał specjalną gąbkę. Wystarczył tylko moment, niezamknięte po wyjściu żałobników drzwi od kaplicy, by bukiety zniknęły. Nie mógł zrozumieć, jak można było... Dostał taką nauczkę, że bywało, iż miał ochotę zrewidować wychodzących i sprawdzić, czy nie wynoszą czegoś nadprogramowego.

Nawet nie był specjalnie zdziwiony, gdy zobaczył sanitariuszy z noszami podążających w kierunku pechowego grobowca. Widocznie coś zdążyło mu umknąć. Nie mógł od razu pobiec za nimi, musiał pilnować przebiegu ceremonii, dzisiaj prowadzonej bardzo sprawnie. Całe szczęście zdarzyła się rodzina bez wybujałych ambicji i darowała zgromadzonym chóralne pienia i mowy pożegnalne. Dobre i to.

Komuś mogłoby się zdawać, że pan Antoni cierpi na znieczulicę, ale po tylu latach pracy, po tysiącach pogrzebów nic go nie dziwiło ani nie szokowało. Wiadomo, że po nawet najdłuższym życiu każdego czeka śmierć i od tego nikt się nie wywinie. Nie pomogą ani znajomości, ani pieniądze. Każdy ma tyle życia, ile mu pisane, dlatego pan Antoni przestał przeżywać kolejne zgony i kolejne pogrzeby. Teraz po wyjściu ostatniego żałobnika i wyniesieniu ostatniego wieńca zamknął drzwi kaplicy i powędrował w dół cmentarza. Dookoła grobowca było tak nadeptane, jakby cały pułk wędrował tamtędy. Krata była półotwarta, a na ziemi Antoni dostrzegł kawałek sznurka sizalowego. Do czego był komuś

potrzebny sznurek? Obracał w palcach kilkunastocentymetrowe, poszarpane niteczki. W końcu wsadził je do kieszeni spodni. Jednocześnie wyciągnął ogromną, kraciatą chustkę do nosa i przetarł spocone czoło. Podeszedł do przodu i zobaczył niedomkniętą kratę. Zajrzał do środka, było pusto. Przymknął kratę i powoli, powłócząc nogami, powędrował w kierunku kantorka. Wiedział, że za chwilę wszystkiego się dowie.

* * *

Doktor Jastrząbek był mocno poirytowany. Dostał do przejrzania kupę kości i kosteczek, wszystko w jednym worku. Szczęście w tym, że dzielenie materiału mógł zacząć od czaszek. Jedną położył po lewej stronie ciągnącego się przez całą długość pokoju blatu, drugą po stronie przeciwnej. I zadumał się nad resztą kości. Z części szkieletu był w stanie coś wyłowić, ale reszta... Czekał spokojnie, co ustalą koledzy prowadzący śledztwo. Na razie czas śmierci obu osób ustalili na dwadzieścia albo trochę ponad dwadzieścia lat temu. Oba szkielety należały do mężczyzn. Jeden z nich był starszy, miał ponad siedemdziesiąt lat. Drugi, dużo młodszy, około czterdziestki.

Doktor osobiście wszystko przeglądał, kosteczka po kosteczce. Nie to, żeby nie miał zaufania do współpracowników, ale nie chciał nic przeoczyć. Zwłaszcza że znalazł coś, co dawało mu mocno do myślenia.

Nie pamiętał starych oświęcimskich czy okolicznych spraw. Nie był mieszkańcem miasta z dziada pradziada. Po rozwodzie z żoną, histerycznie zazdrosną kobietą, musiał zmienić miejsce zamieszkania. Wraz z nim z domu wyprowadziła się córka. Mogła sobie na taki luksus pozwolić, ponieważ w chwili rozvodu rodziców skończyła już osiemnaście lat i miała serdecznie dość zaborczej, wiecznie kontrolującej ją matki. Woląca zmienić piekło domowego ogniska na spokój i mieszkanie ze zrównoważonym i zapracowanym ojcem. Pomieszkała w Oświęcimiu rok, wyciszyła się, uspokoiła, poznała fajnych ludzi i jak większość młodych po zdanej maturze przeprowadziła się na studia do pobliskiego Krakowa. Ojca odwiedzała systematycznie i systematycznie namawiała go na nowy związek. Dookoła mieszkało tyle miłych, samotnych kobiet. Ona sama nie zamierzała do Oświęcimia wracać.

Całe jej gadanie było na nic. Doktor Jastrząbek resztę swojego życia poświęcił pracy i wędkowaniu. Przy jednym i przy drugim kobieta nie była mu potrzebna. Teraz też oglądając kości, myślał o najbliższym weekendzie. Kupił nowy kołowrotek i miał ochotę go wypróbować. Nic tak nie uspokaja i nie wycisza po całym tygodniu pracy, jak wędkowanie w samotności. Był piątek rano, od wymarzonej soboty dzielił go tylko jeden dzień.

Dobrze zabezpieczył znalezione w kręgosłupie ofiary przedmiot i czekał, kiedy

komisarz Ożegalski wróci z terenu. Sprawa zaczynała robić się poważna.

* * *

Aspirant Maciejak gnał, ile silnik wytrzyma, za luksusową toyotą RAV4. Sam chciałby mieć taki luksusowy, przystosowany do wszelkich, nawet górskich dróg, samochód. Toyota rwała sto osiemdziesiąt na godzinę i jej kierowca w razie zatrzymania nie mógłby powiedzieć, że nie zdawał sobie sprawy z prędkości i z tego, iż jedzie za nim, prawie na sygnale, policja. Maciejak klął sam na siebie za tę karygodną nadgorliwość. Mądrzej byłoby, gdyby pożyczył od kogoś samochód, chociażby od faceta z kiosku, odkupiłby mu benzynę i jakoś by się dogadali, a tak... ten starszawy elegancik wystrychnął go na dudka.

Aspirant po wizycie na plebanii podjechał jeszcze na Rynek, do cukierni, po ciastka. Z powodu remontu Rynku musiał najpierw pojechać w kierunku ronda, zakręcić na nim, wrócić tą samą drogą i dopiero potem wjechać w ulicę prowadzącą do celu, teraz w połowie rozkopaną. Wcisnął się w lukę pomiędzy zaparkowanymi na styk samochodami i wysiadł. Ciastkami chciał uczcić informacje, jakie otrzymał od księdza. Dzięki nim teraz do wyjaśnienia sprawy brakowało im tylko jednego, a nie dwóch nieboszczyków. Kupił dla siebie i dla kolegów ekleri i pączki w lukrze obficie posypane kandyzowaną skórą pomarańczową. Po namyśle poprosił jeszcze o kawałek sernika z brzoskwiniami, cieszącego się uznaniem wszystkich. Może nie szalał za słodyczami tak jak Rokicki, ale jeżeli już znalazł się odpowiedni powód, to chciał go uczcić w taki bezalkoholowy sposób. Z elegancko zapakowaną paczuszką wsiadł do samochodu i już, już miał jechać prosto do komendy, gdy pomyślał o odwiedzinach na cmentarzu.

Głupio było mu się przed samym sobą przyznać, ale atmosfera cmentarza przypadła mu do gustu. Nigdy nie miał czasu na bezproduktywne spacer, wiecznie zaganiany, zapracowany. Nawet psa nie miał, nie chciał skazywać zwierzęcia na wieczną samotność podszytą tęsknotą. Jedyńm jego przyjacielem był stary kot, łazęga, który kiedyś nad ranem przyplątał się do niego. Ten wiecznie zajęty swoimi sprawami włóczykij sprawiał, że aspirant nie czuł się taki do cna samotny. Wprawdzie widywali się tylko w czasie rannych i wieczornych posiłków, ale zawsze to było coś. Czasami zmęczony hulanką kocur przesypiał w mieszkaniu kilka godzin, ale rzadko kiedy zostawał na całą noc. Aspirant tak przyzwyczaił się do rozpuszczonego zwierzaka, że każde spóźnienie Bartusia, bo tak nazwał kota, przeżywał bardziej niż spóźnienie dziewczyny na pierwszej randce. Martwił się, wyobrażał sobie, że stało mu się coś złego. Gdy raz Bartuś przez dwa dni z rzędu nie pojawił się w domu, aspirant cały w nerwach bił się z myślami, czyby nie przestać do patroli zdjęcia

ulubieńca, może któryś z policjantów go zauważył. Na trzeci dzień kocur wrócił do domu złachany i zeszlajany, widać było, że nie próżnował. Zdenerwowany aspirant odbył z nim męską rozmowę, suto okraszoną mocnymi przerywnikami. Od tego czasu Bartuś wziął sobie do serca niepokój przyjaciela i przynajmniej raz dziennie, dla świętego spokoju, pokazywał się w domu. Opłaciło mu się. Na stare lata trafił jak w totka. Codziennie świeżutkie mięsko, suche najwyższego gatunku i ulubiony Kitekat sprawiały, że czuł się pewny siebie i kochany, odpłacając aspirantowi mruzeniem i oczekiwaniem przy drzwiach wejściowych.

Aspirant planował zostawienie dla Bartusia kawałka sernika. Gdy pierwszy raz pochwalił się w pracy, że jego kot zjadł bitą śmietanę, nikt nie chciał mu wierzyć. Dopiero gdy w czasie wizyty kolegów rozpuszczony kocur zlizął budyń z napoczętej kremówki komisarza, zaczęto inaczej patrzeć na opowieści aspiranta. Fakt faktem, ten zamiast pogonić łakomczucha i obić mu ścierką ogon, nie posiadał się z zachwytu nad inteligencją bądź co bądź śmietnikowego kota. Tak... serniczek na deser.

Wsiadł do samochodu, na siedzeniu pasażera położył zgrabny pakunek i popatrzył w lewe lusterko boczne. Nic nie jechało, mógł spokojnie włączyć się do ruchu. Jechał prosto, uważnie patrząc na drogę. Nie dość, że na Rynku obowiązywała zasada pierwszeństwa pieszych, to jeszcze teraz, ze względu na trwającą przebudowę, trzeba było mieć oczy dookoła głowy i jeździć bardzo ostrożnie. Na rogu uliczki prowadzącej na nadrzeczne Planty zauważył wózek z obwarzankami. Aspirant poczuł ssanie w żołądku i omal się nie zatrzymał. Uwielbiał chrupiące obwarzanki, posypane sezamem lub makiem. Nie dzisiaj... – mruknął pod nosem. Przez te obwarzanki nie skręcił w lewo, w Rynek, tylko musiał pojechać prosto i skręcić w Klasztorną. W obrębie Rynku był ruch jednokierunkowy, lewostronny i trzeba było uważać na skręty. Z Klasztornej, skręcając w lewo, wjechał w Mały Rynek i potem już prosto, uważając na wyskakujących zza rogu motocyklistów, rowerzystów i pieszych. Bezpiecznie dojechał do Dąbrowskiego, głównej ulicy w mieście. Wjechał na nią i skierował w kierunku cmentarza.

Przy cmentarzu zaczynało robić się ciasno – przyjeżdżali kolejni członkowie rodziny zmarłego, a odjeżdżali żałobnicy z poprzedniego pogrzebu. Tłok, gwar i zamieszanie. Grupki znajomych, przyjaciół i krewnych stojących koło bramy i wymieniających ostatnie plotki. Aspirantowi udało się zaparkować przy kontenerach na śmieci. Wsiadł i omijając grupkę rozgestykulowanych staruszków, podążył na cmentarz. Tym razem obrał inną drogę. Nie główną aleję, ale chodnik boczny. Co prawda miał przed sobą dłuższą drogę, ale przy okazji mógł zwiedzić inną część cmentarza. Podążał spacerowym krokiem, konotując w pamięci, że na wielu tablicach nagrobnych podane są informacje o zasługach zmarłych. Ten był znanym i

cenionym nauczycielem, tamten z kolei brał udział w walkach partyzanckich prowadzonych przez oddział „Sosieńki”. Inny został zamordowany w obozie koncentracyjnym, a tablica stanowiła dowód pamięci o nim. Różne dzieje, różne życiorysy, pełne dramatycznych zdarzeń i spokojne. Ludzie, którzy zmarli bardzo młodo i jako dziewięćdziesięcioletni starcy.

Chętnie by sobie dłużej pospacerował, podumał. W końcu sam nieraz dosyć sarkastycznie powtarzał, że nie ma się czym przejmować, bo i tak wszyscy skończą dwa metry pod ziemią. Skręcił w prawo i skierował się w stronę interesującego go grobowca. Z daleka wydało mu się, że widzi wzmożony ruch w jego okolicy. Gdy znalazł się w odległości mniej więcej dziesięciu metrów, zauważył skradającą się, pochyloną do ziemi postać. Z trudem rozpoznał Krzyśka Bućka. Stażysta prowadził obserwację osobników kręcących się w pobliżu grobowca. Maciejak naliczył trzy bliżej mu nieznane sztuki. Sylwetkami z opisu pasowali do zleceniodawców Wincentego Szumiejki. Wyglądało na to, że do grobowca zakradł się i włamał jego papierowy właściciel. Ciekawe, co tu jest grane, pomyślał aspirant, nie spuszczać wzroku z całej czwórki.

Nagle, czymś spłoszony, Buciek potknął się i wywrócił przy wysokim, stanowiącym doskonałą zasłonę grobowcu. Niestety nie wytrzymał i wyartykułował słowa w niektórych kręgach uznane za wulgarne.

Gromkie „o w mordkę jeża!” rozległo się jak wystrzał z kałasznikowa i momentalnie skierowało na Bućka uwagę śledzonych osobników.

Maciejak zobaczył, jak starszy pan pokazuje palcem kierunek, a po chwili dwóch osiłków wlecze słaniającego się stażystę. Widział, jak Krzysiek szarpie się i przyduszony ciężką ręką jednego z napakowanych mężczyzn zwisa beładnie. Dostrzegł, jak drugi mężczyzna sprawnie obszukuje kieszenie munduru Bućka i szuka kabury z bronią. Całe szczęście, Krzysiek systematycznie zapominał, że powinien brać ze sobą cokolwiek, choćby pałkę albo paralizator. Obszukany, został zakneblowany i związany, a potem wciągnięty do wnętrza grobowca. Starszy pan stał z boku i przyglądał się temu. Ewentualnie pokazywał palcem, co jeszcze należy zrobić. Po chwili aspirant zobaczył, jak dwóch osiłków przeskakuje cmentarny mur, a ich szef powoli i z godnością oddala się z miejsca zdarzenia.

Maciejak przeżył chwilę wahania, ale doszedł do wniosku, że nawet jeżeli Buciek moment poleży, to mu nie zaszkodzi, a on przecież zaraz tu wróci. Najmądrzej będzie sprawdzić, skąd ten nobliwy złoczyńca przyjechał i jakie tak naprawdę były jego zamiary. Aspirant szedł spokojnie, jak stały bywalec cmentarza. Rozglądał się wokół siebie, przystawał. Byle nie stracić z oczu delikwenta. Gdy ten wszedł do toyoty, policjant natychmiast wskoczył do służbowego samochodu i też skierował się w stronę wyjazdu z

cmentarnej drogi. Płynnie włączył się w ruch uliczny, koło południa trochę mniejszy. Dopiero po czasie pożałował, że nie pomyślał o zamianie samochodu, rozdrażniony nie mógł sobie darować własnej głupoty.

Jechał za podejrzanym starszym osobnikiem w kierunku zakładów chemicznych, trasą na Włosienicę i dalej na Zator. Musiał sporo przyspieszyć, by nie stracić go z oczu. Nagle, przed samym Zatorem, toyota skręciła ostro w lewo, w jakąś prawie że polną przecinkę. Aspirant w ostatniej chwili przyhamował, zarzuciło go na skřęcie, a za sobą usłyszał pisk hamulców. Nawet nie myślał, jakie inwektywy sypie na jego głowę zaskoczony kierowca. Teraz podążał powoli za widocznym w oddali samochodem. Oby tylko go nie zgubić. Wtem ze zdziwieniem stwierdził, że samochód skręca na podjazd okazałego budynku. No tak, facet przyjechał na obiad albo na późne śniadanie... A może bym też coś zjadł, pomyślał. Wypadłoby to przekonująco. Udając, że nie zwraca uwagi na zamawiającego właśnie jedzenie mężczyznę, aspirant usiadł w drugim końcu restauracji i czekał na kelnerkę. Gdy przyszła, zamówił karpia w galarecie, koszyk pieczywa i herbatę z cytryną. Miał ochotę na piwo, jedyne na taki upał, ale dał sobie spokój. Jeszcze, nie daj Boże, coś się stanie i będzie miał kłopoty albo nawet tamten doniesie, że policjant pił alkohol na służbie.

Obserwowany jadł spokojnie, rozmawiał przez telefon komórkowy, nie spieszył się, aspirant odnosił wrażenie, jakby na kogoś czekał. W pewnym momencie sięgnął po gazetę i zaczął ją przeglądać. Chwilę potem wyciągnął z aktówki paczkę papierosów i zapalniczkę. Aktówkę i gazetę położył na krześle przy stole. Wstał, strzepnął lekką, beżową marynarkę i wyszedł na zewnątrz. Aspirant widział go, jak stoi przed drzwiami i spokojnie pali, po chwili zauważył, że delikwent wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę i zaczął rozmawiać, spacerując po podjeździe. Sprawiało to wrażenie, że gość po prostu wyszedł na papierosa, wypalił, porozmawia i zaraz wróci. Uspokojony policjant zabrał się za konsumpcję doskonałego karpika – na galaretę wycisnął cytrynę i doprawił octem. Włożył duży kęs do ust i delectował się smakiem. Po chwili miał pusty talerz i chrapkę na drugą porcję. Rozejrzał się wokół. Na krześle nadal leżały aktówka i gazeta, ale śledzony zniknął mu z zasięgu wzroku. Maciejak poczuł lekki niepokój, zrobiło mu się niedobrze. On sobie podjada, a ten...

Nie było na co czekać. Poderwał się z krzesła i zwinnie podbiegł do zamkniętych drzwi. Otworzył je. Na podjeździe nie było śladu po toyocie i jej właścicielu. Jedyne co, to wcześniej zapisał numer rejestracyjny, ale jeżeli ten osobnik był tak sprytny, że potrafił mu uciec i to nie wiadomo kiedy, to i numer rejestracyjny mógł być fałszywy albo za chwilę zamienią ten na fałszywy i szukaj wiatru w polu! Aspirant stał w otwartych drzwiach niezdecydowany, co ma robić. Powinien był namierzyć faceta, ale nie wiadomo gdzie,

powinien był też wracać, bo może Krzysiek już oprzytomniał i szukał pomocy... Po chwili zrozumiał, że po pierwsze to powinien zapłacić za posiłek. Z wyrazem niepokoju na twarzy stała przy nim kelnerka i miętoszyła kwit z kasy fiskalnej.

– Już, już daję – zrobiło mu się głupio. – A ten pan, który tak wyszedł nagle, to chyba nie zapłacił? – zapytał chytrze.

Kobieta popatrzyła na niego lekceważąco.

– A co, chciał pan brać z niego przykład? Nic z tego, ten pan zapłacił przy zamawianiu, o, i jeszcze zostawił mi napiwek. Porządny klient – skomentowała odliczanie przez aspiranta wydanej reszty. Ten nie przejął się komentarzem, schował drobniaki do kieszeni i zapytał:

– A zna pani tego klienta, on tak częściej tu do was przyjeżdża?

– Na co panu to wiedzieć? Znam, nie znam, to tylko klient – stwierdziła sucho kelnerka.

– Ale policja pyta, a jak policja pyta, to powinna pani odpowiedzieć – aspirant nie miał cierpliwości do słownych utarczek.

– Jak policja pyta, to nie znam – ucięła krótko i powędrowała w kierunku baru. Też się zdarzył jakiś namolny. Policja czy nie policja, guzik im do tego, kto u nich bywa. Ona nie chciała mieć kłopotów. Zdecydowanie bardziej od kłopotów wołała pieniądze. W końcu jakiś dowód wdzięczności się jej należał.

Maciejak jak niepyszny powędrował w kierunku samochodu. Teraz pozostawało jedynie dać znać patrolom – może gdzieś rzuci im się w oczy zapisany przez niego wcześniej numer rejestracyjny. I na wszelki wypadek trzeba sprawdzić ten numer w centralnej bazie pojazdów, a nuż okaże się, że mają właściciela.

Aspirant gnał z powrotem prosto w kierunku cmentarza. Z tego, co zobaczył, wynikało, że wszystko, co opowiadał Wincenty Szumiejko, było prawdą. Nie miał wątpliwości, że u kamieniarza najpierw pojawił się ten nobliwy pan z aktem własności grobowca. Chciał zrobić dobre wrażenie, pozafatwiać sprawy formalne. Jak już wiedział, że wszyscy dali się nabrać na fałszywe papiery, wysłał swoich pomocników od czarnej roboty. Ci załatwili, co trzeba, i teraz należało tylko czekać, kiedy kamieniarz upora się z pracą, zabezpieczyć grobowiec i używać go w sobie tylko wiadomym celu. Miejsce zostało wybrane idealnie. W najdalszym kącie cmentarza, rzadko uczęszczanym, poza ludzkim wzrokiem i ciekawością oraz blisko muru cmentarnego, przez który można było łatwo przeskoczyć. Ciekawe, co tam chcieli trzymać, myślał intensywnie Maciejak. Czyżby chodziło o narkotyki? A może fanty ze skoków? Miejsca w sumie dużo. Szumiejko twierdził, że ten

nobliwy życzył sobie pogłębienia piwniczki. Teraz było równo z ziemią. Wchodziło się, a w zasadzie wchodziło, do wybetonowanego pomieszczenia, o płaskiej powierzchni, natomiast po remoncie do piwniczki miały prowadzić trzy schodki. Tamten elegancik mówił, że ma dużą rodzinę. Po bokach Wincenty miał wymurować półki o szerokości czterdziestu centymetrów, stabilne. Podobno w przyszłości miały stać na nich urny. Zamawiający przebąkiwał też o doprowadzeniu do grobowca prądu i zainstalowaniu alarmu. I jedno, i drugie Wincenty wybił mu z głowy. To na pewno nie było typowe zlecenie. Ciekawe też, czego ci ludzie szukali przy grobowcu. Czyżby dotarli do nich wiadomości o podwójnym nieboszczyku? Na razie mieli spokój, nikt się ich nie czepiał, dlaczego zareagowali aż tak nerwowo na widok policjanta? Bardzo ryzykowali, że po takim zdarzeniu policja skieruje na nich uwagę.

Gdy aspirant dotarł na miejsce, po Bućku nie było śladu, a trawa rosnąca wokół grobowca wyglądała jak zdeptana przez stado słoń. Porozglądał się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo. Podejrzał, że stażysta o własnych siłach wydostał się z opresji albo, co gorsza, został uprowadzony przez tych dwóch wyrosniętych nad miarę pomagierów elegancika. Maciejakowi nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić do miejsca pracy, czyli do komendy, i tam skonsultować z komisarzem Ożegalskim, co dalej. Wokół wszystko było już pozamykane, nie spodziewał się, że pościg i powrót zajmą mu aż tyle czasu. Wsiadł w samochód, zawrócił i przeczekując sznur samochodów (bo na Dąbrowskiego znowu utworzył się korek), powoli włączył się do ruchu.

* * *

Pocisk kaliber 9 milimetrów z pistoletu P-64, czyli tak zwanego CZAK-a, pysznił się na honorowym miejscu, na środku stołu sekcyjnego, wśród haczyków i pudełek z zanętami i przynętami. Obfotografowany i zbadany przez techników, stanowił dowód popełnienia przestępstwa oraz pozwalał zakwalifikować śledztwo w sprawie podwójnego nieboszczyka jako szczególnie znaczące. Pocisk utkwiał niegdyś w kręgosłupie tego młodszego, niezidentyfikowanego denata. Doktor Jastrząbek z ulgą przyjął do wiadomości, że policjanci zidentyfikowali starszego z mężczyzn. Wprawdzie okoliczności jego pochówku były nieco zastanawiające i musieli ustalić, kto się tym od strony formalnej zajmował, ale przynajmniej wiadomo było, że pogrzeb został w papierach parafialnych odnotowany. Nic nie wskazywało na jakiś szczególnie podejrzany rodzaj śmierci. Podeszły wiek, przebyte choroby, ot i tyle. Pozostawało ustalenie, w jaki sposób ten nobliwy pan z toyoty stał się właścicielem grobowca. Być może był szefem szajki polującej na pozostające bez opieki groby. Takie, o

których można by domniemywać, że albo nikt nie został w nich pochowany, co było rzadkością, albo ktoś został bardzo dawno temu pochowany i widać było, że nikt się grobem nie opiekuje. Nie budziło zdziwienia pojawienie się bliższego lub dalszego krewnego właściciela grobu. Zwłaszcza jeżeli spadkobierca miał odpowiednie dokumenty i chciał przeprowadzić remont lub zapłacić za utrzymanie grobu. Trzeba było też pamiętać, że grób na starym cmentarzu miał określoną, wcale nie małą wartość.

Brygadę komisarza Ożegalskiego czekał ogrom pracy. Na razie najważniejszym zadaniem było ustalenie, kim był człowiek z kulą w plecach, a w zasadzie w kręgosłupie. Komisarza i aspirantów czekało czytanie akt do późnej nocy. Na duchu podtrzymywała ich wiara w przyszły sukces.

Krzysztof Buciek powoli budził się w szpitalu. Okazało się, że nic mu się takiego nie stało, był tylko lekko posiniaczony – zregeneruje organizm i, tak jak mówił lekarz, wróci do pracy. Spokojni o jego bezpieczeństwo, komisarz Ożegalski z nieodłącznym aspirantem Maciejakiem systematyzowali wiadomości, punkt po punkcie je zapisując. Nie było innego wyjścia, inaczej mogli pogubić się w tej plątaniu śladów.

Po pierwsze trzeba było sprawdzić, przeglądając resztę teczek, czy mniej więcej dwadzieścia lat temu miał miejsce napad rabunkowy, w którym doszło do użycia broni palnej. A jeśli tak, to czy sprawców złapano? Co się z nimi stało? W następnej kolejności należało ustalić dane personalne nieboszczyka. Prześledzić zgłoszenia, kto zaginął w tamtym czasie. Może żona zgłosiła zaginięcie męża albo matka zaginięcie syna? Czekali ich także ustalenie, kto pochował Aleksandra Sierszę-Janickiego. Bo tak prawdę mówiąc, to wszystko wyglądało nieco dziwnie. To, że pan Antoni był taki pewny, że grobowiec jest pusty, świadczyło o jego niewinności. Chyba że grał, ale stary kamieniarz na jakiegoś szczególnie uzdolnionego aktora nie wyglądał.

Kolejnym zadaniem było dowiedzieć się, skąd pochodził przedstawiony Szumiejce testament Sierszy-Janickiego i czy w ogóle ów Siersza-Janicki sporządził jakikolwiek testament. Który notariusz był podpisany pod dokumentem? Bo że cała impreza była niezłym kantem, tego komisarz był pewny.

Dalej trzeba było zlokalizować miejsce pobytu niejakiego Bożydara Kępińskiego, emerytowanego sprzedawcy z kiosku Ruchu, który podobno wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego zastępował w pracy na cmentarzu pana Antoniego. Kępiński mógł cośkolwiek wiedzieć na temat grobowca i przede wszystkim na temat okoliczności pogrzebu. Gdyby nie zapędy nobliwego właściciela toyoty do remontowania, sprawa mogłaby wyglądać inaczej i na odkrycie szczątków tych dwóch mężczyzn trzeba by było poczekać do

otwarcia grobowca – przynajmniej cztery, pięć lat. Na tak długo było jeszcze opłacone jego użytkowanie.

Poza tym musieli dowiedzieć się, kim był naprawdę właściciel tamtej toyoty. Koledzy z drogówki meldowali, że mają kłopoty z namierzeniem delikwenta. Denerwujące było, że owszem, numer rejestracyjny zapisany przez aspiranta istniał naprawdę, ale należał do niedawno skradzionego volkswagena lupu. Ale cóż to było dla tego typu ludzi! Ukraść samochód, przepiąć numery i jeździć na nich jakiś czas, następnie skradziony wóz sprzedać na innych tablicach. Komisarz przypuszczał, że koledzy elegancika z cmentarza mają spory skład tablic rejestracyjnych i innych pożytecznych drobiazgów. Jak się człowiek uprze, to wszystko podrobi.

Doktor Jastrząbek był niesamowicie dumny ze swojego odkrycia, ale to przecież nie było wszystko. Czekali jeszcze na ekspertyzę skrawka papieru znalezionego w grobowcu. Brudny, rozlatujący się w rękach i cuchnący, był jednym z najbardziej pożądanym przez komisarza listów.

* * *

W pokoju panowała senna cisza. Aspiranci siedzieli zmęczeni, co parę minut przekładając kolejne kartki wypełniające piętujące się teczki. Narastało w nich zmęczenie i znużenie. Komisarz siedział z przymrużonymi oczami i zastanawiał się, od której teczki powinien zacząć. Czy od pierwszej lepszej ze środka sterty, czyli na chybił trafił, czy może po kolei, jak leci? Był zmęczony, za oknami już dawno zapadł wieczór, ssało go odrobinę w żołądku. Tęsknił za własnym łóżkiem, lampką nocną i świeżo rozpoczętym kryminałem. Czytał po kolei wszystkie książki przywiezione od Darka. Każdy z pozyskanych kryminałów był istną perełką. Teraz rozkoszował się czytaniem wymarzonych *Czarnych okularów* Dicksona Carra, jednego ze swoich ulubionych pisarzy. Szczerze żałował, że w młodości nie przykładął się do nauki języków obcych, teraz byłoby jak znalazł i mógłby swoich ulubionych autorów czytywać w oryginale. Wszak nie wszystkie ich książki zostały przetłumaczone na język polski.

Na razie musiał skupić się na sprawie podwójnego nieboszczyka. Wodził pobieżnie lekko mętym wzrokiem po pożółkłych, zapisanych równym pismem stronicach. Z boku dochodził do niego szelest przewracanych kartek. To obaj aspiranci mozolnie przedzierałi się przez swoje akta. Jeszcze chwilę posiedział, ziewnął i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Koniec tego dobrego. Był najwyższy czas zbierać się do domu.

Bez zdziwienia przyjął brak protestu kolegów. Wszyscy mieli podkrążone oczy i

zmierzwił od ciągłego przeczesywania palcami włosy. Musieli się przede wszystkim przespać, w sobotę też był dzień.

* * *

Spotkanie u Alfreda wypadło wyjątkowo elegancko i interesująco. Żadnego świntuszenia, rozebranych babek, wrywania sobie z rąk jedyne go egzemplarza „Playboya”, kupowanego przez Eligiusza. Nic z tego.

Jak zawsze wszyscy przyszedli punktualnie o osiemnastej. Niebo było jeszcze zasnuwane chmurami, dopiero niedawno przestał padać deszcz. Z liści drzew rosnących przy chodniku skapywały na ramiona idących grube krople wody. Słońce nie mogło przebić się zza zwartego kordonu chmur. Furtka była jak zawsze tak uchylona, że bez dzwonienia i czekania mogli wejść do ogródka. Do drzwi wejściowych przeszli wąskim, ułożonym z granitowej kostki chodnikiem. Drzwi były otwarte. Nie czekając na zaproszenie, weszli do środka, do małego przedsionka, z którego kolejne drzwi prowadziły prosto do salonu. Z głębi domu sączyła się delikatna muzyka – Wincenty stanowczo stwierdził, że rozpoznaje język włoski i chrapliwe ryki Drupiego. Zmysł powonienia rejestrował rozkoszne zapachy. To była dla nich nowość. Do tej pory jedzenie podawane w czasie spotkań było smaczne, ale dosyć monotonne i ograniczone do tego, co można kupić w sklepach. Czasami nabywali pieczone udka z kurczaka, do tego sałatkę jarzynową albo jakieś inne garmażeryjne cudo. Ciasta zazwyczaj z cukierni na Rynku. Oczywiście do tego kawa i odrobina jakże w ich wieku wskazanego alkoholu.

Tego dnia było inaczej. Pachniało domowym, świeżym jedzeniem, ciastem drożdżowym, smażonym tłuszczem i ziołami. Wpychali się jeden przez drugiego do kuchni, by osobiście sprawdzić, skąd taka odmiana. Smakowite dania nie były jedyną niespodzianką przygotowaną przez Alfreda. Następną, bodajże największą, był dla nich widok pięknej ciemnowłosej kobiety, dużo młodszej od gospodarza. Nie mogli sobie przypomnieć, by ją kiedykolwiek widzieli w jego towarzystwie, chociaż niewątpliwie słyszeli opowiadania kolegi o wszystkich żonach, a nawet jedną z nich zdążyli poznać przelotem. Słyszeli także o Amelii. Teraz mieli szansę poznać ją i ocenić, czy wszystko, co mówił Alfredo, zgadzało się z prawdą. Jednego byli w stu procentach pewni – Amelia była urodziwą i czarującą damą. Pomimo jakis czasu temu skończonej pięćdziesiątki zachwycała urodą, szykiem i wdziękiem oraz talentem kulinarnym.

Teraz, po wstępnych komplementach i szarmanckich ukłonach, panowie oczekiwali na konkrety, czyli pachnącą pizzę z tonącymi w serach pomidorami i nieznanym im bliżej

zielskim, czekali też na rozkoszny, panierowany ser mozzarella na grzankach i sałatkę, o której Amelia mówiła, że nazywa się rzymska. Szybko przenieśli się do salonu z widokiem na rzeczne wały i równo wykoszony ogród. Zrobiło się odświeżenie i dużo bardziej galowo niż dotychczas. Amelia wiele pracy włożyła w przygotowania. Wiedziała, że musi olśnić ich wszystkich od pierwszego wejrzenia, na drugie wejrzenie brakowało jej czasu. Chciała, by każdy z nich czuł się zaszczycony, gdy poświęci mu odrobinę uwagi.

Okrągły stół nakryła białym, haftowanym obrusem wyciągniętym z przestronnej szafy Alfreda. Pamiętała, że kiedyś osobiście go kupiła. Nieużywany, wytrzymał próbę czasu bez jednej plamki. Wyłożyła najlepszą zastawę i dokupiła wysmukłe, czerwone świece. Ustawiła je na środku stołu, w niskich, szklanych świecznikach. Przy talerzach z białej porcelany udrapowała ozdobne serwetki w różany wzór. Wyglądało to wszystko pięknie, a panowie prześcigali się w zachwytach.

Nie kazała im długo czekać na jedzenie, kluczowy punkt spotkania. Nie zamierzała nigdzie wychodzić, w pełni świadoma, że jej obecność nie pozwoli panom na inne rozrywki. Nałożyła każdemu po porządnej porcji pizzy, sobie dużo mniej, wymawiając się dietą. I usiadła razem z nimi do stołu. Najpierw rozmowa się nie kleiła. Panowie byli onieśmieleni jej obecnością, dopiero przy tiramisu i kawie hamulce puścili i poczuli się znacznie swobodniej.

Rozmowa, jak zawsze przy pierwszych spotkaniach o wszystkim i o niczym, powoli zmierzała w kierunku wspomnień z przeszłości, która zawsze okazywała się bujną, pełną przygód młodością. Czas powoli upływał, a ona nadal była w punkcie wyjścia. Któryś z nich nie mówił prawdy. Trudno, będzie musiała każdemu poświęcić trochę więcej uwagi, niż zamierzała.

Alfredo obserwował ją mocno zaniepokojony i, czego się nie spodziewał, zazdrosny. Intensywnie zastanawiał się, czy to przypadek sprawił, że tak niespodziewanie spotkali się przy budynku sądu. Z drugiej strony, gdyby Amelia chciała się z nim spotkać, to przecież nie było żadnych przeszkód. Gdy byli małżeństwem, mieszkała z nim prawie rok w Oświęcimiu, właśnie w tym samym domu. Na pewno pamiętała drogę do niego. Dlaczego po tylu latach wróciła i czy wróciła do niego? Nie był tego pewien. Widział, z jakim zainteresowaniem rozmawia z Antonim i Wincentym, jak nie odrywa wzroku od nagle odmłodniałego Eligiusza. Panowie brylowali, sypali dowcipami i na wyścigi starali się jej zaimponować, jakby nie pamiętając, że rozmawiają z jego byłą żoną. Siedział nad kawą osowiały i rozczarowany. No cóż, może coś mu się wydało. Nawet przez moment nie miał prawa mieć pretensji. Słuchał piosenki o bezpowrotnie straconej miłości i widział siebie i swoje małżeństwo. Wiedział, że tamte lata już nie wrócą.

Dochodziła dwudziesta trzecia, gdy panowie zaczęli się żegnać, mile zaskoczeni, że Amelia także wychodzi. Alfredo proponował, że odwiezie ją samochodem, ale Amelia nie chciała – miała ochotę na długi spacer przed snem. Chciała iść sama, ale żaden z panów nie mógł jej na taką niebezpieczną ekstrawagancję pozwolić. Alfredo stał przy drzwiach garażu niezdecydowany – nie przepadał za długimi spacerami, ale nie chciał Amelii zostawiać samej. Nie musiał, wprawdzie Wincenty miał w pamięci, że jest żonaty i powinien wracać prosto do domu, a Antoni zdawał sobie sprawę z tego, co by powiedzieli ludzie, gdyby zobaczyli go z obcą kobietą i to pod rękę, ale obaj także oferowali się Amelię odprowadzić. Wygrał Eligiusz, samotny, bez zobowiązań. Syn i synowa nie musieli wiedzieć, z kim się spotyka i co robi. Pożegnali się serdecznie z przyjaciółmi, a potem poszli sobie spokojnie trasą przez kładkę na Sole, spacerkiem, pod rozgwieżdżonym niebem. Po deszczu i chmurach nie było śladu. Wiał lekki, ciepły wiaterek i była to jedna z tych przyjemnych nocy, o których nigdy się nie zapomina. Rozmawiali o urokach życia w Italii, podróży, która czeka Amelię, i samotności Eligiusza. Wprawdzie od śmierci żony minęło wiele lat, ale Eligiusz nadal czuł jej obecność. Może to było powodem, że do tej chwili nie związał się z żadną kobietą, chociaż, jak podkreślał z zadowoleniem, cieszył się jeszcze powodzeniem u płci pięknej. Do dzisiaj nie zwracał uwagi na kobiety... ale dzisiaj... Obrzucił Amelię powłóczyстым spojrzeniem i przystanął, by złapać oddech.

– Czy Amelia byłaby taka łaskawa i przyjęła moje zaproszenie na kawę? Może jutro po południu... w kawiarni? – jąkał się i czerwienił jak uczeń pod wpływem emocji.

Poczuł ulgę, gdy Amelia bez ceregieli odpowiedziała:

– Dobrze, zadzwoń do południa, to się umówimy konkretnie.

– Jeżeli nie do kawiarni, to zapraszam do mnie – zaproponował bohatersko.

– Ależ Eligiuszu! Co ludzie powiedzą? Nie wypada, żebym cię pierwsza odwiedziła – zaprotestowała energicznie i dodała ciepło: – Następnym razem z przyjemnością zobaczę, jak mieszkasz. A teraz jesteśmy już na miejscu.

Popatrzył w lewo, za wysokim żywopłotem ujrzał spadzisty dach i świecące się okno na poddaszu. Niezasłonięte ukazywało puste, pozbawione mebli pomieszczenie. Nie rozglądał się zbyt długo, bo Amelia już się z nim żegnała, podając rękę do ucałowania. Po chwili zniknęła w ciemnych drzwiach budynku.

Rozejrzał się niepewnie. Nie znał zbyt dobrze tej okolicy Oświęcimia. Wygaszone latarnie dodawały grozy, a on kombinował, w jaki sposób dotrze do swojego domu. Wiedział, że doszli aż na skraj Błoni. Nie mieszkał tutaj nikt znajomy, więc i on tu nie bywał. Wracając, widział dookoła oświetlone okna czteropiętrowych i wyższych bloków. Powoli orientował się

w terenie, który jednak nie był mu tak do gruntu obcy. Zdyszany wyszedł na ulicę Konarskiego. Po chwili zamajaczył przed nim gmach liceum ogólnokształcącego. Odetchnął z ulgą – teraz już doskonale wiedział, którędy dojdzie do siebie. To tylko spotęgowanie wrażeń spowodowanych obecnością młodszej i czarującej kobiety...

Eh, marzy ci się dziadku na stare lata, pomyślał zgryźliwie. Z czym do ludzi? Ze sztuczną szczęką, reumatyzmem i emeryturą złodziejską? Nawet nie zamierzał przyznawać się Amelii do uprawianego dawniej zawodu, nie mówiąc o tym, czym się teraz zajmował. Będzie po prostu starszym panem na inżynierskiej emeryturze. Brzmiało to godnie i wiarygodnie. Przecież naprawę przez wiele lat był specjalistą od otwierania wszelkiej maści zamków, czyli prawie inżynierem. Albo mniej imponująco – ślusarzem. Też dobry, poważny zawód. Tak sobie układał w myślach, pokonując kolejne odcinki drogi do domu. Nawet mu do głowy nie przyszło zatrzymać taksówkę czy prosić syna o podwiezienie. Syn ciężko pracował, nie należało mu przeszkadzać.

Po półgodzinie dotarł na Stare Miasto i skierował się w stronę ulicy Piłsudskiego. Stary, dobry adres, niegdyś Bohaterów Armii Czerwonej. Nazajutrz czekał go nie mniej przyjemny dzień. Pierwsze sam na sam z Amelią.

Tak to się potoczyło, a Amelia zamiast spotykać się z byłym mężem, spotykała się z Eligiuszem, czyniąc spustoszenie w jego starym, steranym życiem sercu i kieszeni.

* * *

Komisarz i aspiranci darowali sobie pracę w sobotę i niedzielę, wychodząc ze słusznego założenia, że jak wypoczną, nabiorą sił, to i praca pójdzie im szybciej i sprawniej. Poza tym na poniedziałek mieli obiecaną ekspertyzę pożółkłego kawałka papieru odnalezionego w grobowcu. Komisarz bardzo liczył na ten świstek. Marzył, że znajdzie się na nim jakaś wskazówka, ślad, który doprowadzi ich do wyjaśnienia zagadki. Poza tym w poniedziałek powinien wrócić do pracy Buciek. Jego zeznania skonfrontowane z opowiadaniem aspiranta Maciejaka mogły dać pełniejszy obraz sytuacji. Rozgrzeszywszy się więc z góry, pozwolili sobie na słodkie lenistwo.

W sobotę komisarz z rodziną wybrał się na cotygodniowy obiad do teściów. Mieszkali oni przy ulicy Piłsudskiego w skromnym, pamiętającym lata siedemdziesiąte domu. Wprawdzie odnowionym, zadbanym i otoczonym pięknym ogródkiem, ale jednak małym. Obiad wypadł nietypowo w sobotę zamiast niedzieli, ponieważ w niedzielę z kolei teściowie wybierali się z wizytą towarzysko-imieninową.

Komisarz podjechał pod dom teściów około piętnastej. Od lat punktualnie o trzeciej

zasiadali do stołu, teściowa była czuła na tym punkcie, a zbyt dobrze gotowała, by zięć ryzykował spóźnienie. Nie wyobrażał sobie świątecznego obiadu bez rosółu obficie posypanego zieloną pietruszką, z kawałkami marchewki pysznymi się na kopcach domowej roboty makaronu. Na drugie danie pochodząca z Brzeszcz teściowa podawała zazwyczaj roladę z kluskami i kapustą. Ale jakie to były kluski! Delicje! Po obiedzie, do kawy jeszcze ciepłe, pachnące ciasto drożdżowe z kruszonką. Od razu mu się dzieciństwo przypominało i nieżyjąca już mama zaglądnąca co jakiś czas do piekarnika i pilnująca, by wyczekiwane ciasto się nie spaliło.

Czas zleciał im szybko. Po obiedzie, konwersacji i deserze wybrali się z dziećmi i teściem do ogródka obejrzyć zaczynające właśnie kwitnąć róże. Przy płocie teść ulokował najpiękniejsze, różowe, pnące. Właśnie komisarz główkował, jakby tu urwać gałązkę dla żony, gdy po drugiej stronie ulicy mignęły mu znajome sylwetki. No tak, była sobota, a oni w jego obecności umawiali się na spotkanie. Wszystko się zgadzało. Niedaleko posiadłości teściów miał swój dom Eligiusz Kamilski. Dopiero co aspirant Maciejak robił tam przeszukanie. Wprawdzie nic takiego nie znaleziono, ale ewidentnie przedmioty sprzedawane na Allegro pochodziły z kradzieży i zostały wystawione przez Eligiusza. Tylko jak on to zrobił? Twierdził, że nie ma pojęcia, jak się to stało, niczego nie miał, niczego nie wystawiał, pierwszy raz słyszy nazwę Allegro. Brakowało murowanych dowodów, dlatego po przesłuchaniu Kamilski wyszedł do domu. Jego syn z synową spędzili w areszcie dwa dni i także zostali zwolnieni.

Komisarz był ciekaw, o czym starsi panowie będą rozmawiali. Że pierwszym z omawianych tematów będzie podwójny nieboszczyk, co do tego nie było wątpliwości. Ale ciekawe, co jeszcze...

W niedzielę komisarz skończył czytać *Czarne okulary* i przeszedł płynnie do lektury *Tabakierki cesarza*, zafascynowany zagadkami zamkniętego pokoju, tak lubianymi przez Dicksona Carra. Przy okazji przypomniał sobie, że prekursorem powieści kryminalnej był Allan Edgar Poe. To przypomnienie sprawiło, że komisarz odłożył czytana książkę i zaczął szukać w internecie informacji na temat Poe'go i *Tajemnicy domu Usherów*, której niestety nie posiadał w zbiorach.

Nawet się nie obejrzał, jak zleciała mu niedziela.

* * *

Alfredo został mile zaskoczony nieobecnością Amelii. Był przekonany, że tak jak u niego, tak i w spotkaniu organizowanym przez Eligiusza Amelia będzie uczestniczyła. Nic z

tego. Eligiusz był wprawdzie mocno zauroczony, ale całkowicie głowy nie stracił. Z kolegami chciał porozmawiać o sprawach, o których Amelia wcale nie musiała wiedzieć. Przecież nadal ukrywał przed nią swój prawdziwy zawód i burzliwą przeszłość. Obawiał się, żeby któryś z kolegów nie palnął czegoś, co będzie ciężko wytłumaczyć. Poza tym... to Allegro... Nikomu się nie przyznał, że dał Amelii prezent, i to niejeden. Czyżby to ona poprzez to cholerne Allegro sprzedawała drobiazgi, które od niego dostała? Zrobiło mu się przykro, poza tym przypomniał sobie, że nie widział, by Amelia nosiła któryś z otrzymanych od niego prezentów. Pierścionki były ponoć za małe i dała do poszerzenia, ale wisiołek... Taki piękny, z małymi brylancikami.

Eligiusz miał za sobą awanturę z synem. Wiedział dobrze, że nie powinien dawać w prezencie fantów z ostatniego skoku, ale nie miał serca odmówić, gdy Amelia zachwycała się pięknym pierścionkiem. I tak wyszło. Nie przyznał się synowi do swoich nierozsądnych podarunków. Powiedział, że przez zapomnienie zostawił fanty w saszetce na ławce w parku. Gdy gnany niepokojem wrócił, ławeczka już była pusta. Ktoś nieuczciwy zabrał cały łup. On jest stary, ma zaniki pamięci, zaczynają się problemy. Delikatnie sugerował synowi, że sam powinien zająć się zbytem towaru i nie liczyć na zramolałego ojca. Starał się wyglądać staro i nieudolnie, by go przynajmniej na moment uspokoić. Nie oznaczało to, że sam nie zamierzał zająć się tą sprawą. Zainteresowanie Amelii mu pochlebiało, czuł zawrót w głowie, ale jeszcze kołatały się w nim resztki zdrowego rozsądku, a pamięć przypominała stare i jakże prawdziwe powiedzenie, że „nie ma nic za darmo”.

Dzisiaj zamierzał uczciwie porozmawiać z kolegami. Kobieta kobietą, ale teraz dużo ważniejsza była ich wieloletnia przyjaźń.

* * *

Od poniedziałku z powrotem zaczęło popadywać, a zachmurzone niebo nie obiecywało rozjaśnień. Wiadomo było, że jak już deszcz wejdzie w Kotlinę Oświęcimską, to będzie padało i padało, aż do znudzenia. Niskociśnieniowcy przysypiali, a ci z wysokim ciśnieniem też nie czuli się o wiele lepiej.

Stażysta Buciek, wyspany i wypoczęty, na piechotę zmierzał do pracy. Niedzielę spędził w domu, na własne żądanie wypisany ze szpitala. Miał już dość uzalania się nad nim mamusi i dobrych rad ojca. Najwyższy czas postawić na samodzielność. Przeanalizował sobie cały pechowy piątek i stwierdził, że szybko musi wziąć się za siebie. W pierwszej kolejności zamierzał się odchudzić. Przynajmniej z dziesięć kilo mniej, no może na początek pięć – i już poczułby się lepiej. Tusza nie przeszkadzała mu do momentu, kiedy skulony za grobowcem,

stanowiącym znakomitą osłonę chroniącą go przed wzrokiem przestępców, usiłował przedzierać się w ich kierunku, nie czyniąc hałasu. Ledwo mieścił się między grobami, a zbyt gruby tułów i zwałiste, niezgrabne nogi tylko mu przeszkadzały. Dieta, gimnastyka, pływanie, chodzenie. Tak... przede wszystkim dużo chodzenia. W związku z tym postanowieniem od poniedziałku trasę do pracy i z powrotem zamierzał pokonywać pieszo. Nie miał daleko, od ulicy Nojego raptem dwa kilometry, a może nawet mniej. Szedł sobie rano, cały zadowolony, a deszcz zraszał mu pucołowate oblicze. Nie pomyślał o zabraniu parasola, a ten kapuśniaczek był nawet przyjemny. Dzięki spacerom zwiedzi też trochę rodzinne miasto. Czuł, że czeka go wiele przyjemnych niespodzianek.

* * *

W pokoju u komisarza Ożegalskiego trwała burza mózgów. Wprawdzie mózgi były wypoczęte i wyspane, ale zdołowane pogodą, dlatego jeszcze nie zaczęły pracować na najwyższych obrotach. Dla wzmocnienia ich działania trzeba było użyć wspomagaczy typu kawa i cukierki kopiko.

Na razie podsumowali to, czego się dowiedzieli w ciągu ubiegłego tygodnia. Nie było tego mało, a sprawa stawała się z dnia na dzień coraz bardziej rozwojowa i nad wyraz interesująca.

Komisarz przytargał wielki arkusz papieru używany przy szkoleniach pracowników, a przez żonę do robienia wykrojów do szycia. Wyciągnął z biurka komplet różnokolorowych flamastrów i przystąpił do pracy.

– Nie wiem, czy się ze mną zgodzicie, ale ja mam pewność, że w tej chwili mamy do czynienia z dwoma, albo nie, nawet z trzema sprawami – podsumował po jakimś czasie poczynione zapiski.

Miał rację. Gdy już wszystko rozpisał w punktach na arkuszu, okazało się, że sprawa rozkłada się trzytorowo. Pierwszy punkt to sprawa Sierszy-Janickiego, jego życia i śmierci, a przede wszystkim testamentu. Kto wiedział o istnieniu grobowca i dlaczego uważano, że grobowiec powinien być pusty? Kto mógł grobowcem dysponować i w jaki sposób informacja o nim trafiła do nobliwego właściciela toyoty? Czy osoba tego pana wiązała się w jakikolwiek sposób z osobą Sierszy-Janickiego, czy był to kompletny przypadek? Akta w parafii były wiarygodne, trudno podejrzewać księdza proboszcza o jakiegokolwiek machinacje – od tej strony mogli być pewni dat i ustaleń. Teraz któryś z nich powinien wybrać się na ulicę, przy której mieszkał lata temu Siersza-Janicki, i sprawdzić, kto zajmuje jego dom – może ktoś ten jego dom odziedziczył. Należało też sprawdzić, który z dawnych sąsiadów Sierszy-

Janickiego mieszka jeszcze w okolicy – może ktoś pamięta tamte czasy. Starsi ludzie nie pamiętają, co było wczoraj na obiad, ale zdarzenia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat przypominają sobie doskonale. Szansa na rozwiązanie tej części zagadki była całkiem realna.

Po wtóre, kwestia śmierci tamtego drugiego, dużo młodszego mężczyzny. Co wydarzyło się w mieście lub okolicy dwadzieścia lat temu? Jakaś strzelanina, pościg za bandytą, porachunki gangów? Mafia? Tu nie było zmiłuj, tylko żmudna, papierkowa robota. Komisarz miał cichą nadzieję, że w końcu trafią na odpowiednie akta. Będą mieli pecha, jeśli się okaże, że tych akurat akt nie będzie w piwnicy. Wtedy pozostawał wywiad wśród mieszkańców miasta i starszych pracowników komendy. Problem w tym, że jednym ze starszych był komisarz Ożegalski, a ponad połowę pracowników stanowili przyjezdni, którzy nie bardzo wiedzieli, czym miasto żyło kiedyś. Pozostawali jeszcze emerytowani milicjanci i policjanci. Oni byli skarbnicą wiedzy. I jeszcze... Komisarz przypomniał sobie o prośbie Darka. Powinien z nim porozmawiać. Być może to, o co wtedy pytał, łączyło się z ich aktualną sprawą. Dopiero teraz komisarz zaczynał kojarzyć fakty. Czyżby Darek wiedział więcej, niż mu powiedział? Na własną rękę rozwiązywał teraz sprawę zbieżną z podwójnym nieboszczykiem? Tylko że oni nadal nie wiedzieli, czego szukają. Dobrze chociaż, że wiedzieli, jakie lata powinny ich interesować.

I sprawa trzecia, nie mniej ważna. Wszystko wskazywało na to, że przez przypadek natrafili na szajkę zajmującą się handlem grobami. Być może handel starymi grobami nie był jedynym zajęciem tych ludzi albo był zajęciem, o które chcieli, aby ich podejrzewano, a tak naprawdę chodziło o co innego. Może o handel narkotykami? Dobrze zabezpieczony grobowiec to idealne miejsce do przechowywania towaru. Nikomu nie rzuci się w oczy, jeżeli co jakiś czas, a nawet codziennie ktoś przyjdzie na grób i zapali znicz, a przy okazji zajrzy do środka. Aspirant Maciejak sam widział przeskakujących przez mur osiłeków. Dla takich nie było przeszkód. Ich obecność na cmentarzu nie zwróciłaby niczyjej uwagi. Oprócz narkotyków w takim solidnym grobowcu można przechowywać wszelkie inne dobra. Prawidłowo zabezpieczone dzieła sztuki, skradzione kolekcjonerom, przygotowane do przerzutu za granicę, biżuterię najróżniejszego sortu – od współczesnej, robionej taśmowo, po zabytkowe cudeńka, a także drobny sprzęt elektroniczny. Nie podejrzewał, żeby ktoś pakował do grobowca pudła z telewizorami, ale telefony komórkowe, smartfony, tablety i inne elektroniczne gadżety osiągające horrendalne ceny – jak najbardziej. Nie ważyły wiele, pojedyncze sztuki nie zajmowały zbyt dużo miejsca, a dziesięć najnowocześniejszych ultrabooków ważyło około piętnastu kilo. Wszystkie te elektroniczne wynalazki były drogim, dobrym towarem, tak do kradzieży, jak i do handlu. A może w grę wchodziły leki?

Możliwości było wiele. Wstępnie jednak zakładali, że chodzi o grobowce, które stanowią centra dystrybucji lub podręczne magazyny. Musieli sobie przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: co w takim razie dystrybuje owa szajka?

Trzeba się przyłożyć. Gdyby się udało, to za jednym zamachem mieliby rozwiązane dwie sprawy, jedną starą, drugą nową. Komisarz nie bawił się w zbędne dywagacje, tylko po podsumowaniu całości zgromadzonej wiedzy podzielił pomiędzy podwładnych zadania.

* * *

Aspirant Maciejak swoje pierwsze kroki skierował w stronę zakładu kamieniarskiego. To znaczy najpierw wsiadł w swój prywatny samochód, przechodzonego opla vectrę, i pojechał. Nie miał przed sobą dalekiej drogi. Zakład kamieniarski mieścił się w niewielkiej odległości od cmentarza. Aspirant chciał sprawdzić, jak przebiegało to zlecenie otwarcia i remontu grobu, kto się pod nim podpisał – przecież Szumiejko dostał, podobno, zadatek na poczet prac. Powinien pozostać w papierach ślad. Mały, najmniejszy, jakikolwiek.

Zakład kamieniarski zajmował dosyć sporą powierzchnię okoloną wysoką na dwa metry siatką. Posadzone blisko siatki tuje osłaniały teren zakładu od ulicy i ciekawskiego wzroku przechodniów. Biuro mieściło się w małym, kiedyś przeznaczonym na garaż budynku. W nim przyjmowano klientów i zlecenia. Tam też Szumiejkowie mieli wystawione próbki co rzadszych odmian kamieni oraz wszelkiej galanterii nagrobnej. Na zewnątrz, z boku budynku mieszkalnego, mieścił się magazyn najczęściej używanych odmian granitu i marmuru, tak aby klient mógł sobie od razu wybrać, z czego będzie miał zbudowane miejsce wiecznego spoczynku. Wprawdzie nie musieli wszystkiego gromadzić na miejscu, wystarczyło podjechać do tak teraz modnych hurtowników, którzy sprowadzali wszystko na dużą skalę, ale u Szumiejków przeważyło przywiązanie do tradycji i wiedza. A wiedzieli, że nawet jeżeli klient zażąda jako budulca popielatego granitu w srebrne ciapki, to lepiej by było, aby sam sobie ten granit wybrał. Różnie potem bywa, klient może mieć pretensje, że ciapki za różowe, a sreberka za mało, i ten szary jakiś inny.

Maciejak podeszedł do drzwi biura i pocałował klamkę. Były zamknięte. Przypuszczał, iż cała ekipa kamieniarska przeniosła się na cmentarz. Zastanawiał się, co dalej zrobić, gdy w drzwiach domu stanęła miła, starsza kobieta. Wciąż ładna, witała go uśmiechem.

– Dzień dobry – powiedziała. – Czego pan sobie życzy?

– Dzień dobry pani. – Policjant prawie że zaszutował, podeszedł i przedstawił się: – Aspirant Maciejak, Komenda Powiatowa Policji w Oświęcimiu.

– Szumiejko Anna – odpowiedziała i podała mu na powitanie rękę, którą aspirant

skwapliwie ucałował. – Mąż z synem pojechali do pracy na cmentarz – wyjaśniła. Aspirant zmartwił się, ale pomyślał, że nie ma tego złego...

– Pani Anno, czy mogę tak do pani mówić? – zapytał.

– Tak, oczywiście – zgodziła się, machinalnie przyglądając fałdy kuchennego fartucha.

– Nie chciałbym pani fatygować, ale mam problem. Prowadzimy ustalenia związane z pracą pani męża. – Aspirant zobaczył, że pani Anna blednie i zreflektował się. – Ale to nic takiego, pani Anno, ja tylko chciałem się dowiedzieć, kim był zleceniodawca remontu grobu, wie pani, tego od dwóch nieboszczyków – wyjaśnił niezgrabnie. – Może mogłaby mi pani pomóc i sprawdzić, kto podpisał zlecenie na wyremontowanie grobowca Sierszy-Janickiego.

– Ja... – zawahała się. – Niech pan zaczeka, pójdę po klucze. – Weszła do przedpokoju i sięgnęła po pęk kluczy. Wysupłała ten potrzebny i razem z aspirantem powędrowała w kierunku biura.

Aspirant czekał cierpliwie, nie poganiając, aż żona Szumiejki przejrzy zawałoną papierami szufladę. Niezdecydowanie przekładała papiery i kartkowała zeszyt ze zleceniami. Nigdzie nie widziała poszukiwanego nazwiska. Założyła, że mąż powinien napisać coś w rodzaju „zlecenie remontu grobowca Aleksandra Sierszy-Janickiego” i obok przyjętą kwotę zadatku, a tu nic. Gdzie on to włożył, przecież nie przyjął pieniędzy z ręki do ręki? Każdy, ale nie jej mąż, znała go, przy pieniądzach był bardzo skrupulatny.

Po chwili poszukiwań rozłożyła bezradnie ręce.

– Naprawdę chciałabym panu pomóc, ale jednak musi pan pojechać na cmentarz i porozmawiać z mężem. Nie mam pojęcia, gdzie on to mógł włożyć. Wie pan... – zamyśliła się. – Może te papiery schował gdzieś osobno, wiedział, że są ważne, i żeby nie zginęły, odłożył je. Mój mąż i syn mają wiele zalet, ale nie umieją utrzymać porządku w dokumentach. Synowa prowadzi im księgowość i wiem, jak się czasem namęczy, szukając faktur poupychanych po kieszeniach ubrań, schowkach w samochodzie i innych nieprawdopodobnych miejscach. Takie to z nich artystyczne dusze. – Uśmiechnęła się ciepło i zamknęła wypełnioną papierami szufladę.

– No cóż, to w takim razie nie będę pani przeszkadzał, dziękuję za pomoc, tylko... na którym cmentarzu ich zastanę, komunalnym czy parafialnym? – wołał od razu dopytać policjant.

– A... Na parafialnym, remontują grobowiec przy kwaterze sióstr serafitek. – Widząc niepewny wyraz twarzy aspiranta, pani Anna wyjaśniła: – Pójdzie pan prosto, główną aleją do kaplicy cmentarnej i przy samej kaplicy skręci pan w prawo. Tam jest ułożony chodnik z

płytek. Przejdzie pan może z dziesięć metrów i na pewno ich pan zobaczy. To blisko grobu siostry Eligii. – Osłupienie widoczne na twarzy policjanta sprawiło, że dodała: – Pamięta pan siostrę Eligię, porucznik Leopoldynę Stawecką, naszą siostrę serafitkę, walczącą w czasie pierwszej wojny światowej. No i z Marszałkiem w czasie bitwy warszawskiej. No tak, nie pamięta pan, o niej w szkole nie uczyli. W takim razie niech się pan rozgląda, na pewno pan ich znajdzie. – Pokręciła głową z powątpiewaniem i zamknąwszy drzwi do biura, poszła w stronę domu.

Aspirant Maciejak został przy drzwiach. Miał wrażenie, że się przed panią Anną skompromitował. Było mu wstyd. Musiał uzupełnić wiadomości. Na już!

* * *

Przy bramie cmentarnej aspirant ujrzał kilkanaście osób skupionych wokół jednego, starszego już mężczyzny. Pan był postawny, opalony, ze świecą w słońcu łysiną, wyprostowany jak struna. Ubrany na sportowo w dżinsowe spodnie i niebieską koszulkę polo, na szyi miał zawieszony okazałych rozmiarów aparat fotograficzny. Obok aparatu, na rozległej piersi, dyndał telefon komórkowy. Mężczyzna coś opowiadał, obficie gestykułując rękami. Ludzie, wpatrzeni w tablicę umieszczoną na murze przy bramie, słuchali go z zainteresowaniem.

– Proszę państwa, pamiętajmy, że na naszym cmentarzu parafialnym spoczywa wiele osób w sposób szczególny, by nie powiedzieć wybitny, zasłużonych dla miasta i okolicy. Cel naszego dzisiejszego zwiedzania jest jeden. Zlokalizować miejsca pochówku osób wybitnych, uwiecznić je na zdjęciach, a potem w miarę możliwości propagować wśród rodziny, znajomych i przyjaciół ideę odwiedzania cmentarza, spacerów na cmentarzu, nie tylko przy okazji porządków przed pierwszym listopada albo pogrzebu kogoś bliskiego. Mamy na naszym cmentarzu sporo zabytkowych pomników różnej klasy, więc jest co oglądać. Pamiętajmy, pokolenia na nas patrzą. – Postawny mężczyzna z lekka zachrypł, sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął buteleczkę mineralnej. Odkręcił, łyknął i odetchnął z ulgą. – Już mi lepiej, przepraszam państwa. Na czym to ja skończyłem? Aha, pokolenia na nas patrzą, nie wstydzmy się ich, nie chowajmy głowy w piasek, tylko się chwalmy – zakończył dobitnie i skierował zasłuchaną grupę w stronę głównej alei.

– Święte słowa – mruknął aspirant. Gdyby nie obowiązki służbowe, chętnie przyłączyłby się do wycieczki.

Niby to tylko cmentarz i każdy jak może unika wizyty na nim, bo mu się jednoznacznie kojarzy, ale przecież spacer na cmentarzu też może być przyjemny, przynieść

ukojenie i wyciszenie. Odpoczynek, ulgę dla skołatanych codziennym stresem nerwów. Spokój, przygrzewające słońce, dźwięk dzwonów z pobliskich kościołów, pierwsze cztery takty *Poloneza weselnego* Aleksandra Orłowskiego odtwarzane ze starego ratusza w każde południe... To wszystko może sprawić przyjemność.

Nieco zamyślony zostawił za sobą wycieczkę kontemplantującą następną tablicę pamiątkową i aleją skierował się w stronę kaplicy. Była już zamknięta, mniejsza liczba pogrzebów sprawiła, że pan Antoni miał dzisiaj trochę luźniejszy dzień. Już z daleka po prawej stronie kaplicy aspirant zobaczył ruch i charakterystyczną postać Wincentego Szumiejki. Kamieniarz stał na nagrobku i pokazywał coś trzem słuchającym go z uwagą mężczyznom.

Policjant minął kilka rzędów małych nagrobków składających się na kwaterę sióstr serafitek i przystanął przy dość dużym rozkopanym grobie.

– Ja już na dzisiaj kończę, sami sobie poradzicie. – Wincenty nie miał ochoty na jakąkolwiek pracę. Nie te lata, nie ten wiek. Na dzisiaj to nawet miał już dość cmentarza. Jak rzadko. Zeskoczył z nagrobka i prawie tak wycelował, że wsparł się ręką na stojącym poniżej aspirancie. Zrobiło mu się słabo – wszystko, tylko nie to!

– Witam pana, panie Szumiejko. – Maciejak dostrzegł zmianę wyrazu twarzy i lekki popłoch w oczach kamieniarza.

– A uszanowanie panu.

– Czy moglibyśmy zamienić parę słów?

– Jeżeli tylko potrafię, to ja zawsze naszej władzy pomogę. – Szumiejko nadal był spłoszony, ale miły.

– To świetnie, tego mi trzeba. – Aspirant uśmiechnął się dobrodusznie, chwycił kamieniarza pod ramię i zaproponował: – Może się przespacerujemy?

– A proszę bardzo. – Wincenty dobrze wiedział, kiedy spasować.

Panowie, ramię w ramię, zawrócili i skierowali się w stronę kaplicy. Aspirant nie zwlekał, tylko od razu zadał pytanie:

– Panie Wincenty, niech mi pan powie, co jest z tym zleceniem na remont grobowca. Przecież przyjął pan zaliczkę, wystawił pokwitowanie. Chyba pan wie, z kim pan rozmawiał...

Szumiejko z nerwów przystanął, zdjął okulary i przetarł połą flanelowej, roboczej bluzy. Włożył je z powrotem i zamrugał nerwowo oczami. Wzrok psuł mu się w zastraszającym tempie. To wszystko nerwy i te kłopoty. No nic, musiał powiedzieć prawdę.

– Niby tak, ale... panie aspirancie... – Szumiejko zawahał się przez moment. – Wie

pan, ja zawsze pilnuję, żeby wszystko było jak trzeba, tylko że w tym zleceniu to było tak na dwa razy... Tak jak mówiłem. Najpierw przyjechał ten elegancki mężczyzna. On nie był stary, najwyżej pięćdziesiątka, był ubrany tak starannie, garnitur, letni kapelusz, drogi zegarek, skórzana aktówka. To robiło wrażenie solidności, zamożności. Przyjechał takim porządnym samochodem...

– Toyotą terenową? – wtrącił aspirant.

– Tak... Skąd pan wie?

– A to potem panu powiem.

– Czyli że on znowu tu był. Zdzisiek opowiadał o tym, co się działo w piątek – wywnioskował Wincenty. – No i widzi pan, jakoś tak... miałem niby w ręku ten testament, nawet zdziwiłem się, że nazwisko inne, wynikało z tego, że ten pan był synem siostry Sierszy-Janickiego, a ja o siostrze ani o bracie nigdy nie słyszałem. Ale wiadomo, jak to w życiu. Może z rodzeństwem była związana jakaś tajemnica, może siostra bardzo wcześnie z domu wyszła. Przecież to ich sprawy. Fatalnie, że nie mogę sobie tego jego nazwiska przypomnieć. Tak zerknąłem i mi umknęło. Podsumowując, nie wziąłem od niego nic, to były wstępne rozmowy, a potem z pieniędzmi przyjechali tamci dwaj i prawdę mówiąc, zapomniałem. Oni po prostu położyli na stole bułę banknotów – kamieniarz obrazowo pokazał, ile to buła, zginając palce prawej ręki w półpięć – powiedzieli, że mam nie plotkować, zrobić, a jak zrobię, to oni przyjadą i się rozliczymy do końca. I teraz sam nie wiem, co mam robić – zafrasował się. – Pieniądze wzięte, materiał zamówiony, bo u nas tego zielonego były resztki, wypadałoby zrobić, a tu jak?

– Ależ pan ma znakomity pomysł, panie Szumiejko! – Na aspiranta spłynęło olśnienie. Skoro ta szajka nie pochodzi z Oświęcimia, tylko jest na gościnnych występach, to może dadzą się zwabić z powrotem do miasta. Jedną sprawę mieliby wtedy wyjaśnioną. Wiedzieliby przynajmniej, czy ich założenie, że łowcy grobów nie mają nic wspólnego z podwójnym nieboszczykiem, jest słuszne, czy też nadal błędą jak dziecko we mgle. – Przejdźmy się do tego grobowca, ma pan rację, najlepiej będzie, jeżeli zabierzecie się do pracy nad nim.

Szumiejko powoli się uspokajał. Tym brakiem pokwitowania martwił się niewymownie, nie chciał, by policjanci pomyśleli, że oni tak na lewo biorą pieniądze i pracują, omijając formalności.

Wycieczka już zdążyła dojść do zabytkowej kaplicy cmentarnej. Panie pstrykały zdjęcia, panowie cichutko stękając, zaczynali przysiądać na skrajach grobów. Takie bieganie to dobre dla młodych, ale młodzi teraz tylko pracują, a na aktywizację ich, starych, coraz

większe naciski. No to się aktywizują. Wieczorki taneczne, pływalnia za darmo, warsztaty fotograficzne, a nawet w domu kultury kursy rysunku i uniwersytet trzeciego wieku. Niektórzy byli już tą całą aktywnością kompletnie wykończeni, ale starali się trzymać fason przed innymi, zwłaszcza że pan Stefan, przewodnik, nie zwalniał kroku, tylko pędził całe towarzystwo w kierunku obelisków upamiętniających żołnierzy austriackich poległych w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku w obronie Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa i granicy Cesarstwa. Podeszli tam, utyskując, i wszyscy oniemieli, łącznie z panem Stefanem, który na moment zamarł przy najstarszym obiekcie, obelisku poświęconym porucznikowi Pierwszego Pułku Ułanów hrabiemu von Schoenbergowi i baronowi von Lehmannowi, a doszedłszy do siebie, pełen oburzenia wykrzyknął:

– Jak pan tak może?! To haniebne! Takie zachowanie w historycznym miejscu!

Pełen potępienia okrzyk dotarł do aspiranta i do pana Wincentego, którzy przyspieszyli kroku, chcąc zobaczyć, co się stało. Podeszli bliżej i grzecznie przepraszając, przedarli się przez podniecony tłumek w pobliże okolonego łańcuchem, steranego przez upływ czasu pomnika.

Zobaczyli, że na grubym, żelaznym łańcuchu ktoś powiesił lekką, płócienną bluzę w niebiesko-żółtą kratę. Pod łańcuchem leżał niegdyś zielony, teraz mocno sprany chlebak harcowski, wypchany pustymi butelkami po piwie. Obok, w obłoku piwnego odoru zmieszanego z zapachem tytoniu, siedział półprzytomny, ubrany tylko w lekki siatkowy podkoszulek mężczyzna. Plecami opierał się o łańcuch, krzywiąc się z bólu. Widocznie ogniwa łańcucha wpijały mu się w kręgosłup i łopatki. Na jego kolanach leżały okulary i poszarpany, stary brulion. Wygląd miał mało przytomny i nielicujący z powagą miejsca, w którym przebywał.

Aspirant bardzo się zdziwił, gdy zobaczył, kto przed nimi siedzi. Nie tego się po tym człowieku spodziewał. Fakt faktem, że Sebastian Kloc nigdy alkoholem nie gardził, ale żeby upaść tak nisko! A gdzie czar i urok poety, człowieka bądź co bądź nietuzinkowego.

– Kloc, zawiodłem się na tobie – aspirant nie silił się na dyplomację. – Jak mogłeś mi to zrobić? A ja wierzyłem, że zajdziesz daleko. Komisarz wierzył!

– A... Ale... Panie aspirancie, ja nic nie rozumiem! – Głos Kłoca brzmiał mętnie, ale nie było w nim słyhać tonów charakterystycznych dla stanów upojenia alkoholowego. – Przecież ja właśnie w związku z poezją wybrałem się tutaj. To miejsce takie romantyczne... Chciałem sobie odczytać mój poemat o Napoleonie, poczuć ten klimat, atmosferę. Najpierw spacerowałem, potem przywędrowałem tutaj – Kloc pokazał drżącym palcem kawałek płytki i żwirka, na którym siedział, i podniósł niewinne, błękitne oczęta na aspiranta – i tak siadłem

przy pomniku, chlebak położyłem na ziemi, wyciągnąłem zeszyt, okulary i nie pamiętam, co dalej, nie wiem, co się stało, tylko głowa mnie łupie... Chyba oberwałem. Tylko za co? – Poeta był zdumiony. Nadal oszołomiony, łapał się za bolący tył głowy i szukał miejsca uderzenia. Po chwili wyciągnął przed siebie prawą rękę. Całe szczęście, że nie było widać na niej śladów krwi, bo by zemdleł. Kloc przetarł drżącą ręką czoło i zaczął mamrotać pod nosem. Jedyne, co dotarło do aspiranta, to pełen zdumienia i lęku szept: – Duch! Widziałem ducha... – Poeta potrząsnął głową i z bolesną miną chwycił się za czoło.

Aspirant pochylił się nad nim, powąchał. Wszystko się zgadzało. Mężczyzna był absolutnie trzeźwy, natomiast suche już ubranie ktoś polał mu piwem, a do kieszeni bluzy nakruszył tytoniu. To dało ten nieprzyjemny odór i wrażenie, że Kloc jest w stanie upojenia alkoholowego. Dlaczego tak go ktoś potraktował? Czyżby jakaś literacka konkurencja? Komu przeszkadzał całkiem nieszkodliwy poeta?

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale z tego, co pan powiedział, wynika, że udał się pan na cmentarz, do kwatery żołnierskiej, celem odczytania swego poematu, tak? – zapytał dociekliwie pan Stefan.

– Tak, zgadza się.

– I nie zdążył pan go odczytać?

– Nie zdążyłem – potwierdził Kloc.

– To poprosimy o odczytanie.

– Tak, tak... Jak najbardziej. – Paniom bardzo spodobał się ten pomysł. – Panie Sebastianie, to takie romantyczne... Takie nastrojowe... – zachwyciły się jedna przez drugą, popatrując z uwielbieniem na dużo młodszego od całej reszty towarzystwa poetę.

– Czytaj, Seba, panie mają rację. – Aspirantowi chciało się śmiać, gdy widział miny Kłoca, który nagle z wyrzutka społeczeństwa wyrastał na domorosłą gwiazdę. Teraz już przyodziany w kraciastą bluzę, powoli wstawał i powstrzymując jęki, prostował kości. Chciał zatrzeć to pierwsze, niekorzystne wrażenie. Otworzył zeszyt, włożył okulary na nos i zaczął recytować drżącym głosem:

Napoleonie, boże wojny,

Modlitwę do ciebie wznoszę,

Od szaleństwa, zarazy i nienawiści

Wybaw nas proszę...

Dookoła zapadła cisza, przerywana tylko westchnieniami wrywającymi się z damskich piersi. Kloc nabrał powietrza w płuca, złapał oddech i kontynuował:

*Napoleonie od Inwalidów,
Otruty czy umarły,
Spójrz na nasze miasto
Znad Austerlitz i Valmy.*

*Napoleonie od Walewskiej,
Nie daj nam stracić ducha,
Wysłuchaj modlitw ludu,
Nie daj nam upaść.*

*Napoleonie od pogromu,
Coś Aleksandra gnębił,
Daj zakosztować narodowi
Boskiego smaku potęgi.*

Sebastian potoczył wokół nieco błędnym wzrokiem i zamknął zeszyt. Widać było, że czeka na aplauz zgromadzonego wokół tłumku. Pierwsze ocknęły się panie i dały upust nagromadzonym emocjom, klaszcząc gromko i wytrwale. Panowie także poklaskali trochę, świadomi, że nagle wyrósł im konkurent.

– No tego się nie spodziewałem, komisarz będzie zdumiony – tak na gorąco skomentował występ poety aspirant Maciejak.

Tylko pan Stefan kręcił głową. Był niezadowolony i dał temu wyraz, krytykując rymy.

– Panie Kloc, jaka to poezja? Że Napoleon, to rozumiem, sam darzę cesarza atencją, wprawdzie dla mnie byłoby bardziej zrozumiałe, gdyby Franciszek Józef, ale jeżeli pan tak wybrał... Z tym się zgodzę. Poza tym dlaczego przy obeliskach żołnierzy austriackich? Pytam się, dlaczego nie przy grobie Russockich? Pamiętajmy – pan Stefan zwrócił się do grupy zwiedzających – pamiętajmy, że Kajetan z Brzezia Russocki był adiutantem samego Napoleona Bonaparte i stał wytrwale przy boku cesarza. Po przyjeździe do Oświęcimia wykorzystał swą światową wiedzę i obycie, uruchamiając w tysiąc osiemset osiemnastym roku pierwszą na tym terenie pocztę konną. Oprócz tego – przewodnik wykorzystywał każdą okazję do wtłoczenia w głowy słuchaczy chociażby minimum wiedzy na temat historii

ukochanego miasta – oprócz tego – powtórzył – na rok przed śmiercią zakupił podupadający zamek, który po nim odziedziczyła córka, Leokadia Dąbska. To nie był byle kto, tylko jeden z najbardziej zasłużonych mieszkańców naszego miasta! Poza tym to, co pan napisał, to jest wiersz i to krótki, nie poemat. I jeszcze te rymy częstochowskie! – Widząc niewróżące nic dobrego miny zgromadzonych wokół niewiast, pan Stefan zreflektował się i dodał polubownie: – Ale i tak się panu chwali, że w takim miejscu chciał pan zaprezentować swoją twórczość. To jest godne naśladowania.

Policjant aż się uśmiechnął, widząc, jak z Kloca schodzi napięcie wywołane tą niespodziewaną krytyką, a i pan Stefan wyraźnie poczuł się swobodniej. Obaj uratowali twarz wobec dam.

Po chwili aspirant zaczął się z również rozbawionym kamieniarzem wycofywać poza podniecony krąg. Ciekawe, komu było potrzebne unieszkodliwienie i rzućcie cienia podejrzenia na w sumie sympatycznego poetę? Czyżby ktoś chciał go zdyskredytować, umniejszyć jego wiarygodność? Ale po co? Dlaczego? Co takiego mógł wiedzieć ten z natury łagodny człowiek?

Gdy wyszli na chodnik, aspirant odetchnął z ulgą. Nagle zobaczył, że Szumiejko staje jak wryty i uśmiecha się nieśmiało.

– Dzień dobry, Amelio, jakże mi miło, że cię spotykam. – Starszy pan był autentycznie wzruszony.

Przy wysokim szarym grobowcu stała przystojna kobieta po pięćdziesiątce, znakomicie ubrana, elegancka i pewna siebie. W ułamku sekundy obrzuciła wzrokiem policjanta, podała dłoń do pocałowania Wincentemu i zapytała:

– Przedstawisz mi swojego znajomego?

Szumiejko poczuł się nieco zakłopotany, ale niezręczną sytuację uratował aspirant, przedstawił się sam i szybko powtórzył pocałunek w dłoń eleganckiej pani. Robiła na nim wrażenie osoby, która lubi takie drobne, powierzchowne oznaki szacunku. I dobrze, przynajmniej – jak mówi młodzież – „zapunktował”.

– Co ty tutaj robisz? Czyżby ktoś bliski odszedł? – z drżeniem w głosie zapytał Wincenty. Nadal był pod urokiem Amelii i to, o co podejrzewał ją Eligiusz, wydawało mu się jakąś wyssaną z palca potwarzą. Ta eteryczna istota miałaby cokolwiek wyłudzać od Lidka, podszywać się pod niego, rzucać na niego cień nieuczciwości? Jakoś to się wszystko nie zgadzało. Bardziej było prawdopodobne, że Eligiusza dopadła – jakże częsta w ich wieku – skleroza. Dał, a może nie dał, tylko zgubił albo coś w tym stylu.

Amelia i aspirant Maciejak widzieli zmieszanie Wincentego i uczucia malujące się na

jego pomarszczonej twarzy. Pierwsza odezwała się kobieta.

– Ależ skąd, nic się nie stało, po prostu postanowiłam obejrzeć ten grobowiec, w którym odkryłeś podwójnego nieboszczyka. Wszyscy tutaj przychodzą, to pomyślałam, że i ja zaglądnę. To jest niesamowita historia! Jak z książki. – Uśmiechnęła się do obu panów. – Nie będę wam przeszkadzała, ja już wracam.

– Och, szkoda, ale może... – Wincenty zawahał się i popatrzył nieśmiało na policjanta.

– Świetny pomysł, będziemy zaszczyceni pani towarzystwem. – Aspirant miał refleks, poza tym chciał zobaczyć, co wyniknie z tej wycieczki. Powoli, gęsiego ruszyli w kierunku najbardziej sensacyjnego obiektu na cmentarzu.

* * *

– Jeżeli myśleliście, że ten skrawek papieru to mapa, na której naniesiono miejsce ukrycia skarbów, to pomyłka, panowie – z takimi słowami do pokoju komisarza Ożegalskiego wszedł doktor Jastrząbek. W rękę trzymał plastikową teczkę zawierającą zrekonstruowany kawałek papieru odnaleziony w grobowcu.

– Proszę, siadaj, siadaj. – Komisarz podniósł znad czytanych akt zmęczone oczy i pokazał doktorowi niewygodny, drewniany stołek.

– Nie masz jakiegoś wygodniejszego? – Doktor nie należał do tych, co się umartwiają.

– Zaczekaj moment. Krzysiek, przynieś fotel z konferencyjnego.

Stażysta podniósł się ociężale zza biurka i zadowolony, że może rozprostować kości, wyszedł. Po chwili, posapując z wysiłku, wtargał do pokoju ogromniasty fotel komendanta. Z ulgą postawił go naprzeciw biurka komisarza i zaproponował zieloną herbatę dla wszystkich. Nie zważając na głosy protestu, wsypał do kubków po szczypcie pachnących wiórków i zalał je. Przed każdym postawił kubek i zadowolony usiadł.

Rokicki też zrobił sobie przerwę od czytania. Byli ciekawi, co ma im do przekazania lekarz. Ten otworzył teczkę i przeczytał jedno zdanie: „(...) moja najdro (...), a (...) czekał (...) cię pierwszy raz (...) gdy (...)”.

– Tylko tyle? – w głosie komisarza słychać było zawód.

– Ależ panie komisarzu, przynajmniej wiemy, że jeden z nieboszczyków napisał list do kobiety. To też dużo. Chciał się z nią spotkać. Nie wysłał, nie zdążył. Jakoś nie przypuszczam, żeby ten list napisał Siersza-Janicki, bardziej ten drugi – podsumował aspirant Rokicki.

– On ma rację – poparł Rokickiego doktor. – Macie przynajmniej nowy ślad. Szukajcie kobiety, tak jak w kryminałach. *Cherchez la femme*, jak mawiał nieodżałowany Józef Fouché.

– Doktor poczuł ciężar zmęczonego wzroku aspiranta i zauroczonego stażysty. Zmieszał się, nie miał zamiaru popisywać się swoją kiepską francuszczyzną, samo mu się wypsnęło. Chcąc odwrócić uwagę, powiedział: – Nie spodziewałem się, że tak mi przypadnie do gustu zielona herbata. Smaczna, gdzie kupiliście?

– Mamusia kupiła w takim specjalistycznym sklepie, coś jak... – Buciak zastanowił się, marszcząc czoło. – Już wiem! „Koneser”, taka krótka nazwa. Odchudzam się, to wziąłem do pracy – wyjaśnił.

– Słusznie, ja też powinienem. – Jastrząbek poklepał się po wystającym brzuchu i z wysiłkiem wstał z przepastnego fotela. – To na razie wam zostawiam. – Położył teczkę na biurko.

– Dziękuję ci, powinno nam się przydać. – Komisarz wcale nie był zadowolony. I co z tego, że nieboszczyk pisał do kobiety. Niejeden pisał, niejeden napisze. Zero konkretów.

Gdy Jastrząbek wyszedł, komisarz jeszcze przez kilka minut siedział przy biurku i sączył przez zęby zieloną herbatę. Wyjątkowo mu nie smakowała, ale nie chciał ranić uczuć Bućka. Myślał intensywnie.

– Jednak nie. My to wszystko od początku robimy nieprawidłowo!

– Jak to, panie komisarzu?

– No tak... Zbierzcie te wszystkie nieprzeczytane akta, o, proszę, połóżcie tutaj – komisarz wskazał ręką swoje biurko. – Teraz dzielimy te akta na równe części i każdy zabiera się do pracy. Nad czym się zastanawiacie? – Komisarz poczuł zniecierpliwienie.

– Bo już tyle zrobione – zaprotestował Rokicki.

– I bardzo dobrze, że zrobione, ale od dzisiaj pracujemy innym trybem. Od kilku dni ślęczymy bezmyślnie, czytamy wszystkie stare sprawy od A do Z. W jakim celu, pytam się was. Teraz zaczniemy od pobieżnego przejrzenia i wstępnej klasyfikacji teczek do przeczytania. Myśląc logicznie, skoro Siersza-Janicki został pochowany dziewiątego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, to my musimy w tych teczkach szukać spraw, zdarzeń, które miały miejsce po dziewiątym kwietnia dziewięćdziesiątego pierwszego. – Widząc nieco zbaraniałe miny podwładnych, komisarz wyjaśnił: – Nie wierzę, że ktoś już leżał w grobowcu, gdy chowano Sierszę-Janickiego. Pomyślcie... W jaki sposób? Luzem? Bez trumny i na bosaka? Jakoś mi to wszystko nie pasuje. I nikt nie zareagował na widok niespodziewanych zwłok, nie podniósł alarmu? Nie powiedział komuś o tym, co widział? Oświęcim to nie metropolia, tylko małe miasto, rozeszłoby się.

– Czyli dzielimy datami? – upewnił się aspirant Rokicki.

– Tak datami. Osoby, które zaginęły, i zdarzenia, jakie miały miejsce maksymalnie do

tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Zobaczymy, co nam wyjdzie. Jak sobie pracy nie usprawimy, to spędzimy kolejny tydzień na czytaniu dokumentów. Musimy się szybko uporać z wyjaśnieniem tej sprawy, już mi ostatnio komendant wspominał, że marnujemy pieniądze podatników i cenny czas, a tu sprawa za sprawą, koledzy muszą sobie sami radzić. Jednym słowem, potrzebne nam są efekty. Wtedy będą z nas dumni, a jak nie wyjaśnimy tego, to komendant obetnie nam premię do zera za brak efektywności. – Komisarz postanowił być brutalny.

W pokoju zapadła ciężka cisza, taka jak zawsze, gdy mówi się o pieniądzach. Pierwszy otrząsnął się stażysta. To, że komendant groził, nie oznaczało, że groźbę wykona. Na razie jeszcze nic im nie zabrali.

– Panie komisarzu, przecież wyjaśnimy tę sprawę, wszystkie sprawy pan wyjaśniał. Co za różnica, stara sprawa czy nowa? Na pewno zaraz znajdziemy, o co chodzi w tym wszystkim, i ruszymy. – Wiara stażysty Bućka w możliwości komisarza była niewzruszona i rozczulająca.

– Czyli raz dwa, czytamy, znajdujemy i działamy.

* * *

Wincenty Szumiejko wracał do domu bardzo zadowolony. Co za uroczne spotkanie! Nadal widział wpatrzone w siebie zielone oczy Amelii. Taka była zainteresowana tym, co jej opowiadał. Widocznie Lidek zbyt dużo jej nie mówił o podwójnym nieboszczyku. To i dobrze, przynajmniej mógł zaimponować kobiecie. Aspirant Maciejak w czasie spaceru nie odzywał się zbyt wiele, chociaż Amelia także jemu nie szczędziła pytań. Wszystko ją interesowało, nawet to, co znaleziono przy nieboszczykach, w jakim stanie byli, jak wyglądało ich odkrycie.

Widać było, że aspirant nie ma ochoty odpowiadać na liczne pytania, niemniej jednak nie wypadało nie odpowiadać w ogóle. Pooglądali sobie grobowiec, sprawdzili zamknięcie kraty i spacerkiem poszli z powrotem do wyjścia. Z daleka widzieli wycieczkę, nadal skupioną przy obeliskach, nawet Wincenty chciał tam podejść, pokazać Amelii miejsce, ale wyglądała na niezainteresowaną propozycją. Poczuł się przez moment niezręcznie i nie nalegał. W sumie był bardzo zadowolony z siebie. Nie dość, że zaimponował pięknej kobiecie, to jeszcze osiągnął swoje. Tak go męczył ten grobowiec. Jeżeli już wziął pieniądze, zobowiązał się w imieniu swoim i syna do przeprowadzenia remontu, to głupio byłoby się wycofywać. Poza tym jak, skoro to zleceniodawca się z nim kontaktował. Wincenty nie miał nic, ani numeru telefonu, ani imienia i nazwiska, nie mówiąc o adresie. Tak jakoś to dziwnie

wyszło. Teraz za zgodą policji przeprowadzi wszystkie zaplanowane prace i będzie spokojnie czekał, aż ci ludzie się do niego zgłoszą. Zielony labrador powinni przysłać w przyszłym tygodniu. Jak skończą z tym rozkopanym grobem, to zaczną Sierszę-Janickiego. A swoją drogą ciekawe, kim był dla zmarłego ten sympatyczny pan. Czyżby naprawdę rodzina?

Teraz obiad, potem lekka drzemka i do pracy.

* * *

Aspirant Maciejak jechał z cmentarza do komendy głęboko zamyślony. Nic mu w obejrzanym niedawno zdarzeniu nie pasowało. Sebastian Kloc, chociaż alkoholik, cieszył się sympatią oświęcimskich policjantów. Poza tym widać było jak na dłoni, że ktoś chce go zdyskredytować. A takie postępowanie nie mogło się podobać uczciwemu aż do bólu Maciejakowi. Wprawdzie Klocowi nic się nie stało, uraz był niezbyt duży, a ogłuszenie bardziej wynikało z zaskoczenia niż z siły zadanego ciosu, niemniej jednak sprawę należało wyjaśnić. I jeszcze to jego mamrotanie, że widział ducha. Mógł sobie być Kloc poetą i to z lekka nawiedzonym, ale przecież wobec tak licznie zgromadzonej publiczności nie kompromitowałyby się dobrowolnie i bez powodu. Nie, nie, wrażenie musiało być zbyt silne. Powinien był z nim porozmawiać. Omal nie zawrócił samochodu w miejscu, ale był już zbyt blisko komendy. Poza tym pomyślał, że wobec tak licznych gremium z Kłoca nic nie wydobędzie. Trzeba porozmawiać delikatnie i na osobności.

Aspirant zostawił samochód na parkingu dla aut służbowych, pikiął centralnym zamkiem – wprawdzie mieli ogrodzenie, ale pewności nigdy za wiele – i pokonując po dwa schody naraz, wszedł do budynku. Wewnątrz było chłodno i ciemnowo, rozglądając się wokół, zauważył przy okienku dyżurnego jakąś znajomą sobie z widzenia kobietę. Podszedł bliżej – nie mylił się.

– Dzień dobry, pani Krancowa, co panią do nas sprowadza? – zapytał grzecznie.

Zaskoczona kobieta odwróciła się w jego kierunku i uśmiechnęła się z ulgą.

– Jak to dobrze, że pana widzę, właśnie pan dyżurny tłumaczył mi, że mam przyjść później, bo pana nie ma, a tu widzę, że pan jest – odpowiedziała uszczypliwie.

– A jestem, jestem, właśnie wróciłem, kolega prawdę mówił – wytłumaczył aspirant. Nie silił się na złośliwości, ciekawy, w jakiej sprawie chce się z nim widzieć pani Emelina Krancowa. – Jeżeli pani do mnie, to już kolega wypisze przepustkę i sobie spokojnie porozmawiamy.

– Ano dobrze, po to przyszłam.

Dyżurny szybko wystawił przepustkę, sam zainteresowany, o jakiej to sprawie chce

rozmawiać z aspirantem Maciejakiem ta elegancka, ale mocno już starsza pani. Gdy w końcu, pokonując liczne schody, doszli do pokoju, aspirant szarmancko otworzył przed interesantką drzwi, przepuścił ją przodem i zastygł za nią w bezruchu. No tego nie mógł przewidzieć. Cała do tej pory wolna powierzchnia była założona teczkami. Pootwierane, ze stronicami żółtymi od przyklejanych karteczek, robiły wrażenie potężnego rozgardiaszu. W tym wszystkim trudno by było znaleźć skrawek wolnego miejsca, nie mówiąc o spokojnym prowadzeniu rozmowy. Aspirant zdecydował się od razu.

– Pani Emelino, pani pozwoli, przejdziemy do pokoju obok.

Komisarz kątem oka zanotował obecność w pokoju jakiejś kompletnie sobie nieznanej kobiety i powrót do pracy aspiranta Maciejaka. Całe szczęście, oni już powoli zaczęli gonić w piętę. Do końca dnia pracy pozostało przejrzanie jeszcze kilku teczek. Komisarz znał prawo Murphy’ego, a na dodatek wiedział z własnego doświadczenia, że interesujące ich materiały, jeżeli będą, to zapewne dopiero w ostatniej tezcze.

Aspirant z panią Emeliną przeszli do pokoju konferencyjnego i usiedli przy długim, mocno błyszczącym od ciągłego polerowania stole. Maciejak sięgnął po kubeczki i wodę mineralną. Nalał. Rozłożył papierowe serwetki i na nich postawił przezroczyste, mieniące się na niebiesko kubki. Pani Emelina automatycznie sięgnęła po naczynie i wypła. Woda była zimna, gazowana, orzeźwiająca. Postawiła ją momentalnie na nogi. Cóż, skoro zdecydowała się na rozmowę z tym miłym policjantem, to teraz nie ma co udawać, że przysłała z wizytą towarzyską. Może to, co chce mu powiedzieć, pomoże tym chłopcom w pracy i w wyjaśnieniu tej niemiłej sprawy. Otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej chusteczkę higieniczną. Obtarła pomarszczone, pociągnięte różową pomadką usta i westchnęła.

– Nie wiem, czy dobrze robię, ale skoro przyszałam, to powiem panu wszystko to, co wiem. Do tej pory nie widziałam powodu, żeby mieszać policję w moje sprawy, ale doszłam do wniosku, że moje informacje pomogą wam w wyjaśnieniu, skąd w grobie Aleksandra wziął się ten drugi nieboszczyk. Proszę pana, to ja wyprawiałam pogrzeb Aleksandrowi. Wszystko miało się odbyć po cichu i skromnie, bez pompy. Aleksander sobie nie życzył. Tak prawdę mówiąc, zdziwaczał na stare lata. Wszystko po cichu i w tajemnicy. Inaczej sprawa by wyglądała, gdyby Antoni był wtedy w pracy. O, ten by nie odpuścił, pogrzeb musiałby być porządny, a tak poszłam do księdza Leona z aktem zgonu, załatwiłam sprawę, przyszedł, pomodlił się i tyle. Przesunęliśmy płytę na prowadnicy, taka z lastryka zrobiona była, zamknęliśmy kratę i Aleksander został pochowany tak, jak chciał. Wiedział, że może mi zaufać, poza tym byłam jedyną osobą, która przez te wszystkie lata utrzymywała z nim bliższe kontakty. Przyjaźniliśmy się, ufaliśmy sobie i dlatego, jeśli można, prosiłabym o

dyskrecję, żeby od razu pół miasta się nie dowiedziało, bo zaczną wygadywać jakieś bzdury i obmawiać mnie za plecami. – Pani Emelina westchnęła głęboko, jak po zrzuceniu ciężaru z pleców, i wypila kilka łyków wody. Poprawiła się w niezbyt wygodnym fotelu i wbiła badawczy wzrok w zamyślonego aspiranta. – Rozumie pan, panie aspirancie, chodzi mi o dyskrecję – powtórzyła z naciskiem.

– Tak, tak, ma pani rację, absolutna dyskrecja – przytaknął, nadal pogrążony w myślach Maciejak. Usiłował sobie wyobrazić, jak to było, jak przebiegał ten pogrzeb. – Z tego, co pani mówi, wynika, że w momencie pochówku pana Sierszy-Janickiego grobowiec był pusty – podsumował. – Niech mi pani powie, kto tak naprawdę wiedział o śmierci pana Aleksandra. Kto wiedział, że w tym grobie jest już ktoś pochowany? Ten brak napisu, taka ekstrawagancja... Niech się pani zastanowi – poprosił.

– Kto wiedział? – Pani Emelina położyła na stole lewą rękę i odgięła kciuk. – Na pewno wiedziałam ja, potem – odgięła palec wskazujący – potem ksiądz Leon, tak jak mówiłam, to on chował Aleksandra, zresztą znali się od lat – dodała. – Oprócz nas... Cóż... Lekarz, który wypisał akt zgonu. Spotkałam go na następny dzień. O ile pamiętam, pytał, kiedy będzie pogrzeb i gdzie. Wprawdzie nie przypominam sobie, żebym go widziała na cmentarzu, ale mógł stać gdzieś z tyłu. No to by były trzy osoby – odgięła palec środkowy i przeszła do serdecznego: – Byłabym zapomniała, przecież jeszcze ten człowiek, który zastępował Antoniego! On miał pomocnika, takiego młodego mężczyznę. To oni otwierali grób, sprząтали i wkładali tam trumnę i kwiaty, wiązanę z kalii. Wprawdzie Aleksander nie życzył sobie, ale przecież nie mogłam tak tego zostawić, jakby na biedaka trafiło. On przecież miał pieniądze i to niemałe! – powiedziała z pewnym zdziwieniem. – Niech pan patrzy, ja dopiero zdaję sobie sprawę z tego, jakim Aleksander był dziwakiem. Jak tak podsumuję, to dopiero teraz bardziej widzę wszystkie jego dziwactwa, manie, słabości i uprzedzenia. Ale nie ma co do tego wracać, w końcu nie żyje od ponad dwudziestu lat. – Pani Emelina znowu sięgnęła po chusteczkę higieniczną i dyskretnie osuszyła pojawiające się w oczach łzy.

Aspirant zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób zadać pani Emelinie bardzo niewygodne pytanie. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli zapyta prosto z mostu.

– Pani Emelino, może pani wie, kto dziedziczył majątek po Aleksandrze Siersza-Janickim?

– Ja.

– Pani?

– No tak, Aleksander wszystko zapisał mnie – odpowiedziała spokojnie.

– Nie miał rodziny?

– Nie miał. Był jedynakiem, jego rodzice zmarli, gdy był bardzo młodym człowiekiem, nie miał żadnej bliskiej rodziny. Być może istniała jakaś dalsza, ale ja nic na ten temat nie wiem.

– To znaczy, że był testament?

– Ależ oczywiście!

– A czy pani ma jeszcze ten dokument?

– Naturalnie, jest u mnie w domu, w biurku, to ten, który dostałam od Aleksandra, drugi egzemplarz, razem z moim testamentem, jest złożony u naszego notariusza – wyjaśniła dokładnie pani Emelina.

– I nie była pani zdziwiona, gdy pani usłyszała, że ktoś z rodziny Sierszy-Janickiego przyszedł do pana Szumiejki z testamentem i zażądał wyremontowania grobowca?

– Byłam bardzo zdziwiona, dlatego zdecydowałam się przyjść do pana. Ja całą sprawę trzymałam w tajemnicy, więc nie mogłam nagle Antoniemu i Wincentemu powiedzieć, że wiem, kto jest pochowany w tym grobie, zwłaszcza że moja pewność dotyczyła tylko jednej osoby. Poza tym... – skrzywiła się – oni go nie znali, tyle co Wincenty pamiętał, że na jego zlecenie robił grób. Potem nie wiedzieli, co się działo, a ja nie miałam ochoty im wszystkiego opowiadać i byłabym zobowiązana, gdyby pan też się przed nimi nie zdradził. Rozumie pan – uśmiechnęła się smutno – czasami lepiej wiedzieć mniej i żyć w nieświadomości. W wielu wypadkach tak zdrowiej, no ale wy macie taką pracę, musicie wiedzieć. To wszystko. Testament oczywiście mogę panu pokazać. Prawdę mówiąc, sama jestem ciekawa, kim był ten mężczyzna podający się za krewnego Aleksandra. – Zaczęła powoli podnosić się z miejsca. – Może ja po prostu wszystkiego nie wiem? Może mi Aleksander nie powiedział? – Pokręciła głową. – Czy jeszcze coś by pan chciał wiedzieć? Może ja nie kojarzę?

– Tak. – Aspirant ożywił się. – Jeszcze jednego nie możemy zrozumieć. W trumnie podobno była tylko jedna para butów. A przynajmniej jedna para butów została odnaleziona i przekazana policji. Nie mamy podstaw, by nie wierzyć panu Wincentemu i jego współpracownikom. Czy pani pamięta, jakie buty miał na sobie nieboszczyk Aleksander? Czy mogły to być brązowe skórzane sandały? Akurat takie buty się zachowały, o dziwo, w bardzo dobrym stanie. Co jakoś to jakoś, a nie ta chińszczyzna, co nas zalewa – ocenił policjant.

– Ma pan rację. Na co się nie popatrzy, to Made in China, ale wracając do sandałów... Tak, to mogły być sandały Aleksandra, miał taką jedną parę ulubionych, eksportowy Chełmek. To były buty najwyższej jakości, poza tym bardzo wygodne. Miał je od paru lat, lubił je bardzo. Musiałabym te sandały zobaczyć, ale tak na dziewięćdziesiąt pięć procent jestem pewna, że miał je ubrane. Proszę pana, na ostatnią drogę człowiek powinien zabrać ze

sobą to, co lubi, a nie to, co zbyteczne i się nie przyda spadkobiercom. – Skrzywiła się z goryczą. – Teraz mamy wszystko takie papierowe, że niby na tamten świat niepotrzebne, ale ja już sobie w szafie przygotowałam elegancki kostium, buty i torebkę. Nie zamierzam wyglądać byle jak przed panem Bogiem! Czy jeszcze mogłabym w czymś panu pomóc?

– Nie, dziękuję pani. Na razie musimy sobie to wszystko poukładać, poskładać tę naszą łamigłówkę. – Aspirant uśmiechnął się ciepło do pani Emeliny i też wstał. – Bardzo, ale to bardzo dziękuję, że zechciała się pani pofatygować. Jestem pani zobowiązany – szczerze starał się wyrazić swoją wdzięczność.

– Jeżeli chciałby pan porozmawiać ze mną, to proszę przyjść, może jeszcze w czymś będę panu w stanie pomóc.

Aspirant chciałby, aby wszyscy ludzie byli tacy życzliwi jak pani Emelina. Jednak pierwsze wrażenie nie myliło go, była bardzo podobna do jego babci. Dyskrecja, życzliwość, chęć niesienia pomocy, oczywiście wszystko w granicach rozsądku. Trudno było nie polubić starszej pani. Teraz też z przyjemnością rozmawiając na obojętne tematy – wyjątkowo ładna pogoda, mało burzowych dni – odprowadził ją do samego wyjścia. Postąpił, poczekał, aż zejdzie ze schodów, dopiero potem odwrócił się i powędrował do kolegów.

* * *

Komisarz czytał i własnym oczom nie wierzył. Warto było przedrzeć się przez te sterty zakurzonego papieru, aby dokopać się do tak sensacyjnej historii. A już zdążył stracić nadzieję, że w tych aktach znajdzie wyjaśnienie tej jakże zawiłanej sprawy. O ile – powoli, zbyt powoli – wyjaśniały się kwestie związane z grobem i Aleksandrem Sierszą-Janickim, o tyle drugi nieboszczyk nadal pozostawał niezidentyfikowany. Trzeba to było zmienić i to jak najszybciej. Teraz podniecony gorączkowo przerzucał strony i dziwił się, że nikt mu wcześniej o tej historii nie opowiadał. Wprawdzie akurat w tym czasie były zmiany w policji, rok wcześniej – milicji, ale tak sensacyjne zdarzenie w skali małego miasta powinno wryć się w pamięć pracowników komendy. Podejrzał, że specjalnie całe zdarzenie poszło w zapomnienie. Porażka policji była poważna. Sprawców nigdy nie odnaleziono, śledztwo szybko zostało zamknięte i odłożone ad acta.

To była naprawdę dziwna, nietypowa sprawa. Musieli teraz wyjaśnić, co czy też kto się za nią krył. Komisarz już na wstępie przeczuwał, że czekają go problemy. Często wyciąganie na światło dzienne głęboko ukrytych prawd, spraw, o których wszyscy zapomnieli, jest niezdrowe dla kariery, a nawet niebezpieczne. Komisarz, nic nie mówiąc podwładnym, otworzył jeszcze raz skoroszyt i zaczął powtórnie czytać wpięte dokumenty.

Było ich tak niewiele. Wahał się. Miał przed sobą twardy orzech do zgryzienia, wybór pomiędzy lojalnością w stosunku do kolegi a poszukiwaniem prawdy. Tylko czy prawda wydobyta na światło dzienne za wszelką cenę wyjdzie komukolwiek na dobre? Miał obawy, że nie.

Czekał niecierpliwie na powrót Zygmunta. Chciał, aby wszyscy razem przeanalizowali dokładnie te akta i zastanowili się wspólnie, w jaki sposób powinni postąpić. Jak działać, od czego zacząć, by nic nie przeoczyć. Jeden niewielki błąd mógł ich wiele kosztować – łącznie z konsekwencjami służbowymi. Powoli zaczął składać w schludny stosik pozostałe na stole teczki. Zwróciło to uwagę aspiranta Rokickiego i stażysty Bućka. Obaj podnieśli oczy znad niewyraźnie zapisanych stron i popatrzyli na niego z nadzieją.

– Panie komisarzu, no to jesteśmy w domu, widzę, że pan coś znalazł – aspirant Rokicki nie silił się na dyplomację.

– Tak, zgadza się. Myślę, że znalazłem sprawę, która idealnie pasuje i do dat, i do okoliczności, tylko... – Komisarz nie zdążył dokończyć, gdy w drzwiach pojawiła się sylwetka aspiranta Maciejaka. – O! Dobrze, że jesteś – ucieszył się. – Krzysiek, zaparz nam kawę, tylko proszę, bez żadnych udziwnień, a ty siadaj. Mamy sprawę i możemy w końcu wziąć się do pracy.

– To dobrze, ja też mam dla was coś nowego. Ta kobieta, z którą wszedłem, to była pani Krancowa. Pamiętasz? – Maciejak zwrócił się do stażysty. Ten skinął potwierdzająco głową. – To właśnie pani Krancowa wyjaśniła mi zawiłości związane z pochowaniem Aleksandra Sierszy-Janickiego. Sandały należały do niego. Także dzięki niej wiem, że nie miał bliższej rodziny i żadne rodzeństwo nie wchodzi w grę. Trzeba sprawdzić dalszą rodzinę. Musimy też sprawdzić nazwisko lekarza wypisującego akt zgonu. Pytał o datę pogrzebu, być może nawet na nim był. Mógł komuś powiedzieć o śmierci Janickiego. Powinniśmy także odnaleźć zastępcę pana Antoniego i tego młodego człowieka, który mu wtedy pomagał. To oni są najbardziej podejrzani. Wiedzieli, jak otworzyć grobowiec, wiedzieli, kiedy odbył się pogrzeb, tego drugiego nieboszczyka musieli dołożyć w ciągu dwóch tygodni. Potem wrócił pan Antoni, a tamci zniknęli... – Aspirant urwał na widok miny komisarza. – Czy powiedziałem coś dziwnego?

Nawet Buciek zatrzymał się w pół drogi do biurka z dwoma kubkami kawy w rękach.

Narosłe napięcie przerwał aspirant Maciejak, wyciągając rękę po parujący kubek.

– Krzysiek, co tak zamarłeś? Dawaj tę kawę! Od rana mi się chce dobrej kawy, a tu nic tylko na okrągło mineralna.

– Właśnie, postaw tutaj, zaparz także dla siebie i dla Jurka. Siadajcie przy moim

biurku, będziemy się naradzać – zadysponował komisarz, upijając pierwszy łyk aromatycznego napoju. – Ożeż ty! – Aż się chwycił za gardło. – Gorące!

– A jakie ma być? Wrzątkiem zalewałem.

Komisarz przez chwilę łapał oddech i czekał, aż wszyscy usadowią się wygodnie.

– Zaczynamy panowie.

– Tak jest, panie komisarzu – wszyscy zameldowali gotowość.

– Informacje, jakie uzyskał aspirant, są bardzo cenne, rzucają nowe światło na naszą sprawę, a jednocześnie skłaniają mnie do przypuszczeń, że sprawa, którą wam przedstawię, jest tą właściwą. Posłuchajcie... W nocy z jedenastego na dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, to jest z czwartku na piątek, miało miejsce włamanie do sklepu. W zasadzie – komisarz zastanowił się – to było już nad ranem dwunastego.

– Gdzie?

– Do sklepu jubilerskiego, wyobrażacie sobie?

– Którego?

– Którego? Tu jest problem, wszystko wskazuje na to, że tego sklepu już nie ma. Został zlikwidowany. W jego miejsce powstał sklep całkiem innej branży. Oczywiście, o ile ja to wszystko prawidłowo kojarzę, bo musimy jeszcze sprawdzić w terenie. Wyczytałem w aktach, że ten sklep powstał rok przed włamaniem, był doskonale zaopatrzony, największy w mieście. Z akt wynika również, że nie był to pierwszy przypadek zadziałania na szkodę sklepu. Dwa miesiące wcześniej ktoś rozbił szybę i ukraść parę drobiazgów z wystawy. Trudno te dwa zdarzenia łączyć, ale nigdy nie wiadomo. Natomiast po przeczytaniu całości nasuwa mi się przypuszczenie, że drugi nieboszczyk może być ofiarą kuli, która została wystrzelona w celach ostrzegawczych za oddalającymi się włamywaczami.

– To oznacza, że ktoś strzelał? – zapytał niespokojnie aspirant Rokicki. – Czyżby porachunki gangsterskie?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Za sprawcami wystrzelił dzielnicowy Dariusz Białek. Tutaj mamy relację z miejsca zdarzenia, mam nadzieję, że dość ścisłą. Gdybyśmy zdołali wyjaśnić tę sprawę, to byłby sukces. Zaraz wam wszystko po kolei przeczytam, tylko gdzie ja je położyłem? – Komisarz zaczął nerwowo przerzucać papiery.

– Czego pan szuka, przecież te akta tutaj leżą, o! Przed panem.

– A nie, nie, akta to wiem, ale dzisiaj odebrałem od optyka okulary do czytania, wzrok mi się psuje, czytałem bez, ale jednak muszę spróbować w okularach. Bardzo mnie oczy bołą.
– Komisarz westchnął. Wiedział, że bojące oczy to konsekwencja czytania książek przy

lampce nocnej do późnej nocy, ale jak tu nie czytać? – Całkiem niedawno położyłem je na biurku. – Komisarz zamaszystym ruchem przełożył część papierów. – A to już niepotrzebne. Jurek położył je na krześle, nie, nie na tym, lepiej na tamtym pod ścianą.

Rokicki wziął górę papierów, ale nie zdążył ich jeszcze przenieść, gdy usłyszeli głuchy stukot. To etui na okulary wysunęło się ze sterty i spadło na podłogę.

– Jak to dobrze – w głosie komisarza słychać było ulgę. – Krzysiek, podaj mi etui, proszę cię.

Stażysta już się schylał.

– Tak się bałem, że zaczynam mieć sklerozę i nie pamiętam, gdzie co położyłem, a one tylko się schowały.

Komisarz włożył eleganckie okulary i zaczął się rozglądać.

– I jak wyglądam?

– Bardzo twarzowe.

– Tak właśnie myślałem, aspirancie, mamy wszystko na swoim miejscu. Możemy zaczynać.

* * *

Początek kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku był raczej chłodny. Policjanci, jeżeli tylko mogli, to siedzieli w ciepłych murach komendy miejskiej. Oszczędzali benzynę do steranych czasem nysek i własne zdrowie. Nikt nie wrywał się bez powodu do patrolowania miasta. Tylko dzielnicowego Białka nosiło tam i z powrotem. Nikt się temu nie dziwił.

Dzielnicowy Białek miał wyjątkowo trudną sytuację rodzinną. Dopiero niedawno koledzy byli na jego ślubie i bawili się na hucznym weselu, a tu taki dramat! Jeszcze nie zdążyli się z żoną nacieszyć swoim szczęściem, gdy w trzecim roku małżeństwa Małgosia Białkowa poważnie zachorowała. Od dzieciństwa miała poważne problemy z sercem, wada wrodzona jej się przytrafiła. Coraz słabsza, nie była w stanie pracować ani prowadzić domu, bo najmniejszy wysiłek pogłębiał jej już i tak zły stan. Ze względu na różnego rodzaju alergie i astmę żony Białek musiał w domu utrzymywać sterylną czystość. Starał się, jak mógł, by sprostać obowiązkowi. Gdy wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, Małgosia znalazła się w szpitalu. Lekarze stwierdzili rozległy zawał. Ta informacja stanowiła dla młodych małżonków totalne zaskoczenie i sprawiła, że musieli ułożyć sobie życie od nowa. Dla bezpieczeństwa Małgosi przeprowadzili się do jej rodziców. On pracował, a ona nie mogła zostawać sama w domu. Darek zdawał sobie sprawę z zagrożenia, lekarze uprzedzali

go, że w każdej chwili może przyjść drugi zawał, a serce Małgosi określali jako „wiszące na włosku”. Zaczęły się problemy, z którymi ten do tej pory odporny psychicznie i silny mężczyzna nie umiał sobie poradzić, zwłaszcza że żona zaczęła się tak zachowywać, jakby za chwilę miała umrzeć. Ani przez moment nie wierzyła, że będzie lepiej i że nastąpi poprawa jej zdrowia. Nic dziwnego, że zamiast siedzieć w domu i pielęgnować małżonkę, brał dyżur za dyżurem i pracowicie objeżdżał miasto. Nie potrafił z nią być, patrzeć jak się męczy, słuchać ciągłych narzekań. Życie zmieniło mu się w koszmar. Nie potrafił rozmawiać z nią wesołym tonem, tłumaczyć jak dziecku, że wszystko będzie dobrze. Wiedział, że nie będzie, wiedział, że nie zdał egzaminu na dobrego męża, ale po prostu nie był w stanie. Nauczył się żyć z permanentnym poczuciem winy.

Darek nie lubił siedzieć i grzać się w pracy. Od rana, gdy tylko przyjechał do komendy, siadał za biurkiem, pił szybką kawę i przeglądał meldunki z dzielnicy. Potem wychodził z komendy na krótki obchód, natomiast wieczorne patrole przeciągały się na wiele godzin.

Tak samo było jedenastego. Białek znowu pracował od rana. Wcale nie musiał tak wcześnie przychodzić, ale jak zawsze wolał wyrwać się z domu. Zgodnie z grafiką miał dyżur popołudniowy i dopiero wtedy rozpoczynał służbę. Miał zamiar patrolować ulice Starego Miasta. Coraz częściej dochodziły do niego pogłoski o mających tam miejsce napadach, pobiciach i wymuszeniach. Odnosił wrażenie, że Stare Miasto upodobała sobie jakaś nowa banda. Białek zastanawiał się, kto ostatnio wyszedł z więzienia. Podejrzewał, że to jakiś stary wyga organizuje nową grupę. Wprawdzie na razie wszystkie zdarzenia wyglądały na drobnicę, ale ziarnko do ziarnka... Postanowił spędzić noc na patrolowaniu.

Jeździł razem z kierowcą Edkiem. Dobrze im się razem pracowało. Dzielnicowy nie miał ochoty na czcze rozmowy, sportem się nie interesował, polityką jeszcze mniej. Jedyne co lubił, to czytać książki. Zawsze gdzieś tam na siedzeniu czy w schowku miał położony kryminał. Z Edkiem nie trzeba było rozmawiać. Burkliwy i milkliwy, był najszcześliwszy, gdy nikt mu głowy nie zawracał. Często gdy tak razem jeździli, a potem stali i obserwowali, Edek przysypiał. Wciąż bywał zmęczony. W czasie wolnym musiał obrobić duże gospodarstwo rolne, należące jeszcze do rodziców. Z pracy za nic nie chciał zrezygnować, odliczając lata do upragnionej emerytury. I tak sobie prosperowali razem, objeżdżając miasto w idealnej zgodzie.

Taki też zapowiadał się wieczór jedenastego kwietnia. Robiło się coraz chłodniej, temperatura z nadejściem wieczoru szybko spadała. Przydział benzyny zaczynał im się już wyczerpywać, ale co to za patrol bez samochodu. Zwłaszcza patrol nocny.

Było już bardzo ciemno, gdy wyprowadzili nyskę z za budynku komendy i wyjechali na Jagiełły. Zawsze wkurzali się, że muszą wyjeżdżać na ulicę jednokierunkową. Same utrudnienia. Wprawdzie wieczorem, kto tam zwracał uwagę, ale jednak. Trzeba było objechać parę ulic, by dostać się do serca Starego Miasta. Pojechali prosto, potem w Zaborską i nawrócili. Przy ogrodniczym, jak zawsze, nyska zawyła i na moment przystanęła – musieli podjechać na ręcznym. Potem to już prosto jak strzełił w Sienkiewicza. Jechali wolno, obserwując, co się wokół dzieje. Wiało pustkami, sklepowe neony i wątko świecące latarnie rozpraszały ciemności. Tylko gdzieś tam mignęła im wytrwale spacerująca parka albo jakiś mniej lub bardziej podchmielony osobnik. Dzielnicowy nie reagował, nie na takie ptaszki polował. On zwracał uwagę na sklepy z ciemnymi wystawami, samotne kobiety czy przemykających po moście małolatów. Nie było jeszcze bardzo późno, ale małolaty zdecydowanie powinny już być w domach.

Objechali całą Dąbrowskiego, po czym Edek skierował się w stronę Rynku. Nawet nie musiał pytać, dokąd mają jechać – znał na pamięć całą trasę Białka. Planowali ustawić samochód przy Salezjanach, bokiem do drogi. Było tam dość zaciszenie, a całe mnóstwo okolicznych sklepików kusilo do włamania. Powoli późny wieczór przechodził w noc. Edek co jakiś czas włączał silnik rżężącej nyski, by przegrzać w środku – zaczęli coraz mocniej odczuwać zimno. Momentami przysypiali, wtuleni w futrzane kołnierze służbowych kurtek. Było zadziwiająco spokojnie, nie działo się nic nietypowego.

Było dobrze po trzeciej nad ranem, gdy jakiś odgłos zbudził odrętwiałego z zimna dzielnicowego. Policjant popatrzył dookoła zamglonym jeszcze ze snu wzrokiem i sięgnął skostniałymi palcami do nie mniej skostniałej twarzy.

– Jezu, jaka lodownia – jęknął pod nosem.

Edek nie zareagował, chrapał na całego, furcząc przez nos.

– Hej, Edek, obudź się chłopie! – Białek szturchnął rozspanego kierowcę w bok.

– Co... co, czego chcesz?

– Wychodzę z samochodu, muszę rozprostować kości. Zbudź się, bo jakby się coś działo, to się nie ruszysz.

– A co się ma dziać? Ciemno choć oko wykol – zaprotestował Edek.

Nie chciało mu się nigdzie ruszać. Darek jak chce, to niech idzie – ten na miejscu nie usiedzi, ale on może spokojnie poczekać na powrót kolegi. Powoli zaczął rozprostowywać ramiona i masować skostniałe dłonie. W pierwszej kolejności chciał ogrzać wnętrze samochodu. Już sięgał, by przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy nagle poczuł, jak Białek chwycił go za rękę i szeptem:

– Zaczekaj chwilę...

– Jaką chwilę, zimno mi...

– Mnie też jest zimno, taka pogoda, taka pora, ty lepiej popatrz, czy mi się wydaje, czy naprawdę widzę ruch przy sklepie jubilera...

Edek wyteżył rozszpany wzrok. Przetarł zasnuwającą wilgotną mgłą szyby. Rzeczywiście, niedaleko majaczyły jakieś niezidentyfikowane sylwetki ludzkie.

– No rzeczywiście! – powiedział z podziwem. – Tak... to chyba ze dwie albo nawet trzy osoby. Co oni tam robią?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zaintrygowany Białek. – Ty tutaj siedź, czekaj, a jakby co, to wzywaj wsparcie przez radio – zarządził.

– O matko, jakie wsparcie?!

– Normalne. Gdybyś widział jakieś zamieszanie, że się robi gorąco, to dzwoń przez radio po chłopaków na komendę – wyjaśnił Białek i starając się jak najciszej otworzyć zdezelowane drzwi, wysiadł z samochodu. Natychmiast owiało go lodowato zimne powietrze, aż zakręciło mu się w nosie. Z wysiłkiem powstrzymał kichnięcie. Chwycił się za nos i chwilę potrzymał. Poskutkowało. Sprawdził, czy ma wetkniętą w kaburę broń i pałkę – nigdy nie wiadomo, z kim przyjdzie mu się spotkać. Starał się stąpać cicho, ciemna noc i brak latarni przy bocznej uliczce sprzyjały dyskrecji. Przez moment zastanawiał się, w jaki sposób udało mu się dostrzec tych ludzi. No tak, to latarnie przy Jagiełły i oświetlony od wewnątrz pawilon Tęcza dawały lepszą widoczność w tamtą stronę. Gdyby się coś działo od strony kościoła, to nie ma cudów, nie zobaczyłby nic. Rozbudzony, popatrzył jeszcze raz, sylwetki przy sklepie znikły, tylko w oddali widział cień kogoś przytulonego do odrapanego muru Ratusza.

Podszedł bliżej i zrozumiał, o co chodzi. Był świadkiem włamania do sklepu jubilerskiego. Jak oni zdołali, nie robiąc hałasu, wejść do środka? – zastanawiał się. Chyba że to dźwięk rozbijanej szyby go obudził. Na razie postanowił czatować na włamywaczy. Istniała nadzieja, że kiedyś wyjdą, a wtedy on ich złapie. Będzie ich miał na gorącym uczynku. Może mu premię dadzą albo nagrodę za zasługi w ściganiu przestępców. Przydałyby mu się dodatkowe pieniądze.

Przytulony do ściany kwaciarni czekał na ich kolejny ruch. Dookoła panowała otulona nocną mgłą cisza. Zniecierpliwiony obciągnął kurtkę i najostrożniej jak tylko potrafił, patrząc pod nogi, zszedł ze schodów. Powolutku, prawie na palcach zbliżał się w okolice jubilera. Ze zdziwieniem dostrzegł, że szyba wystawowa sklepu jest cała, nigdzie nie widział śladów jej wybicia czy jakiegokolwiek uszkodzenia. Ani jeden odłamek szkła nie zachrząścił mu pod butami.

Białek przez moment pożałował, że nie wziął ze sobą Edka, zawsze we dwójkę byłoby im różniej, a tak zanim Edek się zorientuje, zanim zadzwoni po wsparcie, to przestępcy dawno uciekną. Nagle doszły do niego niewyraźne szepty, włamywacze rozmawiali po cichu, stojąc na schodach wejściowych prowadzących do sklepu. Podszedł nieco bliżej, na tyle, że był w stanie zobaczyć, iż pod podniesioną na wysokość około jednego metra kratą przechodzi niski, dość korpulentny mężczyzna ubrany w czarną, zrobioną chyba z rajstop, kominiarkę. Mężczyzna miał też na sobie roboczą ciemną fufajkę i także spodnie. Na nogach białe adidas – w ciemnościach rzucały się w oczy. Poruszał się bezszelestnie, chociaż wyglądał dosyć śmiesznie.

Po chwili obok zmaterializował się jeszcze jeden złodziej. Wyższy, szczupły, wyglądał na dużo młodszego. Ubrany był podobnie, ale nie miał kominiarki. Włamywacze zeszli po schodach, nadal nie robiąc hałasu i nie zamykając kraty. Na widok schodzących ze swojej pozycji podniósł się młodzieniec, który pozostawał na czatach. Ich zachowanie wskazywało na to, że skok się udał i teraz szajka zmierza w stronę meliny policzyć łup. Z daleka widać było, że korpulentny mężczyzna coś niesie w ręku – wyglądało to na mały plecak.

Dzielnicowy obserwował ich jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, jaki sposób postępowania przyjąć. Nie zdążył się zdecydować, gdy włamywacze zaczęli się nerwowo rozglądać. Wyglądało na to, że wyczuli jego obecność.

– Szybko, zjeżdżamy stąd! – usłyszał Białek.

To spowodowało, że przestał się przejmować ewentualnymi konsekwencjami. Chodziło mu już tylko o jak najszybsze zatrzymanie złodziejskiej szajki.

Włamywacze nie czekali na to, co on zrobi, tylko rzucili się do ucieczki.

– Stać, policja! – krzyknął bezwiednie dzielnicowy, dopiero wtedy zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

Złodzieje, nie przejmując się zbytnio czynionym rumorem, biegli w stronę zaparkowanego przy pawilonie Tęcza samochodu, kremowego lub białego dużego fiata. Pierwszy do wozu dopadł najmłodszy mężczyzna, ten, który stał na czatach. Białek widział z daleka, jak szarpie się przez chwilę z drzwiczkami samochodu, po czym otwiera je i wsiada, jednocześnie zapalając silnik.

Jako drugi dobiegł do samochodu korpulentny włamywacz. Za nim, w odległości około trzech metrów, zamykając peleton, podążał ten młodszy i szczuplejszy.

Białkowi nieraz przyszło żałować tego, co zrobił, ale napięte do ostatnich granic nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Sięgnął po broń. Nawet przez ułamek sekundy nie pomyślał, że strzela do człowieka, że w końcu to tylko włamanie, a on może zabić. Chciał ich po prostu

zatrzymać. Chciał ich ująć na gorącym uczynku i mieć swój własny, osobisty sukces. Wszystko mu się w życiu waliło, więc chociaż to... Tak przynajmniej potem się tłumaczył z użycia broni. Zadział instynkt. Strzelił. Trudno.

Strzelił dwukrotnie w powietrze, nie celował do nikogo konkretnie, zasięg P-64 też był ograniczony – jemu wydawało się, że odległość między nim a złodziejami była większa niż trzydzieści metrów, ale pewny być nie mógł. Przeżył szok, gdy zobaczył, że jeden z włamywaczy, ten młodszy, chwieje się i osuwa na granitowe płyty Rynku, mniej więcej metr od stojącego i przygotowanego do natychmiastowego odjazdu samochodu. Przez zaskoczenie stracił kilkanaście cennych sekund. Wspólnik rannego włamywacza – ten starszy, w adidasach – momentalnie zawrócił, podbiegł do ślaniającego się kolegi i wziął go pod ramię. W międzyczasie z samochodu wyskoczył kierowca, otworzył tylne drzwi i pomógł grubemu wsadzić trafionego przez policjanta do środka. Korpulentny wsiadł obok, a ten najmłodszy momentalnie wskoczył za kierownicę i wystartował. To była jeszcze ta chwila, gdy Białek mógł zatrzymać całą grupę. Nie zrobił tego, pozwolił im odjechać razem z rannym mężczyzną i łupem nieokreślonej wysokości. Zapamiętał numery rejestracyjne wozu i twarz postrzelonego mężczyzny. Nigdy więcej żadnej z tamtych osób nie widział.

Raport z miejsca zdarzenia był zwięzły i logiczny. Kierowca Edek potwierdził wszystko to, co zeznał Białek.

Na pytanie, dlaczego nie wezwał wsparcia, tylko wbrew instrukcji zostawionej przez dzielnicowego Białka wysiadł z samochodu i zobaczywszy, co się dzieje, biegł za nim, kierowca w sposób jak najbardziej logiczny odpowiedział, że włamywaczy była tylko trójka, dwóch ze sklepu i jeden na świecy. Ich było dwóch, dzielnicowy miał broń. On, Edek, nie uważał, by jakiegokolwiek wsparcie było im potrzebne, jedyne co sobie później wyrzucał, to fakt, że nie pospieszył dzielnicowemu szybciej z pomocą. Ale najpierw się przyglądał – nie wyglądało to wszystko groźnie, potem, jak zauważył, że sprawcy zaczynają biec, wskoczył szybko z samochodu i rzucił się w pościg. Wprawdzie nie biegł zbyt szybko, bo był nienawykły do takich sprintów, ale się starał, pan dzielnicowy może potwierdzić.

Razem obserwowali odjeżdżający spod Tęczy samochód. Była godzina czwarta nad ranem, ciemno. Nikt nie zareagował na strzelaninę, nikt nawet nie otworzył okna. Wprawdzie Edek miał wrażenie, że w oknie nad Domem Chłopa mignęła mu jakaś twarz, ale nie mógł tego przysiąc. Policjanci byli skoncentrowani na włamywaczach, starali się jak najwięcej zapamiętać, co w takich nerwach nie było łatwe. Dobrze, że pawilon Tęcza był jak zawsze rzeświście oświetlony, bo te okoliczne latarnie to świeciły jak z laski, byle jak i co druga.

Dlaczego nie udali się w pościg za uciekającym samochodem?

Pytanie było podchwytliwe i jakkolwiek by na nie odpowiedzieli, i tak byłoby źle. Oczywiście wrócili do samochodu, ale nysa stała jednak dość daleko od Tęczy. Jakies sto, sto pięćdziesiąt metrów. Edek nie wiedział dokładnie ile, bo przecież tego nie mierzyli. Był w tym momencie już mocno poirytowany, bo to się tak łatwo mówi o czymś w teorii, a w praktyce wszystko wygląda inaczej. Najpierw po tym, co zobaczyli, nie byli w stanie się ruszyć. Taki stan trwał oczywiście sekundy, a nie minuty, ale nawet te sekundy wystarczyły, aby tamten samochód odjechał. Widzieli, jak kierowca, łamiąc wszelkie przepisy, zawraca i zamiast objeżdżać Rynek, zakręca i jedzie prosto w kierunku piekarni. Szybko przemieścili się w stronę samochodu, ale biorąc pod uwagę godziny nocne i szybkość jazdy tamtego, postanowili zostać i sprawdzić, co zginęło ze sklepu, oraz wezwać wsparcie. Krata nadal trzymała się na wysokości metra. Usiłowali ją podnieść do góry, jednak okazało się, że bok kraty jest przywiązany drutem do prowadnicy bocznej. Taki patent. Dlatego krata nie chciała się ruszyć. Drzwi były otwarte, bez problemu weszli do środka i zaczęli szukać włącznika. Nie mieli przy sobie latarek, tak jak włamywacze. Wreszcie Edek znalazł włącznik światła, ulokowany tuż za stojącym przy ścianie, wysokim regałem. Jak znalazł? Normalnie, macał po ścianach na takiej wysokości, na jakiej są instalowane włączniki, i w końcu się domacał. Pan dzielnicowy stał wtedy przy pokrytej szkłem ladzie. Dłonie miał oparte o tę ladę, gołe, bez rękawiczek, stąd jego odciski na szkło. Dopiero potem pomyśleli o odciskach palców i że będą problemy, bo je zamazali, ale dzielnicowy dobrze pamiętał, że ci, którzy wyszli ze sklepu, mieli ubrane rękawiczki. Dzielnicowy został na miejscu, a on, Edek, pojechał do komendy po wsparcie kolegów.

Dlaczego nie użyli radia? Bo było im szkoda czasu. Zanim by włączyli, nastroili, wezwali... Prościej było wsiąść w samochód i raz dwa przejechać te kilkaset metrów. Edek wrócił w ciągu piętnastu minut, przywiózł dwóch kolegów, Zbyszka Gacka i Jurka Nalepkę. Potem dojechali technicy, by pozabezpieczać ślady. To było tylko włamanie. Oni nie zdawali sobie sprawy z tego, co padło łupem włamywaczy, dopiero właściciel sklepu, jak rano przyszedł do komendy, to im oczy otworzył. Włamywacze nie bawili się w drobnicę, zabrali tylko najcenniejszą biżuterię, między innymi pierścionki z brylantami, naręcza złotych bransoletek, wisiory złote, inkrustowane szlachetnymi kamieniami. Jak na sklep jubilerski w niewielkim mieście wybór biżuterii był tam duży. No i pod względem cenowym powalał z nóg. Wszystko dużo droższe niż przeciętna pensja. Jeżeli napchali tymi precjozami cały plecak, to było się o co bić.

Tak naprawdę to byli zdziwieni tym towarem, mocno drogim. Kto ma kasę na takie kosztowne drobiazgi? Ale okazało się, że nie mają racji. Oni są biedaki, to myślą jak biedaki,

a takich, co mają kupę szmalu, to pełno dookoła. Ten właściciel jubilera dobrze wiedział, co robi, tyle że ktoś podkablował, że jest po towarze. Na czwartek sprowadził, wiadomo, dzień targowy, mnóstwo przyjezdnych, trochę pierścionków mu poszło, niedużo. Straty na ciężki pieniądz. Na razie nie znali dokładnej kwoty, właściciel sklepu dopiero miał policzyć i przynieść rozpiskę.

Śledztwo wyjątkowo im nie szło. Jedyne co zdołali wyjaśnić, to sprawę samochodu. Białek dobrze zapamiętał numer rejestracyjny wozu włamywaczy. Zaraz w piątek sprawdzili, do kogo należy ten duży fiat. Okazało się, że już zdążyło wpłynąć do nich zawiadomienie o kradzieży samochodu. Niejaki Alfred Rodkiewicz zgłosił, że w czwartek po południu zauważył zniknięcie auta. Nie miał pojęcia, o której dokonano kradzieży pojazdu. Po prostu jak co dzień Rodkiewicz pojechał samochodem do pracy. Nie, nie działo się nic szczególnego, dzień jak każdy. W biurowcu zakładów wynajmował mały pokój, wystarczający na jego potrzeby. Był architektem z zawodu, założył sobie działalność prywatną, zleceń miał multum, nie nadążał z czasem. Powinien właściwie już kogoś zatrudnić. Jak zawsze przyjechał do pracy o siódmej rano i cały dzień spędził nad deską z projektami. Spieszył się, terminy go goniły, nie chciał płacić kar, to jasne, prawda? Nawet mu nie przyszło do głowy, by podchodzić do okna i sprawdzać, czy samochód jeszcze stoi. Zawsze stał, to dlaczego tego dnia miałoby być inaczej? Dzień wcześniej odwiózł żonę do Krakowa, wyjeżdżała do rodziców, do Sorrento. Odwiózł ją do koleżanki, z którą razem miały jechać. Nie, nie pociągiem, autokarem. Niestety nie wiedział, jak się koleżanka nazywa – akurat jak przywiózł żonę, to tej koleżanki jeszcze nie było, żona go wyganiała z powrotem do Oświęcimia, wiedziała, że czeka go dużo pracy. Nie martwił się, żona już raz tak jechała do Sorrento i wróciła cała i zdrowa. No i przyjechał do Oświęcimia, przespał się, rano wsiadł w samochód i pojechał. Czekał na telefon od niej, czy wszystko w porządku, ale potem tak zajął się pracą, że przestał o tym myśleć. O samochodzie nie myślał w ogóle. Zawsze zostawiał go w tym samym miejscu i nic się nie działo. A wtedy auto zniknęło! Pan Alfred sprawiał wrażenie autentycznie zmartwionego. Najbardziej denerwował się perturbacjami z powrotem żony, powinien ją przywieźć z Krakowa do Oświęcimia samochodem, nie chciał pozwolić, żeby się mu małżonka autobusem albo pociągiem tłukła.

Zatem mieli całkiem formalne zgłoszenie kradzieży samochodu i wszystko wyglądałoby całkiem naturalnie i normalnie, gdyby nie poprosili pana Alfreda o pokazanie kluczyków i dowodu rejestracyjnego. I tak ubezpieczyciel przy wypłacie odszkodowania zażąda, więc lepiej, żeby miał to już za sobą. Białek doskonale pamiętał, że kierowca fiata przekręcił kluczyk w stacyjce, nie robił zwarcia, nic nie kombinował, nie schylał się pod

deskę rozdzielczą. Widziałby. Poza tym tamten nie miał na takie ceregiele czasu. Przekreślił, silnik zaskoczył, usłyszeli jego jednostajną pracę. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Do akt załączono zeznanie Rodkiewicza i zwrócono uwagę na brak drugiego kompletu kluczy. Rodkiewicz najpierw twierdził, że drugi komplet powinien leżeć w domu, potem szukał po wszystkich kątach. Na końcu stwierdził, że na pewno żona zabrała kluczyki do Sorrento przez pomyłkę ze swoim bagażem. Zadzwonili, wyjaśnią całe zajście, żona ma wrócić za dwa tygodnie, to przywiezie kluczyki z powrotem.

Z akt wynikało, że samochód, jedyny ślad prowadzący do włamywaczy, nigdy się nie odnalazł.

Sprawdzono także okoliczne szpitale, ośrodki zdrowia i lekarzy. Uczulono ich na pacjenta, który może się u nich pojawić z raną postrzałową albo z charakterystycznym draśnięciem przez kulę. Nie mieli pojęcia, w które miejsce włamywacz został trafiony. Wyglądało na to, że gdzieś w górne partie ciała. Nikt się nie zgłosił, więc doszli do wniosku, że to było tylko draśnięcie, opatrzone doraźnie przez kolegów poszkodowanego.

Śledztwo zakończono szybko, Białek poszedł na przymusowy urlop. Jego żona czuła się coraz gorzej, a i przełożeni uznali, że będzie lepiej, jeżeli sprawa przyschnie. Wrócił do pracy po prawie dwóch miesiącach, odmieniony. Właściciel sklepu, po pierwszych nerwach, dość szybko spasował. W aktach nie ma śladu o przesłuchaniach świadków – być może wszyscy utrzymywali, że nic nie widzieli ani nie słyszeli. Postępowanie w przewidzianym prawem czasie umorzono, potem akta wraz z innymi wrzucono do piwnicy. Komisarz Białek popracował w policji do emerytury, potem opuścił Oświęcim, przeprowadzając się do Andrychowa i rozpoczynając nowe życie z dala od rodziny żony i kolegów z pracy. Nigdy do sprawy nie wrócił.

* * *

– To wszystko, czego możemy się dowiedzieć z akt sprawy – podsumował swoją relację komisarz i pociągnął łyk zimnej już kawy. Pomyślał chwilę i podjął decyzję. – Słuchajcie, to, co powiem, ma zostać między nami, i żebym się nie dowiedział, że któryś z was zapomniał o dyskrecji.

– Szefie, przecież wiadomo, że z nami jak w studnię – zadeklarował w imieniu reszty aspirant Maciejak.

– Wierzę na słowo. Całkiem niedawno byłem u Darka w Andrychowie, taka przyjacielska wizyta. – Ożegalski konsekwentnie nie wspominał o kryminałach. – W czasie rozmowy Darek nadmienił, że wrócił do dawnej sprawy na życzenie klienta i szuka pewnej

kobiety. Mam jej rysopis, jest dosyć dokładny: brunetka, chyba że zmieniła kolor włosów, średniego wzrostu, tak około metra siedemdziesiąt. Może mieć pięćdziesiąt albo trochę więcej niż pięćdziesiąt lat. Była podobno bardzo ładna. Zielone, kocie oczy, takie wyraziste. Brak bliższych danych, szukaj wiatru w polu. Gdyby chociaż klient miał zdjęcie tej osoby, ale podobno nie ma. Nie wiem, w jaki sposób mógłbym mu ją znaleźć. Nie mamy listy przystojnych brunetek – komisarz pozwolił sobie na sarkazm, tak rzadki w jego przypadku. – Tak się nad tym zastanawiam i powiem wam nawet więcej, jestem pewien, że nie ma żadnego klienta, tylko on sam rozpoczął poszukiwania tej kobiety. Nie wiem, skąd takie zainteresowanie obcą kobietą, ale może jest coś, o czym mi nie powiedział względnie czegoś nie ujęli w aktach. Tylko że jest to szukanie igły w stogu siana. Kobieta mogła się z Oświęcimia dawno wyprowadzić, mogła umrzeć. Niemniej jednak jest to jakiś mizerny, bo mizerny, ale ślad. A tobie coś się przypomniało?

Maciejak zamknął już otwarte usta i popatrzył z podziwem na zwierzchnika.

– A skąd szef wie?

– Po wyrazie twojej twarzy i rozdziawionych ustach. No to mów, co ci się kojarzy.

– Właściwie to nie jestem pewien, ale dzisiaj na cmentarzu spotkałem kobietę. To znaczy nie ja spotkałem – zastrzegł się aspirant. – Tę kobietę spotkał Wincenty Szumiejko. Jak już odeszliśmy od recytującego Kłoca... – Aspirant zrobił pauzę i westchnął ciężko, od serca. – Właśnie, trzeba będzie wyjaśnić, kto unieszkodliwił naszego poetę... Więc jak już odeszliśmy kawalek, pan Wincenty stanął jak wryty, spłonął się jak panienka i przedstawił mnie pani Amelii, swojej znajomej. Poszliśmy razem oglądać grobowiec i tak z rozmowy wynikało, iż pani Amelia jest byłą żoną pana Alfredo, czyli tego z akt, Alfreda Rodkiewicza. Być może ona nie ma nic wspólnego z całą sprawą, ale na mój rozum była zbyt ciekawa, wypytywała mnie i Wincentego, jak wyglądało wnętrze grobowca, co w nim znaleźliśmy, co podejrzewamy. Wiecie, o co mi chodzi. Jej wszystkie pytania były celowe, nie wynikały tylko z czystej, żywej ciekawości. Przynajmniej ja odniosłem takie wrażenie. No i jeszcze to, że Kloc widział ducha... Trzeba go będzie przesłuchać i to jeszcze dzisiaj, bo jak tak całkiem ochłonie, to wyprze się wszystkiego, nawet tego swojego poematu.

– Poematu? – zdziwił się komisarz.

– No tak, poematu. Gdybyście go widzieli deklamującego, sam patos i lekka bufonada, ale – Maciejak chciał być sprawiedliwy – w sumie nie było to takie złe. I gdybyście widzieli te kobiety wpatrzone w Kłoca z uwielbieniem, przecież on się do reszty rozpije, bo podejrzewam, że teraz żadna impreza się bez niego nie obejdzie. Szkoda chłopca – podsumował.

– To wszystko jest bardzo ciekawe – odezwał się nieśmiało stażysta Buciek, który z mocno zaczerwienionymi policzkami i błyszczącymi podnieceniem oczami, wyglądał, jakby przechodził grypę. – Tak sobie myślę i myślę, panie komisarzu, i ciekawy jestem, gdzie jest ta skradziona biżuteria. Przecież ten łup nadal ma sporą wartość. Gdyby to ktoś znalazł i sprzedał po cenie wyrobu, nie złomu, to uzbierałoby się mnóstwo pieniędzy. Bo tak naprawdę z tego wszystkiego wynika, że tutaj toczy się gra o pieniądze, o ten łup z włamania chyba. Nie wiem, czy dobrze kombinuję, ale myślę, że musimy odnaleźć tę skradzioną biżuterię i... – tu Buciek się zacukał – chyba trzeba będzie z komisarzem Białkiem pogadać. Może on pamięta więcej, niż tutaj napisano, albo może faktycznie się czegoś nowego dowiedział i teraz dusi w sobie. Może panu opowie? – Tu wyczerpany myśleniem stażysta westchnął rozgłośnie i wyszeptał: – Przepraszam.

– Ale co racja, to racja – pochwalił go aspirant Maciejak. – Myślcie, panowie, czas ucieka. Aha, jeszcze coś sobie przypomniałem... – Był trochę zły na siebie, że podjął decyzję bez konsultacji, ale mówi się trudno. – Panie komisarzu, przy okazji melduję, że zezwoliłem Szumiejce na kontynuację remontu grobowca. Niedługo skończą prace przy tym grobie koło grobów sióstr serafitek, to przeniosą się do tego naszego. Pomyślałem, że skoro robota zapłacona, może tamci uznają, że sprawa przycichła, a nam tylko chodziło o te szczątki i teraz to już wszystko w porządku, mogą wyjść z ukrycia, zacząć działać. Wtedy gdy tylko się pojawią, Wincenty da nam znać, zgarniemy całe towarzystwo i będziemy mieli wyjaśnioną przynajmniej jedną kwestię. – Aspirant popatrzył nieśmiało na przełożonego. – Mam nadzieję, że tak będzie dobrze.

– O, o właśnie, doskonale! – ucieszył się komisarz. – Jesteś naprawdę bardzo aktywny. A co ty o tym wszystkim myślisz? – komisarz skierował pytanie do Rokickiego.

– Ja melduję, panie komisarzu, że już nic nie myślę, spać mi się chce. Nie dość, że w ostatnich dniach tutaj, w pracy, to ciągle ślęczenie nad papierami, to potem narzeczona każe mi filmy oglądać po nocy. Niewyspany jestem. – Rokicki ziewnął przeraźliwie, aż wydawało się, że mu tak buzia zostanie na stałe otwarta. W końcu poluzował mięśnie szczęki i zamknął usta.

– Ty to masz fajnie, człowieku, pornosy po nocy oglądać, super – pozazdrościł Maciejak.

– Jakie pornosy, Zygmunt?! Moja narzeczona ubzduriała sobie, że będziemy razem oglądać klasykę ekranu. Same jakieś *Obywatele*, *Absolwenty*, a ja już nie mogę, zasypiam.

– Jak możesz tak mówić, przecież to naprawdę klasyka! – obruszył się komisarz. – Sam z przyjemnością oglądnałbym *Obywatela Kane'a* albo z jeszcze większą *Absolwenta*.

Tobie to się zapewne tytuł z gatunkiem wódki kojarzy – dociął aspirantowi. – Dobrze pamiętam, że *Absolwent* to świetny film, no i ta piosenka o pani Robinson. Nie rozumiem. Czego ty się uczyłeś, że to cię nudzi? Pocieszające jest to, że masz taką narzeczoną. Ona cię wyedukuje, a ja na początek pożyczę ci kilka dobrych książek. Myślę, że przyjemnie zaskoczyłbyś narzeczoną, gdyby okazało się, że w wolnym czasie czytujesz. Może by tak poezję...

– Panie komisarzu, litości!

– Komisarz ma rację, poezję, może nie taką, jak Kloc pisze, i może nie romantyków, ale ja ci coś poszukam – obiecał Maciejak i zamruczał pod nosem kilka wersów z *Kotów*.

– Ja cię od tej strony nie znałem – komisarz był pod wrażeniem. – Proszę, powtórz głośniej, tego wiersza sobie nie przypominam. I pamiętaj, to ja Jurkowi pożyczę książki.

– No dobrze, zacznę jeszcze raz od początku i zaraz wracamy do pracy. – Maciejakowi zrobiło się żal rzucającego dookoła mętnym wzrokiem kolegi. Sam dopiero niedawno odkrył T. S. Eliota przetłumaczonego doskonale przez Barańczaka i czytywał na głos sobie i Bartusiowi co smaczniejsze kawałki. Przypomniał sobie ostatni, dość często czytany wiersz, skupił się i zaczął recytować:

Było się raz piratem, przepływało Atlantyki;

Dzisiaj – tylko dorabiam se do emeryturki.

Grunt to się nie przemęczać, bo się jest jak ten antyk,

Więc robię za portiera u Faberów i Spółki...

Aspirant przełknął ślinę i zwilżył suche gardło resztką fusów osiadających na dnie kubka. Westchnął z głębi piersi, wznosił oczy do góry i kontynuował. Miał nadzieję, że nie zblamuje się przed komisarzem i kolegami.

– „Co ja lubię? Przepiórkę, może być kuropatwa...” No właśnie, cały mój Bartuś, tylko mu jedzenie w głowie! I ja mu takie teksty czytam, przecież od tego jemu się całkiem w tym małym łebku poprzewraca! – aspirant tym wyrazistym komentarzem przerwał recytację. Nie zamierzał się nikomu przyznawać, że na razie najlepiej zapamiętał pierwszą zwrotkę. – No i jak wam się podoba? – zapytał z niepokojem.

– Rewelacja, musisz mi koniecznie pożyczyć – entuzjasmował się komisarz.

Buciek miał uszy wręcz bordowe z wrażenia i jeszcze bardziej rozpalone policzki. Jedynie aspirant Rokicki nadal pozostawał sennie obojętny. Wiedział dobrze, że cokolwiek by nie powiedział, to teraz wpadł na dobre. Będzie musiał czytać poleczone przez komisarza

lektury i jak go znał, po przeczytaniu streszczać. Na pewno nie wystarczy stwierdzenie typu „podało mi się” lub „bardzo ciekawa książka”. I komisarz, i Maciejak na pewno go odpytają. A Krzysiek też dobry. Wyglądał na zachwyconego.

– To ja może poczekam na te książki, a teraz to się zabiorę do pracy, szkoda czasu – rzekł nieśmiało.

– Zgadza się. Teraz to my musimy poszukać kogoś, kto zaginął. Zakładamy akta na sprawę. Jaki proponujecie tytuł?

– Może „Wyszedł z domu i nie wrócił”? – zaproponował Buciek.

– Doskonale – zaakceptował komisarz.

– Proponuję porozmawiać z panią Emeliną, ona będzie wiedziała – powiedział Maciejak. – Poza tym zaprosiła mnie do siebie. Myślę, że to jest taki przypadek, że nikt nie podejrzewa, że ta osoba nie żyje. Może po prostu ten ktoś miał wyjechać i to gdzieś dalej, nie do sąsiedniego miasta ani nie do sąsiedniej wsi. Potem rodzina czekała, aż się odezwie, aż w końcu stwierdzili, że pewnie zadziera nosa albo się boi, żeby mu się rodzina i pół ulicy nie zjechało do domu. O jego śmierci wiedzą tylko współnicy z napadu, a oni, wiadomo, ani słowa nikomu.

– To porozmawiaj z nią, my już z tych dokumentów niewiele wyciśniemy. Na pewno jeszcze raz musimy je przeczytać, zrobić kserokopie. Ja porozmawiam z Darkiem, zapewne wyjaśnienie wszystkiego będzie proste. Jurek przesłucha tego Alfredo, to jest Alfreda Rodkiewicza.

– A ja?

– A ty sprawdzisz w meldunkowym, gdzie mieszka niejaki Bożydar Kępiński. To ten, który zastępował pana Antoniego w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Jak już go znajdziesz, to porozmawiaj z nim i zaproś do komendy, ale tak, żeby niczego specjalnego nie podejrzewał. I spróbuj go wypytać, kim był ten jego pomocnik. Czy to był przypadkowy człowiek, czy jego dobry znajomy albo może ktoś z rodziny? Musimy odnaleźć tego człowieka. Odpowiedzialne zadanie dostajesz – powiedział komisarz, też już bardzo zmęczony całym dniem. – Jutro, panowie, poskładamy sobie te części łamigłówek w całość i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie. I jeszcze jedno... Kloca też zaprosicie. Chciałbym z nim porozmawiać. No dobrze... – Ożegalski ziewnął półgębkiem, coś mu się udzieliło od Jurka Rokickiego. Brak tlenu po prostu. Przejdzie się spacerkiem, zaraz lepiej się poczuje. Bo teraz, szkoda gadać! – No to już, panowie, zbieramy się do domów pomieszkać. Do zobaczenia jutro.

Prawie wypychał podwładnych poza mury komendy, sam już piekielnie zmęczony.

Musiał sobie wszystko dokładnie przemyśleć. Pewne poszlaki wskazywały, że w sprawie włamania do sklepu jubilerskiego zamieszana jest pani Amelia, obywatelka włoska, była żona Alfreda Rodkiewicza. Ale to były poszlaki i to z gatunku wątych. Bez gruntownych podstaw nawet nie miał prawa wzywać jej do komendy i przesłuchiwać. Ożegalski sam przed sobą się nie przyznawał, że ma tremę przed spotkaniem z tą elegancką i światową kobietą. Liczył tylko i wyłącznie na jej dobrą wolę i chęć współpracy. Równie dobrze mogła odmówić i nie przyjść, niemniej jednak była chyba zbyt inteligentna, by nie przewidzieć, że w razie niestawienia się na jego prośbę podpadnie.

* * *

Sebastian Kloc, syty chwały i wrażeń, pakował wszystkie bambetle do ulubionego chlebaczka. Najpierw powyciągał butelki, pooglądał. Nie przepadał za piwem, a jeżeli już po nie sięgał, to po całkiem inną markę. Najpierw nie zwrócił uwagi, były to dla niego zwykłe butelki po piwie, dopiero potem, gdy zaczął je wyciągać, zauważył, że są to butelki po piwie jabłkowym. Sam by nigdy w życiu takiego świństwa nie kupił, nie mówiąc o picciu. Brr... Cuchnęło okropnie, poza tym piwo, jeżeli już pił, to gorzkie, o bardzo konkretnym, właśnie gorzkim smaku. Żadnych ulepszczy! Raz tylko tak się nadział i potem cały czas odbijało mu się truskawkami na gorzko. No ale nawet jeżeli on nie lubił, nie trawił, to nie oznaczało, że inni ludzie mają taki sam gust i smak. Tytoń papierosowy też był dla niego tylko tytoniem papierosowym. Nie był w stanie odróżnić marki, zwłaszcza że palenie rzucił wiele lat temu i nie miał zamiaru wracać do nałogu.

Chciał sobie przemyśleć ostatnie zdarzenia. Na razie był nieco senny, głowa go bolała, a przed oczami przesuwały mu się sceny, o których wołał zapomnieć, a nawet zapomniał. Przecież to wszystko miało miejsce wiele lat temu. Przetarł dłonią spocone czoło i jeszcze raz namacał bolący tył głowy. Wydawało mu się, że pod palcami wyczuwa rosnącego guza. Westchnął ciężko i przeciągnął się. Musiał się pogimnastykować, miał całkiem zeszywniałe ciało.

Cmentarz był już prawie pusty. Tylko gdzieś widać było pojedyncze osoby krzątające się przy nagrobkach albo zmierzające ku wyjściu. Przewodnik Stefan i uczestnicy wycieczki dawno powracali do domów, by przygotować dla siebie i wracających z pracy dzieci obiad.

Kloc postanowił, że podejdzie do tego grobowca. Jednak chciał go zobaczyć.

* * *

Spotkanie u Eligiusza zostało zwołane w trybie nadzwyczajnym i obowiązkowym,

mimo że nie była to sobota. Eligiusz zakupił kawałek babki drożdżowej z rodzynekami do kawy i czekał na kolegów, chodząc nerwowo od okna do okna. Musiał się z nimi koniecznie naradzić. Wreszcie zobaczył, jak idą, zajmując we trójkę całą szerokość chodnika. Rozmawiali, mocno gestykułując. Z daleka wyglądało, jakby się kłócili.

Eligiusz nie czekał, tylko energicznie wyszedł z domu, otworzył z rozmachem bramkę, automatycznie odkłonił się sąsiadowi i nieledwie wciągnął kolegów do domu.

Nie zauważył, że sąsiad nadal wpatruje się w jego okna, po czym, po chwili zastanowienia, sięga po telefon komórkowy i dzwoni.

– Po co, ja się ciebie pytam, po co nas wezwałeś i to jeszcze w trybie pilnym? Robota na karku, żona na karku, a tobie się zachciewa jakichś tajnych spotkań! – Wincenty nie krył się z pretensjami.

Pan Antoni nie był gorszy. Poprawiając krzywo zawiązany krawat, żalił się kolegom:

– No właśnie, o co ci chodzi? Ja na dzisiaj już mam dość, jeszcze ta afera z Klocem, potem ten samozwańczy przewodnik Stefan przyszedł do mnie z pretensjami, że pozwalam, żeby taki prawie element, jakim jest Kloc, pętał się po cmentarzu, nadużywał alkoholu i bezczęścił miejsce pamięci. Przecież, ludu złoty, nie jestem w stanie upilnować wszystkiego, poza tym słyszałem, że to nie tak wyglądało, jak Stefan opowiadał. Józek tam kopał w pobliżu i powiedział mi, że te wszystkie kobity były zachwycone, a wiadomo, Stefan podrywacz, nie ma na co, to rwie kobitki na wiedzę i spaceruje po cmentarzu – dopił ironicznie nielubianemu przewodnikowi.

– A ja jestem ciekawy, o co chodzi – odezwał się spokojnie Alfredo. – To znaczy podejrzewam, o co ci chodzi, ale oczywiście nie jestem pewien. Najwyższy czas, abyśmy porozmawiali i wyjaśnili sobie niektóre sprawy.

– Jak to dobrze, że chociaż ty zachowałeś resztki rozsądku – ucieszył się Eligiusz. – Rozgoście się, zaraz zaparzę kawę i naradzimy się. Chcę być wobec was w porządku. To dla mnie ważniejsze niż co innego.

Powoli weszli do salonu i usadowili się na swoich zwyczajowych miejscach. Alfredo na fotelu przy kominku, Antoni obok, na kanapie. Tylko Wincenty stał na środku pokoju naburmuszony jak małe dziecko.

– Weźże, człowieku, siadaj! Co tak będziesz stał? – pogonił go Alfredo.

– Ja w ogóle nie wiem, czy zostanę.

– Nie wygłupiaj się. Że jesteś stary, to wiadomo, masz tyle samo lat co my, ale że tak durny, to się nie spodziewałem. – Alfredo nie zamierzał przebierać w słowach.

Wincenty zachnął się i wydał usta.

– Ty mi tu nie ubliżaj, mogę robić, co mi się żywnie podoba, tobie nic do tego.

– Hej, panowie, może jednak poczekacie z tym podgryzaniem sobie gardeł – zaproponował ubawiony Eligiusz. – Nawet nie wiecie, o czym chciałem z wami porozmawiać, a już walicie ogonami jak kocury przed walką. – Parsknął śmiechem.

Koledzy popatrzyli po sobie zdezorientowani.

– No rzeczywiście, za daleko poszło – przyznał niechętnie Wincenty. – To mów, o co ci chodzi. – W końcu przysiadł na brzegu kanapy, tak jakby chciał podkreślić swoją niezależność, przygładził wypielęgnowane białe włosy i nonszalancko założył nogę na nogę. Kwiknął z cicha, znowu mu się odezwał nerw kulszowy. Pożałował swojej nieposkromionej skłonności do zadawania szyku, usiadł normalnie i w końcu zaczął słuchać, co mówi Eligiusz.

Brzmiało strasznie i nie mogło być prawdą. Byli starzy, i owszem, ale przecież nie aż tak naiwni, chociaż fakty niestety się zgadzały i nawet Alfredo, najbardziej z nich wszystkich zaangażowany, nie protestował.

* * *

Pani Emelina Krancowa mieszkała w bloku. Tego się aspirant Maciejak nie spodziewał. Wyobrażał ją sobie raczej jako właścicielkę małego białego domku z ogródkiem, z malwami i ostróżkami kwitnącymi przed oknem. Tak przynajmniej mieszkała babcia Felicja. A tu masz, taka niespodzianka! Mieszkanie na Szpitalnej było przestronne, prawie siedemdziesiąt metrów kwadratowych. No tak, niejeden domek miał mniejszą powierzchnię. Wystarczyło, by pani Emelina mieszkała wygodnie i nie musiała troszczyć się o naprawy dachu, remonty w domu, pielenie ogrodu latem i odśnieżanie zimą. Była naprawdę w idealnej sytuacji. Do tego mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Zimą nie ciągnie od drzwi wejściowych, a nie jest tak wysoko, by schodzenie i wchodzenie po schodach sprawiało trudności.

Czekała na niego elegancka, miło uśmiechnięta, gościnna.

– Proszę, proszę, niech pan nie stoi w progu, niech pan wchodzi.

Aspirant nie dał się dwa razy prosić. Dokładnie wytarł czyste buty w elegancką wycieraczkę i wszedł. Dyskretnie rozejrzał się dookoła. Kremowe ściany długiego, ale przestronnego przedpokoju przyozdobione były kilkoma nastrojowymi obrazami przedstawiającymi martwą naturę. Na jednym z nich malarz wymalował paterę całą wypełnioną owocami południowymi, winogronami i jabłkami. Brzoskwinie pokryte aksamitną skórką aż prosiły się o zjedzenie i budziły ciekawość co do tożsamości autora. Obraz wyglądał na oryginał, a nie na produkowany taśmowo oleodruk.

Aspirant Maciejak stał w miejscu i zastanawiał się, czy by nie zdjąć butów. Wprawdzie na dworze było sucho, obuwie miał czyste, specjalnie przetaił przed wyjściem, ale wiedział, że niektóre starsze panie, i nie tylko starsze, są przeczulone na punkcie porządków. Babcia Felicja zawsze się z nich podśmiewała, mówiąc, że całą energię pakują w sprzątanie. Nie zdążył zapytać, gdy pani Emelina stanowczym ruchem ręki zaprosiła go do pokoju.

– Tylko niech pan czasami butów nie ściąga – zastrzegła. – Proszę, niech pan wejdzie i siądzie. O tutaj, tutaj będzie panu wygodnie. – Ręką pokazała na zgrabne krzesło obite ciemną, wygniataną w drobne kwiaty materią. Wyglądało, jakby miało przynajmniej ze sto lat.

– Ależ pani jest podobna do mojej babci! – wyrwało się z głębi serca siadającemu na krześle aspirantowi.

– A jest mi miło, słysząc po tonie, że pan bardzo lubi swoją babcię – uśmiechnęła się do niego i usiadła na drugim, takim samym krześle.

– Uwielbiam, ale bardzo rzadko widuję, bo mieszka daleko. A jak gotuje! – rozmarzył się policjant.

– No to zapraszam na obiad w niedzielę.

– Och, ale ja nie dlatego... – spieszył się.

– Wiem, dlatego zapraszam. A teraz niech mi pan powie, z jaką sprawą pan do mnie przychodzi. – Pani Emelina nie należała do tych, co owijają w bawełnę i bawią się w nieskończoność w uprzejmości.

Aspirant nie spodziewał się tak wprost zadanego pytania. Pomyślał, że nie ma sensu krążyć dookoła tematu, tylko musi powiedzieć, o co dokładnie chodzi. Poprawił sobie okulary na nosie, przyklepał nieistniejącą fałdkę na kieszeni munduru, odchrząknął i zaczął:

– Sprawą... no cóż, tak sobie pomyśleliśmy, że może pani będzie wiedziała. Wszystko, co pani przekaże, to poufne wiadomości, więc byłbym wdzięczny... – Aspirant znacząco zawiesił głos, a usłyszawszy stanowcze „niech pan będzie spokojny”, kontynuował: – Ten drugi nieboszczyk to prawie na sto procent uczestnik włamania do sklepu jubilerskiego sprzed dwudziestu jeden lat. Szmata czasu. Dogrzebaliśmy się do akt, wszystko nam się zgadza, tylko nie mamy żadnego zgłoszenia o zaginięciu. Założyliśmy sobie wstępnie, że gdyby to był czyjś, nie wiem, ojciec, syn, brat, mąż i gdyby nie wrócił do domu, to byłoby zgłoszenie o zaginięciu. Nie ma żadnego pasującego datą czy osobą. Dlatego szukamy wiadomości o mężczyźnie średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, wiekowo pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. Cecha charakterystyczna: grube brwi i pociągła twarz.

Tyle wiemy. Informacje mamy szczątkowe, opis bardziej niż skromny, tak że nie mamy punktu zaczepienia. Nie wiemy, gdzie szukać tego człowieka! – Ostatnie zdanie zabrzmiało nieco rozpaczliwie i oddawało to w pełni nastrój aspiranta.

– Ależ wy go już znaleźliście – sprostowała pani Emelina i widząc zdziwione spojrzenie policjanta, dodała: – W grobie go znaleźliście.

– No tak, tylko my go potrzebujemy z czasów, kiedy żył. Imię, nazwisko, adres, jakaś rodzina. Może ktoś coś pamięta, to znaczy... Prawdę mówiąc, myślałem, że pani pamięta...

Popatrzyła na niego zadumana.

– Pan mnie przecenia, młody człowieku, ale... Proszę przyjść w niedzielę na obiad, na czternastą. Pomyślę. Jeżeli coś sobie przypomnę, to panu powiem.

– Oczywiście, będę. Bardzo, pani dziękuję za zaproszenie.

– Nie ma jeszcze za co.

Aspirantowi wydawało się, że w oczach pani Emeliny widzi czujność. Zdał sobie sprawę z tego, że ona już zapewne wie, o kogo chodzi, tylko ze znanych sobie względów nie chce mu tego teraz powiedzieć. Może po prostu chce się upewnić. Był usatysfakcjonowany wizytą. Poza tym, jeżeli pani Emelina gotowała tak jak babcia Felicja, to w niedzielę czekała go prawdziwa uczta. Żałował, że nie może zabrać ze sobą Bartusia. Zobaczyłby kocur, jakie można jadać obiadki. Pomyślał, że może uda mu się ukradkiem schować kawałek pieczeni dla ulubieńca.

* * *

Komisarz po wysłuchaniu tego, co miał mu do powiedzenia teść, siedział jeszcze chwilę przy biurku i myślał. Następnie wystukał numer telefonu Rokickiego i chwilę z nim rozmawiał. W efekcie tej rozmowy Rokicki zmienił kierunek jazdy, a komisarz na później odłożył telefon do kolegi. Tak naprawdę to powinni się spotkać, sytuacja stawała się co najmniej niezręczna.

Posprzątał resztę papierów zalegających biurko. Wszystko przeniósł na stojące pod ścianą krzesła. Na biurku została tylko jedna teczka. Komisarz wpakował ją w drugą teczkę i włożył do reklamówki. Nie miał nic innego przy sobie, a nie chciał tak biegać z papierami służbowymi w ręku. Chciał jeszcze raz w domu przeczytać wszystko na spokojnie i dopiero potem porozmawiać z Darkiem. Nie zamierzał go o nic oskarżać, chciał tylko wyjaśnić sprawę i znaleźć ukradzioną biżuterię.

Należało działać szybko. Pozamykał pusty pokój, klucze zostawił w dyżurce i prawie biegnąc, dopadł samochodu. Ruszył z kopyta. Po chwili parkował przed domem teściów.

Dobrze wiedział, gdzie mieszka Eligiusz Kamilski. Przeszedł na drugą stronę ulicy i nie dzwoniąc do bramki, wszedł na posesję. Drzwi wejściowe były półprzymknięte. Zapukał dla formalności i nie czekając na odzew, wszedł do pomieszczenia. Z przedpokoju wchodziło się do obszernego salonu. Stanął jak wryty w progu, gdy zobaczył, jak Wincenty i Alfredo kłócą się wrzaskliwie i podduszają wzajemnie. Scenę ze stoickim spokojem obserwował pan Antoni. Kamilskiego nie było. Nagle otworzyły się drzwi od strony kuchni, a komisarz w ręku wchodzącego z impetem Kamilskiego zauważył litrowy garnczek. Nie zdążył zareagować – zdenerwowany Eligiusz całą zawartość garnuszka wylał jednym chluśnięciem na zacietrzewionych panów. Ci natychmiast przerwali szarpaninę i oburzeni odwrócili się do kolegi.

– Zwariowałaś czy co?! Odbiło ci?

– Ależ nie, tylko popatrzcie, mamy gościa. Witamy pana, panie komisarzu. – Kamilski wręcz teatralnie się uklonił. Bawił się świetnie, widząc miny kolegów i policjanta. Warto było przeżyć tę szarpaninę. Dwa stare dziadki, a walczą jak kocury. Też coś!

Komisarz musiał przeczekać cały proces wycierania oblanых wodą ubrań i twarzy oraz nagłe wzajemne uprzejmości zwaśnionych przed chwilą kolegów. Był cierpliwy, nie miał wyjścia, musiał swoje odczekać. Widział, że panowie wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia i grają na zwłokę.

– Panie komisarzu, może kawki? – Kamilski chciał być gościnnie.

– A poproszę. I porozmawiamy, panowie. Myślę, że mamy o czym.

– A pan tak przypadkiem?

– Przecież wiecie, panowie, że nie ma przypadków. Wszystko zgodnie z planem i procedurą. Miałem przesłuchać tylko pana Eligiusza, ale skoro tak tu wszyscy jesteście, to sobie nie odmówię.

– To my może... – Alfredo zająknął się – może nie będziemy przeszkadzać?

– Koledzy! – syknął przez zaciśnięte usta Eligiusz i posłał policjantowi uprzejmy uśmiech.

– Ależ nie krępujcie się, panowie, cieszę się, że jesteście wszyscy razem. Przynajmniej zaoszczędzę sobie czas, nie będę musiał odwiedzać każdego z was z osobna. Dla mnie korzyść – pokpiwał subtelnie komisarz.

Widział, jak powoli odzyskują równowagę i wrodzony optymizm. Wprawdzie każdy z nich zastanawiał się, jaki interes może mieć do niego policjant, ale przypuszczali, że chodzi tylko o uzupełnienie zeznań, jakieś niewielkie korekty. Nic więcej. Największe obawy miał Eligiusz. Miał świadomość, iż nadal nie została wyjaśniona sprawa sprzedaży fantów na

Allegro. Zastanawiał się, czy w razie pytania o nie, iść w zaparte i zasłaniać się niewiedzą, czy po prostu wyznać komisarzowi kompromitującą go prawdę. Tak się kręcił w swoim fotelu, że na pierwszy rzut oka widać było jego niezupełnie czyste sumienie. Komisarz na razie udawał, że niczego nie dostrzega. Dopił kawę, odstawił na bok malowaną w złociste esy-floresy filiżankę z talerzykiem, dołożył łyżeczkę i powiódł wzrokiem po usadowionych wokół starszych panach.

– Było miło, panowie, ale się skończyło. Kończymy życie towarzyskie, a zaczyna się praca, to znaczy ja przystępuję do pracy. – Wyciągnął z kieszeni dyktafon, położył go na stole i włączył. Nie miał głowy do notowania, a co powiedziane, to powiedziane. Nikt się nie wykręci. – Cofnijmy się do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego. Z czym wam się ten rok kojarzy? – Policjant utkwiał badawczy wzrok w siedzących jak myszy pod miotłą mężczyznach. Żaden z nich nie rwał się do odpowiedzi. Wyglądali jak skarceni uczniowie w ławkach. – Nic nie pamiętacie? A mówią, że im człowiek starszy, tym lepiej pamięta odległe czasy. – Charakter komisarza nie był pozbawiony złośliwości.

– Ależ przecież pamiętam! – wykrzyknął niemal Antoni. – Dlaczego miałbym zapomnieć. Wizyta naszego papieża w Krakowie. Pamiętam, jakie tłumy były. Bogu dziękujcie, Ducha nie gaście, o tym nasz papież mówił. Pamiętam tę radość, to oczekiwanie na jego przyjazd do kraju. Potem, przed naszym wyjazdem do Krakowa, spać nie mogłem, tak się tym przejmowałem. Letni czerwiec, co to za miesiąc był! Boże, co to było za przeżycie! Z niczym nie da się porównać. Ci ludzie idący całymi rodzinami, rozśpiewani. Moja Basia jeszcze wtedy dobrze się czuła, razem pojechalśmy do Krakowa pociągiem, napchane było do granic możliwości. Ach! Łza się w oku kręci!

– No tak, panie Antoni, i z czym jeszcze się panu ten rok kojarzy?

– Jeszcze? Ładne lato było... A! Pewnie o to panu chodzi... – przypomniało mu się coś.
– O ten mój wyjazd do sanatorium.

– Zgadza się, ale nie tylko. No to niech pan mi najpierw powie, jak to było z tym wyjazdem do sanatorium.

– Ano normalnie. Złożyłem podanie do Bielska, poczekałem trochę, kiedyś to wszystko szło szybko, nie tak jak teraz. Teraz, jak w końcu namówiłem moją panią doktor, żeby mi dała skierowanie do sanatorium, i załatwiłem wszystkie pieczątki, to okazało się, że pojedę najwcześniej za półtora roku. A czy ja będę żył za półtora roku? W głowie mi się nie mieści taki tryb załatwiania sprawy. Na kardiologa czekaj człowieku ponad pół roku. Co on mi za pół roku pomoże? No chyba żeby prywatnie, a na prywatnie to ja nie mam pieniędzy. Leki drogie, wszystko drogie, trzeba się na tamten świat zbierać – rozżalił się zarządca

cmentarza.

– Ja to wszystko rozumiem, też uważam, że problem goni problem, a człowiek, żeby się leczyć, musi być zdrowy, ale, panie Antoni, nie o to mi chodziło. Wracamy dwadzieścia jeden lat do tyłu. Pojechał pan do sanatorium. Dokąd?

– Do Szczawnicy. – Antoni na to wspomnienie aż się uśmiechnął.

– I tak pan beztrząsco pojechał i zostawił cmentarz na pastwę obcego? – podpuścił go komisarz.

– Ale jakiego obcego? – Zamyślony pan Antoni nie dostrzegał mrugania kolegów. Zdawał sobie sprawę, że komisarz i tak powoli dotrze do tego, co on wie, a przecież wiedział tak niewiele. Z nikim nie zamierzał dzielić się swymi domysłami. Przez kilka chwil starsi panowie urządzali małpi gaj. Robili miny, pochrząkiwali wyraziście. Nie docierało. Pan Antoni pogrążył się we wspomnieniach.

– Z Bożkiem razem śpiewaliśmy w chórze kościelnym. Znałem go od lat. Trudno mówić, że pozostawiłem cmentarz obcej osobie. Nie zostawiałem go samego, z tego, co pamiętam, miał mu pomagać jakiś kuzyn, poza tym grabarze byli na miejscu. U nas wiadomo jak jest. Jednego dnia spokój, a na drugi trzy pogrzeby, masa spraw, telefony. Człowiek musi się spręzać. Zresztą nie rozumiem, o co chodzi. Jak przyjechałem, było wszystko w porządku. Bożek na miejscu, żadnych zaległości. Ja naprawdę zapomniałem o tamtym wyjeździe, dopiero potem, jak zacząłem myśleć, to przypomniało mi się, że to było właśnie w tamtym roku. Pamiętam jak dzisiaj, przyjechałem wieczorem, cieszyłem się, że jestem w domu, a na następny dzień rano poszedłem na cmentarz. Bożydar już był na miejscu. Wydawał się zaskoczony, że tak szybko wróciłem, ale coś mówił, że mu się daty poplątały. I jeszcze jedno, może to będzie ważne. Pytałem go o tego pomocnika. To miał być ktoś z rodziny. Powiedział, że owszem był młodszy kuzyn, ale pojechał do siebie, do domu. Bożydar był samotny, mógł do niego przyjeżdżać, kto chciał i kiedy chciał, nic innym do tego.

– Nie pamięta pan nazwiska tego kuzyna?

– Ja nawet imienia nie znałem, zaufałem.

– I nic dziwnego, nietypowego, pan nie zauważył? – naciskał komisarz.

– Ano nie. Może... – Antoni zawahał się. – Tak jak teraz sobie myślę, ale nie... – Machnął ręką. – Nieważne.

– A jednak...

– Cement mi się nie zgadzał.

– Cement? – Komisarz był zaskoczony.

– No właśnie, bo jak przyjechałem, obszedłem wszystko, sprawdziłem nowe groby,

niedużo tego było, i poszedłem oglądać wylewkę przy kaplicy. Na to mieliśmy odłożony cement, tylko że ten cement miał starczyć na całość robót dookoła kaplicy, bo strasznie było popękane. Jak przyszedłem, to byłem bardzo zaskoczony. Cementu nie zostało ani pół worka, a wylewka zrobiona może w połowie. – Antoni zamyślił się. – Prawdę mówiąc, nie chciałem się czepiać. Bożek zrobił mi uprzejmość, zastąpił mnie w pracy, zrobił tę wylewkę, a nie musiał, pomyślałem, że potrzebował, to wziął. Nie wracałem do sprawy, zresztą potem rzadko żeśmy się widywali.

– A adres zapewne pan pamięta?

– Tak, tutaj blisko.

– To proszę.

– Ano jak pan wejdzie na cmentarz, skróci pan w lewo, przejdzie pan...

– Zaraz, zaraz, to on nie żyje? – zdumiał się komisarz.

– No tak jak większość naszych kolegów – powiedział ze smutkiem Antoni. – Z tym że Bożek nie miał szczęścia, samochód potracił go na pasach tak pechowo, że uderzył głową w krawężnik. Trup na miejscu. Sam go chowałem.

– A w którym roku to było?

– W tym samym, już w zimie, końcówka listopada, może grudzień. Datę będzie pan miał na grobie.

– Z tego wynika, że nie musimy go szukać. – Komisarz sięgnął po telefon i po chwili rozmawiał ze stażystą. Ten, jak zawsze uparty, nie mógł zrozumieć, że z nieboszczykiem nie porozmawia. W końcu umęczony komisarz wyraził zgodę na poszukiwanie i przepytanie w razie odnalezienia byłych sąsiadów Bożydara Kępińskiego. A nuż coś któryś z nich pamięta?

Antoni siedział zamyślony. Wspominał dawne czasy. Tak to jest, jak człowiek o czymś nie myśli, to tak jakby zapomniał albo wręcz tego nie było, a potem jedno zdanie, jedna sytuacja i przed oczami przesuwiają się korowody wspomnień. Myślał o ukochanej żonie – było im ciężko, ale żyli sobie razem, to on trochę stękał, to ją coś tam łapało, ale nie było źle. Kochali się i wspierali, jak mogli i umieli. Był wdowcem od długich siedmiu lat, ale ani na moment nie zapomniał o niej. Mógł sobie czasem w towarzystwie kolegów przejrzeć jedną z tych gazetek dla prawdziwych mężczyzn, ale żony nie zdradził nigdy i nadal nie miał takiego zamiaru. Nie bardzo rozumiał, o co chodziło komisarzowi z tym jego wyjazdem, i w myślach nadal śledził cały dziewięćdziesiąty pierwszy rok. Już wiedział, że nieboszczyk Siersza-Janicki został pochowany na jego cmentarzu poza jego plecami. W tajemnicy. Co się wtedy jeszcze wydarzyło? Popatrzył na nadal cicho siedzących kolegów. Może wtedy, gdy go nie było? Może coś przeoczył? Ten cement. Będzie musiał sprawdzić, ale to dopiero jutro.

– Który z panów następny chętny do rozmowy? Może pan Alfredo?

– Jeśli można, to prosiłbym Alfredo.

– Można.

– Co ja mogę pamiętać? – Alfredo grał na zwłokę. – Papież był...

– To wiemy. Co jeszcze?

– Żona mi wyjechała.

– I właśnie doszliśmy do sedna sprawy – ucieszył się komisarz. – Żona panu wyjechała. A kiedy wróciła?

– Nie wróciła. Rozwiedliśmy się.

– A dlaczego się rozwiedliście? – komisarz drażył temat.

– A dlatego, że moja żona uważała, że się pomyliła. Tak, panie komisarzu, niech pan tak na mnie nie patrzy, mogę panu tamten list od żony pokazać. Napisała, że nasze małżeństwo było pomyłką, że ludzie powinni sobie ufać, a ja jej nie ufałem. Poza tym uważała, że ją zdradzałem. Jedna czy druga służbowa kawa zdrady nie czyni – zachnął się Alfredo. – Tłumaczyłem, prosiłem. Jak grochem o ścianę. Rozwód i tyle. Dopiero teraz, po latach wróciła i namieszała między nami tak, że głowa boli. Powiem panu prawdę, komisarzu, wiem, że zabrzmiało to co najmniej dziwnie... No co się tak gapicie, stare dziadki?! – Nerwy Alfreda nie wytrzymały. Koledzy patrzyli na niego, jakby go pierwszy raz na oczy widzieli.

– Spokojnie, spokojnie, niech pan się opanuje – komisarz łagodził sytuację. – To prawda, że najlepiej wszystko z siebie wyrzucić. Niech pan opowiada.

– No więc co ja miałem... dostałem prawie szoku, gdy zobaczyłem Amelię po latach. Zmizerniała, zeszczupiała, ale nadal była ładna. Czarująca i elegancka, dama w każdym calu. Spotkaliśmy się przypadkiem na Rynku. Wie pan, kawa, wspominki, Amelia ani jednym słowem nie wracała do przeszłości. Nie chciała żadnych wyjaśnień, sama też się nie tłumaczyła. Zorganizowała nam wieczór włoski.

– Jakie żarcie wtedy było! – westchnął z lubością Eligiusz. – Coś obłądnego.

– Tak... Amelia zawsze lubiła gotować – potwierdził z dumą Alfredo. – I wracając do rzeczy, Amelia poznała wszystkich i okręciła nas sobie wokół palca. Potem to zaczęło być trochę dziwne. Wypytywała nas o różne, czasami mało istotne sprawy, o to, jakie zawody wykonywaliśmy, gdzie pracowaliśmy... Wypytywała o ludzi, którzy od dawna nie żyją... O! O tego twojego Bożka też pytała, nawet w pierwszej chwili nie skojarzyłem, bo ja go słabo znałem. Nawet nie wiedziałem, że nie żyje.

– Czyli reasumując, zorientowaliście się panowie, że pani Amelia w tych wypytywaniach ma jakiś cel, tylko nie bardzo wiedzieliście jaki.

– Zgadza się, panie komisarzu – przytaknął Eligiusz. Zawahał się, poprawił idealnie zawiązany krawat i zaczął: – Pan rozumie, panie komisarzu, że ja święty nie jestem, takie życie, ale na biednych nie trafiało. Te fanty, te, co to na Allegro były wystawione, dałem Amelii. Wie pan, starszy człowiek jestem, wydawało mi się, że może... Ale to tylko tam takie zwidy staruszka.

– Ależ panie Eligiuszu, jakiego staruszka?!

– Wiem, co mówię. Sztuczna szczeka, okulary i zaraz aparat słuchowy. Zgaga mnie łapie, lumbago mnie trzyma, z czym do takiej młodej, atrakcyjnej kobiety? Nie powiem, zakręciło mi się w głowie, ale już jest okej. Tylko te fanty to chyba jednak ona wystawiła.

– Ej, Lidek, jak ci nie wstyd? – skarcił kolegę Wincenty. – W życiu nie uwierzę. Masz po prostu sklerozę i tyle. Nie zwalaj na kobietę i to taką!

Wincenty nadal był pod urokiem Amelii i choćby widział, że Włoszka postępuje niezgodnie z prawem, to i tak by nie uwierzył. Był w nią ślepo zapatrzony.

Komisarz zastanawiał się, co może im powiedzieć. Na razie milczał, grzebiąc w zimnych już fusach. Postanowił spróbować. Odnosił wrażenie, że siedzący przed nim mężczyźni kompletnie nie kojarzyli włamania do jublera w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Tak jakby nic się wtedy nie wydarzyło albo rzeczywiście nic nie wiedzieli, a przecież nawet gdyby w prasie nie ukazała się żadna wzmianka, to wieść szeptana funkcjonowała i dzięki zasadzie „przekaż dalej” całe miasto wiedziało, co się działo w nocy z czwartku na piątek.

W salonie zapadł zmrok, nikomu nie chciało się wstać, by włączyć światło. Atmosfera przyklapła i zrobiła się senna. Powoli dochodziło do nich, że są tylko mocno starszymi panami i niestety już nie podskoczą. Wieku nie oszukają. Chociaż długo im się to udawało. Zresztą komisarz pierwszą młodość też już ma za sobą, pomyślał mściwie Kamilski. Za dziesięć, dwadzieścia lat sam zobaczy, co to starość. A teraz, no cóż, porozchodzą się do własnych domów, każdy położy się w swoim łóżku i będzie się starał zasnąć, nie myśląc o niczym. Eligiusz tak się zamyślił, że dopiero gromkie „Lidek, obudź się!”, wyartykułowane przez zaniepokojonego Wincentego, przywróciło go do rzeczywistości.

– Tak, tak, a o co chodzi? Wychodzicie? – zapytał z nadzieją.

– Nie wychodzimy. Jeszcze. Pan komisarz pyta o włamanie z dziewięćdziesiątego pierwszego – powiedział nerwowo Wincenty. Zaczynał się domyślać, o co może chodzić komisarzowi. Ten to miał nosa.

Kamilski zareagował błyskawicznie.

– To nie ja! W dziewięćdziesiątym pierwszym akurat miałem pecha, siedziałem, panie

komisarzu. Wyszedłem w dziewięćdziesiątym trzecim. Jak wróciłem, to dawno było po sprawie. Tam było tak dziwnie... – Wysilił pamięć. – Tak... kumple mówili, że nie wiadomo kto to zrobił, bo nie z branży. Nikt nic nie wiedział, aż tu nagle taki skok. Zgarnęli biżuty na ciężki szmal. Tylko bieda, że nie wiadomo, gdzie to przepadło. Tak mówili kumple, ale to było całe lata temu. – Kamilski z wysiłku zmarszczył czoło i zmierzwił sobie już i tak mocno przerzedzone włosy.

– Zgadza się, całe lata temu. – Komisarz wyprostował zdrętwiałe od siedzenia na niewygodnym krześle plecy i przeciągnął się. Eligiusz Kamilski bezwiednie potwierdził to, co on sam podejrzewał. Wstawał już, gdy przyszła mu jeszcze jedna myśl do głowy. – Panie Kamilski, mam z panem problem.

– O Boże, jaki? – Eligiusz był już cały wystraszony.

– No taki, że w zasadzie powinienem pana zatrzymać. Przyznał się pan do handlu fantami z kradzieży, inaczej mówiąc do paserstwa, ale... – przerwał, widząc minę Kamilskiego – ale zamierzam to puścić w niepamięć. Pod jednym warunkiem. Potrzebny mi jest ktoś, kto pamięta dokładnie, co się wtedy działo, co się mówiło i kogo wasze środowisko podejrzewało. Jak się pan postara o te informacje, to ja zapomnę o sprawie.

– To może pan nie zapominać. – Kamilski był zrezygnowany. – Większość moich kumpli z tamtych czasów już nie żyje, roczniki mocno przerzedzone. Rozglądnę się, ale tak na już nie przypominam sobie nikogo. Mnie wtedy nie było. Może któraś z żonek będzie coś pamiętała, ale naprawdę nie gwarantuję. – Stary złodziej rozłożył ręce. – Sprawa prawie beznadziejna.

– Prawie nie oznacza, że się nie da. Zgoda. – Komisarz zmobilizował siły, by podnieść się z krzesła bez jęknięcia. Coś ostatnio nie mógł zbyt długo siedzieć. Czyżby to był efekt przejażdżek rowerowych? Dzieci nie narzekały, żona zadowolona, nawet Zygmunt raz się z nimi wybrał i też był zadowolony, a jego jak na złość coraz częściej tylna strona ciała bolała. Zdecydowanie musi więcej ćwiczyć, postanowił i prawie serdecznie pożegnał się z przepytanymi mężczyznami. Rażnym krokiem wyszedł przed dom. Do furki miał blisko, coś około dziesięciu metrów. Nie zamierzał wstępować do teściów. Wprawdzie teścia lubił bardzo, a i teściowa też mu się nie najgorsza trafiła, to jednak teraz szkoda mu było czasu. Czekala go jeszcze rozmowa z najbliższym kolegą. Bał się.

* * *

Amelia stała niezdecydowana przed drewnianą, pamiętającą przedwojenne czasy szafą. Naprzeciw miała swoje odbicie w elipsowato wykrojonym lustrze. Wyglądała coraz

gorzej. Nękająca ją choroba czyniła spustoszenie w organizmie i na nic się zdały zapewnienia jej lekarza, że nic takiego się nie dzieje, że to normalne objawy przekwitania, a nie żaden nowotwór. Może gdyby udało się jej odzyskać biżuterię z włamania, to miałaby pieniądze na skuteczniejsze leczenie, na lepszą klinikę, a tak pozostawało bierne czekanie. Była zdezorientowana, bo żaden z lekarzy, których odwiedziła, nie chciał jej powiedzieć prawdy. Jej prawdy, o jej zdrowiu.

Była sama na siebie zła, że się łudziła. Miała nadzieję, że może Eligiusz coś wie, może Antoni coś zauważył. Sama nie wiedziała co. Wymaglowała każdego z nich dokładnie. I nic. Aż się zastanawiała, czy się czasem nie umówili. Ale może naprawdę nic nie wiedzieli?

Alfredo pieniędzy nie miał. Widziała, jak odlicza na rachunki, na życie, na leki. Zachował pozory starszego, zadbanego, światowego pana, ale były to tylko pozory. Wincenty był wprawdzie wpatrzony w nią jak w obrazek, pieniądze na pewno miał, ale były to bardziej pieniądze rodziny niż jego. To syn teraz prowadził zakład i trzymał kasę. Kamieniarz swoją emeryturę oddawał w całości żonie. Widać było, że pieniądze niewiele go obchodzą. Antoni nie wchodził w grę. Żył niebywale skromnie, a wszystkie siły poświęcał na pracę. Był dobrym, nadal oddanym żonie człowiekiem. Na niego niestety nie mogła liczyć.

Eligiusza oskubała, jak umiała. Dzięki tym pieniądzom mogła sobie pozwolić na wizytę u znanego specjalisty. Może nie powinna była do niego chodzić. Czasami lepiej żyć w nieświadomości. Za ciężkie pieniądze utwierdził ją w przekonaniu, że jest nieuleczalnie chora, a zostało jej już tak mało czasu, że nawet gdyby odnalazła biżuterię, to zanim by ją sprzedała, załatwiła wszystko... No nic, musiała wyjechać do domu, do Sorrento i to natychmiast. Nie było się nad czym zastanawiać. Chyba że... Zawsze pozostawało jej jeszcze jedno wyjście.

Otworzyła szafę i zaczęła systematycznie wyciągać wszystkie pedantycznie poukładane ubrania. Po chwili podwójne, drewniane łóżko było zasłane różnokolorowymi sweterkami, spódnicami i szalami. Od lat nie nosiła spodni, sukienki miała raptem dwie, wyjściowe. Stała przy łóżku i patrzyła na ten różnokolorowy stos. Czuła się tak niesamowicie bezradna, opuszczona i tak beznadziejnie nieszczęśliwa, że w końcu nie wytrzymała i zaczęła rozpaczliwie płakać. Mieszkała sama, mogła sobie pozwolić na moment załamania. Po chwili, nie panując nad płaczem, usiadła na brzegu łóżka. Przez zasłaniające twarz dłonie spływały strumieniami łzy. Położyła się na prawym boku i przytuliła do mokrej twarzy ulubiony, niebieski sweter.

Chciała tylko płakać i płakać, rozczulając się nad sobą i niesprawiedliwym losem. Nigdy nie miała w życiu szczęścia. Nie powinna była wyjeżdżać z Sorrento, ale Alfredo tak

namawiał, tak obiecywał złote góry, taki był zakochany! Była pod wrażeniem jego miłości, zgodziła się. Wzięli ślub, a w niecałe pół roku potem spotkała tamtego i już nic nie było tak jak dawniej. Amelia zanosła się szlochem, półprzytomna z bólu i nieobecna. Wiedziała, że lekarz miał rację. Przecież i tak nie miała dla kogo żyć.

* * *

Sebastian Kloc dojrzywał do podjęcia decyzji. Od kiedy zaczął pisać wiersze, stał się całkiem innym człowiekiem. Pił od dwudziestu lat, dzień w dzień, noc w noc, do nieprzytomności, do utraty tchu, byleby tylko zapomnieć. Tak było na początku. Potem naprawdę zapomniał, dlaczego pije, i pił normalnie, obojętnie i systematycznie doprowadzając swój niespełna czterdziestoletni organizm do ruiny. Ocknął się, gdy wylądował w szpitalu psychiatrycznym z atakiem delirium tremens. Tak nim trzepało, że przysłowiowe białe myszki urządzały sobie marszrutę po jego ciele wzdłuż i wszerz. Spadł na samo dno i nie miał innego wyjścia, tylko musiał się z tego dna podnieść. Szpital psychiatryczny to był koszmar, o którym za wszelką cenę chciał zapomnieć, ale niepokorna pamięć co i rusz przywodziła mu obrazy kobiet i mężczyzn czołgających się po korytarzu, leżących krzyżem, wrzeszczących głosem opętanym przez demony. Wśród tych kobiet i mężczyzn widział siebie, tak samo leżącego, czołgającego się i wrzeszczącego wniebogłosy. Zniszczył sobie alkoholem życie. W szpitalu spędził trzy miesiące, leczony z uzależnienia. Wypruł esperal. Nie chodził na spedy anonimowych alkoholików. Pił, ale umiarkowanie. Wiedział, że jest chory, ale wiedział również, że bez alkoholu nie wytrzyma. Żeby się czymś zająć, zaczął pisać. Najpierw prozę, ale nie wychodziło. Pisał mroczne, pełne zagmatwanych wątków opowiadania, z którymi zazwyczaj utykał w połowie. To nie było to, o co mu chodziło. Tak się męczył dość długo, aż któregoś dnia napisał wiersz – spodobało mu się. Gdy pisał, dużo mniej pił, uczył się na nowo języka polskiego. Podobno w szkole nie był najgorszy, ale kiedy to te lata szkolne były... Napisał jeden wiersz, potem następny, zaczął więcej czytać. Zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie będzie drugim Tuwimem czy Gałczyńskim, nie ta półka, ale co mu szkodziło spróbować. Może akurat ktoś przeczyta, spodoba się, sprawi komuś przyjemność. I tak od wiersza do wiersza, Sebastian Kloc rozwijał poezji skrzydła, stając się całkiem innym człowiekiem. Zapomniał, dlaczego zaczął pić, a nawet zapomniał o swoim dawnym życiu. Lubił sobie wstąpić do komendy, do chłopaków, wierszyk im wyrecytować, wysłuchać pochwały albo, co dużo rzadziej, przygany.

Jedyną pamiątkę z dawnych czasów miał stale przy sobie. Zdawał sobie sprawę z tego, że powinien się go już dawno pozbyć, ale był taki poręczny, że przyzwyczał się i wszędzie

go ze sobą nosił. Teraz już i tak było za późno, Amelia wróciła i cała przeszłość stanęła mu przed oczami. Czuł się niewinny, nie miał najmniejszego wpływu na przebieg tych jakże tragicznych wydarzeń, ale wiedział, że jedyne, co może usłyszeć, to to, że tak mówią ludzie słabi, bez charakteru. Że ją zawiódł, że nie zrobił wszystkiego. Miałaby rację. Czuł, że powinien był zrobić wszystko, aby go uratować, ale nie zrobił najważniejszego, nie sprowadził pomocy i pozwolił mu umrzeć.

Sebastian rozejrzał się po swoim bardzo skromnie urządzonej pokoju. Większość meblowania stanowiły sprzęty znalezione na śmietnikach albo w śmieciach wielkogabarytowych. Było czysto, a drewniana podłoga pachniała płynem do parkietów. Był to jeden z nielicznych luksusów, na jakie sobie pozwalał. Lubił ten zapach. Przy oknie miał ustawione stare, pamiętające lata pięćdziesiąte biurko. Na nim monitor i klawiatura do komputera. Powinien zostawić przeszłość za sobą i nigdy już do niej nie wracać. Teraz liczyła się tylko książka. Zbiorek poezji, jak dobre wino, powoli dojrzewał.

* * *

Wyszedłszy od Kamilskiego, komisarz zamierzał jechać prosto do domu. Znowu było po dwudziestej i znowu czekało go jedzenie obiadu na kolację. Zdawał sobie sprawę, że niestety daleko mu do idealnego męża. Kwaciarnie już były zamknięte, ale co szkodziło wstąpić do sklepu po dobre wino. Żonie należała się rekompensata za samotny wieczór. Podjechał do Kauflandu, tu było mu zdecydowanie najbliżej, poza tym w dziale z alkoholami zawsze był spory wybór. Miał problemy ze znalezieniem wolnego miejsca do parkowania, pod koniec tygodnia wszystkie były zajęte. Miał szczęście, chwilę czekał, aż taki jeden, kombi, wycofa się ślamazarnie, i wjechał na jego miejsce popędzany trąbieniem zniecierpliwionych kierowców. Zgasił silnik i odetchnął z ulgą. Też mu się zachciało przeżyć ekstremalnych.

Nie biorąc wózka, wszedł do środka i zawahał się. Miał przed sobą otwartą kwaciarnię. Kwiaty czy wino? – zastanawiał się intensywnie. Jednak lepsze będzie wino, przynajmniej on też skorzysta. Wziął czerwony koszyk na kółkach i skierował się w stronę stoiska z alkoholami. Przeglądał po kolei różne butelki, nie mogąc zdecydować się na jakiś konkretny trunek, gdy wtem ktoś złapał go za łokieć. Komisarz oglądnał się, nie lubił zbytniej poufałości. Za nim stał Sebastian Kloc. Czerwony koszyk miał już w części wypełniony flaszками, głównie winem. Minę miał niewyraźną i wzrok cokolwiek błędny.

– Dobry wieczór, panie komisarzu. – Kloc zawsze był uprzejmy. – Jakiegoś konkretnego winka pan szuka czy może doradzić?

– Oj, Seba, Seba, słyszałem, że miałeś ciężki dzień. – Komisarz pokiwał głową ze współczuciem.

– Lekki nie był, ale kto powiedział, że życie ma być lekkie, łatwe i przyjemne? – filozoficznie stwierdził poeta, jednocześnie wyciągając rękę w kierunku obficie zaopatrzonych półek. – O, tego niech pan kupi. – Podetkał pod nos komisarza całkiem ładnie wyglądającą butelkę.

– Dornfelder, pierwsze słyszę. Myślałem, że może tokaj...

– Na wielu rzeczach się, komisarzu, nie znam, ale na winie i owszem. Dobre wino za przyzwoitą cenę.

– Za przyzwoitą?! Dwanaście złotych to patykiem pisane!

– Jakim patykiem, pan kupi, pan spróbuje, to już pan go będzie kupował. Dla pewności niech pan sobie tokaj weźmie, też dobry – ocenił Kloc i ruszył przed siebie.

Komisarz po krótkiej chwili wahania sięgnął po butelkę, pooglądał, popatrzył pod światło. Ciemne szkło, czarno-złota etykieta. Ożegalski nie znał się na winach i kupował na chybił trafił. Więcej było tych chybił niż trafił. Z kolei Kloc się znał... A właśnie, skoro on tu jest, to jeszcze jedną sprawę z nim załatwi.

– Panie Sebastianie! – Komisarz rozglądnął się dookoła. Kloc mu zniknął pomiędzy regałami. Układająca towar na półkach ekspedientka zwróciła uwagę na nagle zdeorientowanego mężczyznę.

– Tamten pan już poszedł – poinformowała go. – A wino bardzo dobre, naprawdę.

Po takiej radzie komisarzowi nie pozostawało nic innego, jak tylko zakupić wino i liczyć na to, że jeszcze gdzieś, może w okolicy kas, odnajdzie poetę. Niestety po Sebastianie nie było ani śladu. Za to wino okazało się naprawdę bardzo dobre, a żona mocno zaskoczona tym, że pamiętał o rocznicy.

Komisarz przez dobre parę minut głowił się, nie mogąc dojść, o jakiej to rocznicy pamiętał. Okazało się, że chodziło o datę oświadczyn. Kompletnie zapomniał, więcej, wydawało mu się, że oświadczał się przyszłej małżonce w okolicy września, ale nie zamierzał burzyć dobrego nastroju w domu głupim podważaniem racji żony. Skoro lipiec, to niech będzie lipiec, on się zgadza.

Wieczór przeszedł tak szybko w noc, że komisarz odłożył wszelkie problemy na następny dzień. Nawet jemu należała się chwila wytchnienia, zwłaszcza że zaczynając sprawę podwójnego nieboszczyka, nawet przez moment nie pomyślał, iż zajmie mu to aż tyle czasu, a po wtóre, że dogrzebią się do tak dawnych i jednak nieprzyjemnych spraw. Wolałby tej rozmowy koledze zaoszczędzić, nawet nie ze względu na jakiegokolwiek podejrzenia – Darek

był zawsze bezwzględnie uczciwy. Ze względu na wspomnienia, nie chciał, by wracał do czasów, gdy umierała mu żona. Niestety nie miał innego wyjścia. Pomyślał, że najlepiej będzie, jeżeli zaprosi Darka na obiad. Uzgodnił z żoną zaproszenie kolegi, nie mówiąc jej dokładnie, o co chodzi. Pamiętał, że zawsze gdy Darek przyjeżdżał, żona, owszem, trochę z nimi posiedziała, ale potem pozwalała im porozmawiać na osobności. Nadal liczył na jej takt, wyrozumiałość oraz dyskrecję.

Noc miał tak upojnie różną od poprzednich, że nawet nie zajrzał do ostatnio czytanego Akunina. Odplynął pamięcią od codziennych problemów i oddał się beztroskim ekscesom uprawianym z żoną. Też im się coś od życia należało.

* * *

Aspirant Maciejak ubrany w swój najlepszy wyjściowy, grafitowy garnitur, pod krawatem i z bukietem frezji w rękę podążał w kierunku ulicy Szpitalnej. Dochodziła czternasta, a aspirant chciał być nie tylko elegancki, ale także punktualny. Za minutę czternasta stanął przed drzwiami wejściowymi i nacisnął przycisk domofonu z nazwiskiem Kranc. W chwilę potem usłyszał charakterystyczne pyknięcie i pchnął ciężkie, metalowe drzwi broniące dostępu do klatki schodowej.

Gospodyni otworzyła mu ubrana w elegancką, biało-czarną suknię, ze sznurem pereł zawieszonym na szyi. Do kompletu brakowało tylko czarnego albo białego kapelusza i rękawiczek. Wypisz, wymaluj babcia Felicja, gdy wybierała się z elegancką wizytą. Prawie identyczne czarne czółenka i siwe włosy zaczesane do tyłu i zebrane w kok. Przywitani się serdecznie, a kwiaty zrobiły na gospodyni odpowiednie wrażenie. Pani Emelina zachowywała się w stosunku do niego bardzo miło, ale instynktownie wyczuwał jakiś dystans, ostrożność i, co go zastanowiło, smutek. Czyżby panią Emelinę trapiło zmartwienie? Już, już miał zapytać, gdy poprosiła, by się rozgościł w stołowym pokoju – ona ma wszystko przygotowane, tylko nakładać i jeść.

Musiał przyznać, że pani Emelina talentem kulinarnym dorównywała babci Felicji, a nawet ją przewyższała. Taka świętokradcza myśl przeleciała przez głowę aspiranta przy cieście. Babcia piekła dobrze, ale nie aż tak dobrze. Już miał zacząć chwalać domowe wypieki, gdy okazało się, że gospodyni nie piecze wcale, za dużo zachodu dla jednej osoby. Akurat te ciasteczka orzechowe upiekła sąsiadka, a sernik, jedwabisty w smaku, to z piekarni. Tyle zachodu z pieczeniem, tyle czasu, a ona ciągle zajęta, dlatego korzysta z różnorodnej oferty cukierni i ma urozmaicenie na starość. Ale obiad gotowała osobiście – pietruszka zielona i marchewka wprawdzie nie z ogrodu, ale z pobliskiego sklepu spożywczego, bardzo

przyzwyczajonego zaopatrzonego.

Konwersacja nagle się urwała, skończyły im się tematy spożywcze i zapadła niepokojąca cisza. Aspirant, wodząc wzrokiem po obwieszonych obrazami wytapetowanych ścianach, czuł się niezręcznie, w końcu występował w charakterze gościa. Natomiast pani Emelina była nieco zadumana, trochę nieobecna, tak jakby całkiem odpłynęła myślami. Policjant po krótkim wahaniu podjął decyzję. Uznał, że po prostu da jej czas do namysłu, do zastanowienia. Okaze zaufanie. Zastanawiał się, w jaki sposób wybrnąć z sytuacji. Nie chciał być niegrzeczny, a nie wypadało zjeść i wyjść, tak jakby do jakiej garkuchni przyszedł. Mógł jednak wziąć Bartusia, kocur na pewno rozładowałby atmosferę. Pani Emelina wyglądała na osobę lubiącą zwierzęta.

– Mam kota – odezwał się.

– Pan też?

– A gdzie jest pani kot? Chętnie poznam – ucieszył się.

– A nie, ja nie mam kota – odpowiedziała gospodyni.

Popatrzył na nią zdezorientowany.

– Myślałam, że ma pan kota, ale w innym znaczeniu, no, że ma pan ała, kota na punkcie – tłumaczyła obrazowo.

– Och nie! Ja mam prawdziwego kota – obruszył się aspirant. – Jest świetny, na pewno by się pani spodobał.

– Ja wiem... nie przepadam za kotami. – Pani Emelina nie wykazywała entuzjazmu. – Cóż... Myślę, że panu powiem. Tak siedzę i myślę, ale ja już nic nowego nie wymyślę, a sytuacja jest co najmniej poważna. Rozmawiałam z Amelią i jestem bardzo zaniepokojona. Niech mnie pan posłucha uważnie i na razie nikomu nie powtarza tego, co powiem, no z wyjątkiem tego sympatycznego komisarza. – Westchnęła głęboko i wstała z krzesła, nagle zmęczona i postarzała o dekadę. – Ja i tak nie powinnam nic panu mówić, ale już jej nie potrafię pomóc, a co młodzi ludzie, to młodzi. Może wy znajdziecie wyjście z tej pogmatwanej sytuacji. Niech pan zaczeka. – Aspirant zamarł z otwartymi ustami. – Niech pan na razie nic nie mówi. To znaczy – zmitygowała się – może pan mówić, ale na inny temat. Ja w zasadzie jestem niepijąca, ale na specjalne okazje trzymam nalewkę z żurawin. Przyniosę kieliszki i porozmawiamy.

* * *

Darek Białek z zaproszenia na obiad ucieszył się bardzo. Wprawdzie był nieco zdziwiony, że tak na już, ale Oświęcim na końcu świata nie leżał i w ciągu czterdziestu minut

mógł dojechać. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz jadł domowy obiad, a argumentacja, że w ten sposób przyjaciel z żoną chcą uczcić jedenastą rocznicę zaręczyn, trafiła mu do przekonania. Spokojnie dokończył rozdział czytanej książki, potem wziął prysznic i zafundował sobie golenie z masażem twarzy plus układanie włosów. Lubił żonę przyjaciela i chciał wyglądać dobrze. Wyciągnął z szafy nowe, granatowe sztruksy i świeżą koszulkę polo. Może nie był to strój nadzwyczaj wyjściowy, ale nie jechał z wizytą do byłego komendanta ani tym bardziej do byłych teściów i mógł sobie pozwolić na odrobinę luzu. Skropił się delikatnie ostatnio kupionym bossem, pozamykał okna i drzwi i ruszył w drogę. Momentami ciągnęło go do Oświęcimia, tam się urodził i chętnie przeprowadziłby się z powrotem, ale do Andrychowa też się przyzwyczał. Przynajmniej miał gwarancję, że nie spotka na ulicy swoich byłych teściów, którzy do dnia dzisiejszego nie wybaczyli mu, że nie poświęcił więcej czasu chorującej żonie. Najpierw chciał im się wytłumaczyć, ale oni nie chcieli słuchać, potem on już nie miał siły tłumaczyć i unikał spotkań z nimi, kiedy tylko mógł. Gdy nadarzyła mu się okazja do przeprowadzki, nie zastanawiał się długo, tylko z niej skorzystał. I tak poleciały lata. Już na emeryturze poświęcił się niewinnej manii zbieractwa i pracy detektywistycznej. Co jakiś czas trafiało mu się zlecenie, które pozwalało podreperować finanse i czuć się potrzebnym. Nie związał się z żadną kobietą na stałe, chociaż święty nie był i co jakiś czas zdarzał mu się romans. Za każdym razem, gdy czuł, że zaczyna się angażować, zrywał znajomość i znowu uciekał w samotność. I tak na okrągło. Teraz całe szczęście był sam. Bez zobowiązań, mógł robić, co chciał, chociaż wiedział, że znowu na widok rodziny przyjaciela poczuje w sercu ukłucie zazdrości i pomyśli niesprawiedliwie, że niektórzy to mają szczęście. Wszystko poukładane jak w zegarku. No cóż, niektórzy tak mają. On niestety nie.

Zanim się zorientował, już minął Grojec i powoli wjeżdżał na teren Oświęcimia. Teraz tylko jeszcze kawałek prosto, potem na rondzie skręt w prawo, kawałek Zaborską i już dojeżdżał do domu kolegi.

Obiad był prima sort, a rozmowa na tematy aktualne toczyła się gładko. Głównie opowiadała żona Sławka: o szyciu, o klientkach, które wiedzą dokładnie, czego chcą i przychodzą ze zdjęciami modelek w sukniach od Versace albo od Diora i żądają takiej samej sukienki dla siebie. Ona im oczywiście tłumaczy, że owszem, może im uszyć coś podobnego w kształcie, kroju i materiale, ale identyczne to nie będzie. Poza tym czasami ma piekielny problem, jak powiedzieć kobietom o wadze siedemdziesiąt plus plus, że niestety te ubrania są szyte na modelki i na osoby o figurze modelek albo zbliżonej i jeżeli ktoś ma rozmiar czterdzieści sześć to nie będzie dobrze wyglądał w rzeczach na rozmiar trzydzieści cztery. To

jest po prostu niemożliwe! Ania Ożegalska wyglądała uroczo i była bardzo zabawna, gdy tak w powietrzu rękami kreśliła kobiece kształty. W sposób naturalny i nie na siłę. Białek tak się zapatrzył, że dopiero przyjacielskie szturchnięcie w bok wyrwało go z marzeń. Aż zrobiło mu się głupio. Żona przyjaciela to żona przyjaciela.

– Oj, my cię musimy zeswatać – zażartował komisarz, widząc, co się dzieje w jego sercu. – Ania ma całe mnóstwo koleżanek, zaraz zrobimy przegląd i znajdziemy ci odpowiednią partię. Prawda, kochanie? – uśmiechnął się do żony.

– Jak najbardziej, masz rację, ale to potem. Teraz ja was już przestaję zanudzać i... – nie zdążyła dokończyć, gdy usłyszała zgodne:

– Jakie zanudzać?

– Ja wiem swoje. Wy sobie pogadajcie, a ja zajmę się moimi sprawami. – Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju. Zamierzała wybrać się z chłopcami na spacer. Czuła, że mąż chce poważnie porozmawiać z Darkiem. Nie miała pojęcia o czym, ale wiedziała, że prędzej czy później się dowie.

Siedzieli przy małej ławie obficie zastawionej różnego rodzaju napojami. Białek nie pił od lat, a komisarz tylko od okazji do okazji, ale gdyby czasem mieli ochotę, to czym chata bogata. Ożegalski nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Cała ta sprawa z podwójnym nieboszczykiem wydawała mu się śmieszna i taka absurdalna. Nie wiedział, jak ją opowiedzieć koledze, żeby ten nie pomyślał, że mu jakiś nowy kryminał streszcza, tak to wszystko wydawało mu się wydumane i naciągane. Ale jednak zdarzyło się, nie pracował nad sprawą w pojedynkę, czyli nie miał omamów sam jeden, tylko grupowo, i wychodziło, że powariowali także Maciejak, Rokicki i chyba najbardziej to Buciek. Czyli coś było na rzeczy. Komisarz jeszcze chwilę powiercił się w wygodnym fotelu. Czuł się nieco nieswojo.

Białek siedział zamyślony, nieobecny. Czuł przez skórę, że na obiedzie się nie skończy. Miał nadzieję, że kolega dowiedział się czegoś interesującego o tamtej kobiecie. Dręczyło go poczucie niedosytu, ta świadomość, że nie załatwił sprawy do końca, że coś istotnego przegapił, a lata poleciały i teraz na wyjaśnianie czegokolwiek było już za późno. A wydawało mu się, że całkiem niedawno widział kobietę ze zdjęcia. Starszą, ale bardzo podobną. Widział ją przez ułamek sekundy, ale był pewien, że to ona.

– Ta poszukiwana przez ciebie kobieta ze zdjęcia to Amelia Scolari, była żona Rodkiewicza – wyrwał go z zadumy głos Sławka.

– A więc jednak...

– Jednak. Znalazłem stare akta, te z włamania do jubilera. Poza tym wiem, że pojawiła się u nas w mieście i szuka tej skradzionej biżuterii. Powiedz mi, dlaczego zostawiliście tamtą

sprawę. Jest relacja z miejsca zdarzenia, twoja i Edka, pamiętam go, porządny człowiek z niego był. Jest zgłoszenie kradzieży samochodu Rodkiewicza, jego zeznania. Ale jak tak przeleciałem te wszystkie dokumenty, to tam strasznie mało konkretów jest. Same ewidentne sprawy, tak jakby to był tylko opis zdarzenia, bez śledztwa. Nasuwa mi się całkiem konkretne pytanie. – Ożegalski wbił twardy wzrok w twarz kolegi. – Albo sprawie ukrecono łeb, bo podejrzewano, że jest w nią umoczony któryś z naszych, w co wątpię, ale różnie bywa... albo ty odpuściłeś i wtedy jest pytanie zasadnicze: dlaczego? Co się wtedy działo oprócz choroby Małgosi i tych różnych kłopotów związanych ze zmianami w firmie. Pamiętasz jeszcze?

Białek uśmiechnął się pod nosem i nalał do dwu kieliszków koniaku. Jeden postawił przed przyjacielem, drugi wziął do ręki.

– Napijmy się – powiedział.

Wypili koniak jednym haustem, by zagłuszyć resztę czających się w powietrzu pytań, a może by zagłuszyć odpowiedzi.

– Pytasz, czy pamiętam. No to ci odpowiadam, że pamiętam, pamiętam każdą sekundę tamtego dnia, tak jak pamiętam dni, które potem nastąpiły. Tego nie da się zapomnieć. – Uśmiechnął się gorzko i znowu sięgnął po pękata butelkę.

– Alkoholem wspomnień nie uciszysz.

– Ale łatwiej ci to wszystko opowiem. Pewnie myślisz, że coś z tego miałem?

– No co ty za głupstwa opowiadasz? – obruszył się Ożegalski, czując jak mu policzki podbiegają rumieńcem.

– Podejrzywałeś mnie? Przyjaciela? – ze zdziwieniem stwierdził Białek. – No cóż, twoje prawo i taka nasza praca.

– To nie jest tak, jak myślisz, nie podejrzewałem cię serio, tylko pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy, bo z akt nic nie wynika. Samo zdarzenie opowiedziane, udokumentowane i koniec. Ludzie gdzieś przepadli, biżuteria się rozmyła. To jest najciekawsze, że nie wiadomo, gdzie to się wszystko podziało, a my mamy nieboszczyka, którym może być jeden ze sprawców włamania. Ten, który dostał kulę i którego nie znalazłeś w żadnym ze szpitali.

– Więc to o niego chodzi?

– Właśnie o niego. Chcemy ustalić, kim był. Wprawdzie zlokalizowaliśmy tę Amelię, ale ona się na pewno wszystkiego wyprze, więc usiłujemy na własną rękę... Ten gruby w adidasach nie żyje. A właśnie, może ty będziesz wiedział, w jakich butach był ten młodszy, do którego strzelałeś.

– Ja do nikogo nie strzelałem – momentalnie zaprotestował Białek.

– Zapewne nie strzelałeś, ale wygląda na to, że go trafiłeś, skoro doktor Jastrząbek znalazł kulę w jego korpusie.

– Jak to?

– Właśnie tak. Ty tego nie wiesz, ale z naszego śledztwa wynika, że kula trafiła w tego uciekającego włamywacza i spowodowała jego śmierć.

– Ale ja przecież strzelałem do góry! I tak do końca nie byłem pewny, czy to kula była przyczyną upadku tego faceta. Myślałem, że może się potknął, zachwiał. Właśnie wtedy zgubił zdjęcie tej Amelii. Nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć, nie byłem nawet pewny tego, co niby na własne oczy widziałem. To, w jaki sposób... chyba że... – Białek zastanowił się, przepił łykiem koniaku i poprawił się w fotelu, który nagle zaczął go ze wszystkich stron uwierać. – Wiesz, jedyne wytłumaczenie to rykoszet od latarni. Nie widzę innego wyjścia. Trzeba by sprawdzić kąt padania.

– Czekaj, czekaj, ty masz dobry pomysł. Przydałoby się w terenie odtworzyć całą sytuację. Może wtedy łatwiej będzie to sobie wyobrazić. Pechowo Rynek rozkopany, ale nadal stoi w tym samym miejscu. Kamienice też te same, wprowadzie inne sklepy, ale to nie ma znaczenia. Coś tam dobudowali, coś tam zburzyli, ale i tak powinienes do jutra zostać, ten koniak tak szybko nie wyparuje. – Widząc zdumione spojrzenie Darka, komisarz usprawiedliwił się: – Ja ci koniaku nie żałuję, ale jazda po alkoholu... sam rozumiesz.

– Wiem, zostanę.

– To dobrze, weźmiemy ze sobą Zygmunta i odtworzymy sytuację. Powiem ci, że niepokoi mnie to, co powiedział Kamilski, że skok zorganizował amator, a przynajmniej żaden ze znanych mu złodziei. Środowisko nie miało pojęcia, kto to nadał. A łup był znaczny. W aktach nawet nie ma, jaka była jego wartość. A to przecież gruba kasa była. Po starych pieniądzech to chyba w miliardy szło. Wtedy jeszcze obowiązywały stare pieniądze. Pamiętasz, w którym roku była denominacja? – Komisarz też dolał sobie do kieliszka. Rzadko pijący, dzisiaj czuł się usprawiedliwiony, tak wobec siebie, jak i wobec żony. Rozmowa z Darkiem stanowiła przełom w śledztwie i była jakże cennym uzupełnieniem braków w ich wiedzy. Gdyby udało się odnaleźć zaginiony łup, to mogliby cieszyć się sukcesem. Na moment pogrążył się w marzeniach, by po chwili wrócić na ziemię i słuchać, co przyjaciel ma mu do powiedzenia.

– Ja wiem? Dziewięćdziesiąty czwarty, piąty... To było wtedy, gdy Balcerowicz poobcinał cztery zera i zbiednieliśmy momentalnie. Ale złoto wartości nie straciło, obojętnie jakie pieniądze by obowiązywały, złoto to złoto – podsumował Białek i zawahał się na moment. Widać było, że waży coś w myślach. – Ja ci powiem prawdę. – Dobrze wiedział, że

tylko Sławek może mu pomóc. Odstawił kieliszek poza zasięg ręki, wypił łyk kawy i wziął głęboki wdech. Westchnął i skrzywił się. – Tam było dużo nieścisłości i nawet miałem taką sytuację, że to mnie koledzy podejrzewali o kradzież. Wiesz, przez to, że zostałem sam w sklepie i to przez prawie pół godziny. Myśmy ten czas uzgodnili z Edkiem, ale zanim się to wszystko pozałatwiało... A Edek się nie spieszył. Ja nie tknąłem niczego, ale zostałem w sklepie sam, puściliśmy złodziei wolno, na szybko zakrywającej resztki biżuterii były moje odciski palców. Koledzy pewnie by mnie nie podejrzewali, ale pamiętam, jak przyszedł do komendanta ze skargą właściciel tego sklepu. Miał pretensje, że nic nie robimy, że pewnie kryjemy swoich. Mówił o jakichś naprawdę ogromnych ilościach tego złota, aż nie chciało nam się wierzyć, że miał pieniądze na taki towar. Potem odczepił się ode mnie i od Edka, ale smród pozostał, bo tej biżuterii rzeczywiście nigdzie nie było. Zapadła się jak kamień w wodę. Tak samo zniknęli złodzieje i samochód tego Rodkiewicza, zresztą bardzo sympatycznego faceta. Raczej nie przypuszczam, żeby wiedział o czymkolwiek.

– W aktach jest, że na miejscu zdarzenia były obecne trzy osoby. Ciekawy jestem skąd zdjęcie tej Amelii w tym wszystkim. Czy miała jakieś powiązania z którymś z uczestników włamania? Ponoć w noc wydarzenia jechała z przyjaciółką w kierunku Rzymu. Trudno w to uwierzyć, ale teraz wszystkie drogi prowadzą do niej. Wprawdzie z naszego śledztwa wynika, że najważniejszą osobą w grupie był Bożydar Kępiński, były sprzedawca w kiosku Ruchu, chórzysta, znajomy pana Antoniego. To właśnie Kępiński zastępował kierownika cementarza w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku i to właśnie on miał pomocnika, jakiegoś kuzyna.

– No to trzeba będzie pogadać z tym Kępińskim – ożywił się Białek.

– Z nim już nie pogadasz. Zginął w wypadku samochodowym, w tym samym roku, w którym miało miejsce włamanie. Myślę, że to on zabrał do grobu tajemnicę ukrycia fantów z włamania. Następnym poszukiwanym mężczyzną jest ten, który stał na świecy. Z opisu wygląda, że młody.

– Tak, zgadza się. To był młodziak, tak około dwudziestki, nie więcej. Pilnował okolicy i potem to właśnie on prowadził samochód. Prawie jak rajdowiec. Jak zawinął, to byś nie uwierzył, że to poczciwy duży fiat. Pewnie miał silnik podrasowany.

– Ale o tym Rodkiewicz nie wspominał ani wtedy, ani teraz w rozmowie ze mną.

– No nie wiem, ale pamiętam, co widziałem. Może któryś z włamywaczy miał coś wspólnego z warsztatami samochodowymi?

– O! To mielibyśmy nowy trop do sprawdzenia – ucieszył się komisarz i dodał: – Pamiętaj, że dla nas najważniejszy jest ten, który niestety zszedł i został odkryty jako drugi

nieboszczyk. O nim na razie nie wiemy nic.

– On miał takie charakterystyczne rysy. Taka twarz zapadająca w pamięć. Ja go jeszcze dosyć długo szukałem, to znaczy – Białek się spieszył – szukałem go nieformalnie, ot, szedłem ulicą i patrzyłem ludziom w twarze, byłem w restauracji, to się rozglądałem. Teraz wiem, że mogłem patrzeć do upojenia, skoro on już w tym grobowcu leżał. Poza tym... pytałeś, jakie on miał buty. – Zastanawiał się przez moment. – Tak mi się wydaje, że też adidas, błyskało mi takie białe. No normalnie, jak co drugi facet. Ale nie jestem pewien na stówę. Nie jestem pewien nawet pół na pół. Mógł mieć na tych nogach cokolwiek, nawet walonki z targu. A to jest naprawdę takie ważne?

– Trochę tak, bo wyobraź sobie, na dwóch nieboszczyków przypadła tylko jedna para butów, a to trochę za mało. Ustaliliśmy, że sandały należały do Aleksandra Sierszy-Janickiego, w związku z czym ten drugi został pochowany bosy. Chyba że w szmaciakach, które się rozpadły. Jest tego trochę, ale wiesz co, na dzisiaj dajmy sobie spokój. Nocujesz u nas, a rano zrobimy wizję lokalną. – Komisarz ociężale podniósł się z fotela. – Wstawaj kolego, idziemy na spacer, poszukamy Ani z dziećmi. Gdzieś tu będą w pobliżu. Ucieszą się. No chodź, chodź, nie ociągaj się – bezpardonowo pogonił przyjaciela. Chciał urwać te rozpamiętywania, zanim dojdą do tych wszystkich bolesnych spraw. Jutro, za dnia, na wizji lokalnej i bez alkoholu rozmowa będzie dużo prostsza i konkretniejsza. Bez sentymentów i ściskania w gardle.

* * *

Ekipa kamieniarska już od rana kręciła się przy pechowym grobowcu. Dokładnie oczyszczony, sprawdzony, czekał teraz na rozbiórkę i przebudowę. Najpierw zdemontowali zmurszałą kratę. Przepiękna, misternie wyginana we wzór splatających się gałązek, jakby wprost przeniesiony z brabanckich koronek, miała stanowić prototyp dla nowej kraty. Tak sobie umyślił Wincenty. Wiedział, że tej kraty nie da się już uratować. Pamiętał, że została przeniesiona z rozbieranego niegdyś, zabytkowego grobowca. Przechowywali ją u siebie w domu, aż nadarzyła się okazja budowy grobowca dla Sierszy-Janickiego i wtedy kratę wykorzystali. Miała już pewnie więcej niż sto lat.

W poniedziałek zamierzali zacząć demontaż od góry, potem rozebrać boki, usunąć wylewkę betonową z podłogi i – zgodnie z instrukcją – pogłębić piwniczkę na trzy schodki. Wincenty zastanawiał się, co potem. Nie miał pojęcia, do kogo tak naprawdę należał grobowiec. Skoro jeden z nieboszczyków to Janicki, to kim był ten niby krewny i co dalej z obiektem? Miał ogromne wątpliwości. Sam wolałby zostawić wszystko po staremu –

zmurszałe betony, pnące dzikie wino i brabancką kratę. Miał jednak poczucie obowiązku, które mówiło mu, że jeżeli wziął pieniądze na wykonanie pracy, to z tego zobowiązania powinien się wywiązać, chociażby mu się nie podobało. Rozumiał, że aspirantowi Maciejakowi chodziło o zwabienie do Oświęcimia tych trzech szemranych mężczyzn i wyjaśnienie dodatkowej sprawy. Sam też był ciekaw, o co w tym całym zamieszaniu chodzi. Czy o handel grobami, bardzo intratne zajęcie, jeżeli ktoś dysponuje miejscami położonymi w atrakcyjnych punktach, na starych, szacownych cmentarzach? A może rzeczywiście wchodził w grę handel narkotykami czy jakimś innym ustrojstwem? Jego zadaniem było wykonać swoją pracę, a potem czekać na kontakt. Jak się któryś z tych panów pojawi, miał dzwonić po aspiranta względnie któregoś z pracujących przy sprawie policjantów. Poza tym co ze szczątkami Janickiego i tego drugiego mężczyzny? Przypuszczał, że po tych wszystkich badaniach trzeba będzie ich pochować. Tylko pytanie – gdzie, skoro grobowiec ma być zaanektowany przez tych obcych ludzi... Same problemy.

Westchnął ciężko, aż zwrócił na siebie uwagę syna. Nie zamierzał się przed nikim zwierzać ze swych rozterek. Miał ochotę odpocząć. Chwilę jeszcze powstał, popatrzył, jak syn z pomocnikiem zabierają się do pracy. Dla pozorów przypomniał o kolejności prac, wyrwał kilka ostatnich pokrzyw i nieco przygarbiony, bez humoru, podreptał w kierunku kanciapy Antoniego. Nie miał zbytniej ochoty na rozmowę z przyjacielem, ale miał ochotę usiąść i napić się coli. Wiedział, że Antoni ma zawsze jakąś puszkę lub dwie. Nie było gorąco, ale coś ostatnio dokuczało mu serce – cóż taki wiek i te wszystkie emocje. Szkoda, że nie był młodszy i sprawniejszy, może wtedy mógłby pomóc Amelii, ale nie teraz. Teraz już było za późno.

* * *

Doktor Jastrząbek miał za sobą wyjątkowo udany weekend. W sobotę, o piątej nad ranem, pojechał rowerem na ryby. Wiedział, że ryby nie lubią długo spać i najlepiej zaczynać łowienie jeszcze przed lub z samym świtem. Zanim wstał, ogolił się, wziął prysznic, wypił kawę i co najważniejsze – ubrał odpowiednie ciuchy, minęła prawie godzina. Na dworze było już jasno, rześko i obiecująco. Starannie wybrał miejsce za filarami dużej kładki, w miarę dyskretne i spokojne, rozłożył sobie sprzęt, ustawił stołeczek składany i stolik, także składany. Obok postawił nieduże plastikowe wiaderko na ewentualną zdobycz, o pobliski krzak oparł wędki. Na stoliku położył śniadanie w torebce papierowej. Obok termos z kawą.

Miał przy sobie pełen zestaw zanęt i przynęt oraz tego wszystkiego, co mu sprzedali w sklepie wędkarskim, mówiąc, iż są to rzeczy niezbędne przy łowieniu. Nie miał niestety

jakiegoś szczególnego pojęcia na temat nowoczesnego łowienia. Dopiero się uczył i przechodził pierwsze stopnie wtajemniczenia. Ułożywszy wszystkie akcesoria na stoliku, przypomniał sobie, jak całe lata temu dziadek opowiadał mu o łowieniu ryb na chleb oraz prawdziwe robaki i to do tego leszczynowym kijem. Postanowił spróbować, jak to się robi.

Leszczyny rośło tam w bród, przynajmniej tak mu się na pierwszy rzut oka wydawało. Wybrał kilka dorodnych gałęzi i przystąpił do ich urywania. Szło mu niesporo, leszczyna była giętka, ale niezbyt łamliwa, a on jak na złość nie zabrał ze sobą żadnego odpowiedniego narzędzia z gatunku ostrych (typu nóż) ani nadających się (jak sekator). Pozostawały prace ręczne. Nie zamierzał poprzestać na jednym kiju, zwłaszcza że ten, który udało mu się odłamać, był wyjątkowo lebiodkowaty i nie obiecywał zbyt wielu wrażeń. Obszedł krzak leszczyny dookoła, zamierzył się do najbujniejszej gałęzi. Musiał przysunąć się bardzo blisko, a jednocześnie uważać, by nie nagiąć zbyt mocno leszczynowego kija i nie dostać przez przypadek na odlew w oko. Już, już prawie miał w ręku odłamany porządny kawałek, gdy się potknął i automatycznie puścił gałąź. Poleciała sprężysto do góry, smagając go po twarzy. Zaklął szpetnie niezadowolony z siebie i swojego gapiostwa. Popatrzył pod nogi. Wiedział, że za chwilę zaczną się schodzić amatorzy rannego wędkowania i opalania. Tak naprawdę dziwił się, że jeszcze brzeg rzeki świeci pustkami. Był rozczarowany, myślał, że o tej porze będzie miał przynajmniej pół wiaderka dorodnych ryb, a nie puste dno. No ale zachciało mu się partyzantki, to ma. Spojrzał jeszcze raz uważniej pod nogi. Pod krzakiem ktoś ukrył okazałych rozmiarów damską torbę. Taką, co to wszystko pomieści – i laptopa, i puderniczkę, i książkę do przeczytania. Nie zauważył jej wcześniej, ponieważ była ukryta w kępie trawy przyrastającej do wikliny. Brązowa, niewpadająca w oczy, wypchana. Zaciekawiony pochylił się i podniósł ją. Aż stęknął z wysiłku, taka była ciężka. Postawił ją z powrotem w kępie traw i przykucnął. Rozsunął gruby brązowy zamek i zajrzał do środka. Gwizdnął ze zdumienia. Torba była wypełniona dużymi otoczkami.

– Komuż to takie coś potrzebne? – mruknął trochę zły na siebie, że wciąż nie zabrał się za łowienie. Po cóż komu torba napakowana kamieniami? Może ktoś zbierał do własnego ogródka, otoczki ładnie się prezentują. Zbierał, potem podniósł i nie udźwignął... To możliwe. Popatrzył jeszcze raz. Taka porządna torba marnowała się pod krzakiem. Szkoda jej było. Chyba że zbieracz wróci... Na razie postanowił zostawić torbę pod leszczyną i zrezygnować z prób łowienia metodą dziadka na rzecz nowoczesności. Miał jeszcze trochę czasu, by sprawdzić, czy nadaje się na wędkarza.

* * *

W poniedziałek zbiegły się wszystkie sprawy naraz. Formalnie komisarz Ożegalski na ten dzień ustalił wizję lokalną na miejscu przestępstwa, w celu odtworzenia okoliczności zdarzenia sprzed dwudziestu jeden lat. Przyjechali do komendy razem z Darkiem w dobrych humorach, wypoczęci, wyspani, dogadani. Aspirant Maciejak wykazał natychmiastowe zrozumienie i entuzjazm do pracy. On także miał ciekawe wiadomości do przekazania. Stażysta Krzysztof Buciek z tajemniczą miną poczęstował ich dziwnie woniejącą herbatą. Komisarz zagryzł wargi, potem je oblizał. Na kawę nie miał co liczyć. Stażysta oznajmił, że nadchodzi era herbacianego oświecenia i w związku z tym zakupił w zaprzyjaźnionym sklepie jedno opakowanie yerba mate w saszetkach. To tak na początek. Potem, na spokojnie, nauczą się pić yerbę w takich specjalnych czarkach, przez rurkę. Stażysta sypał szczegółami, nie zwracając uwagi na zmarszczone czoło komisarza i zduszone urywki zdań wylatujące z jego zaciśniętych ust. Aspirant Maciejak i Białek zaciskali usta, byleby nie parsknąć śmiechem. Rokicki, zamyślony, nie zwracał uwagi na otoczenie.

Nie wiadomo, jak by się to picie herbaty skończyło, gdyby nie odezwała się komórka komisarza. To Zdzisiek z kiosku przy cmentarzu konspiracyjnym szeptem meldował o pojawieniu się starszego, nobliwego pana, tym razem w charakterze właściciela samochodu alfa romeo. Nobliwy podjechał jak do siebie, wysiadł i przyszedł do Zdziśka kupić dwa duże znicze, dwa wkłady plus zapalniczki. Przez chwilę powybrzydzał nad sztucznymi kwiatami, poważył w rękach doniczki z kwiatami wypełnione cementem. Zapytał przyjaznym tonem, czy prowadzenie kiosku ze zniczami to dobry interes, bo coś ludzi nie widać. Zdzisiek odburknął, że nie jego broszka, czy to dobry interes, czy nie, on tylko tutaj pracuje i szefa z kasy nie rozlicza. Nobliwy nie przedłużał konwersacji, tylko zaopatrzonej w pełną reklamówkę powędrował na cmentarz. W związku z tym Zdzisiek dzwoni, bo może komisarz zdąży przyfilować faceta. Komisarz, nie zastanawiając się długo, porzucił picie oświecającej herbaty i w towarzystwie aspiranta Maciejaka i Darka Białka pobiegł do samochodu. Pojechali jego prywatnym punktem, by – jak stwierdził aspirant Maciejak – „nie wpadać we wzrok niepowołanych osób”. Musieli się spieszyć.

Na przycmentarnym parkingu pyszniła się czerwona alfa romeo 156 z chromowanymi klamkami i zderzakami. Słońce odbijało od nich przedpołudniowe promienie. Alfa była piękna i godna pożądania. Posiadacz takiego samochodu momentalnie wzbudzał u wszystkich niechęć podszytą zazdrością. On miał, oni nie. Kierując się sygnalizacją ręczną stosowaną przez Zdziśka, podążyli główną aleją w kierunku kaplicy. Podobno w tamtym kierunku pomaszerował nobliwy.

Komisarz w asyście aspiranta Maciejaka i Darka Białka, symulując chęć spaceru,

przechadzali się leniwie od grobu do grobu, bardziej jak zwiedzający turyści niż jak normalni odwiedzający. Już, już dostrzegali zarys postaci nobliwego, pochylającego się przy jednym ze starszych nagrobków, gdy doleciały do nich gromkie słowa:

– Witam, witam, panie komisarzu! Pan do nas? – To nawoływał Wincenty Szumiejko, ubrany w służbowy, roboczy kombinezon. Obsypana szarym pyłem twarz zlewała się w jedną całość z przyszarzałymi teraz włosami. Komisarz kątem oka zauważył, jak sylwetka nobliwego znika pomiędzy różnej wysokości pomnikami, wysokimi tujami i pniami dorodnych sosen. Nie mógł już dalej iść w tamtym kierunku. Takie zachowanie mogłoby tylko wzbudzić czujność w namierzanym obiekcie. Darek Białek w mig pojął powagę sytuacji i tak jakby od niechcienia, spacerkiem, ruszył w ślad za śledzonym. Komisarz, uspokojony, że sytuacja opanowana, dał sobie spokój z pretensjami do kamieniarza. Był niezmiernie ciekawy, jak idzie im z remontem grobu.

– A może nawet do was – odpowiedział, uśmiechając się wesoło. – Cóż to, panie Wincenty, właściciel grobu jeszcze się nie zgłosił?

– Ano jakoś nie, a my właśnie dzisiaj usunęliśmy pokrywę i zdemontowaliśmy boki, powoli wkuwamy się w podłoże i pogłębiajemy komorę. Potem to kwestia dwóch, trzech dni, złożenie grobowca z gotowych elementów. Ja za chwilę wrócę, tylko wezmę od Antoniego coś do picia dla wszystkich – wyjaśnił Wincenty.

– A to ja panu pomogę – zaofiarował się Maciejak i skierował się do kanciapy. Szumiejko rad nierad powędrował za nim. Po chwili obaj byli już z powrotem, każdy z butelką wody mineralnej w ręku, a Wincenty dodatkowo z puszką coli. Nie czekając, kamieniarz otworzył puszkę i drobnymi łykami popijał pełen piany napój. Od razu poczuł ulgę. Dzień od rana był słoneczny, ale chłodny, a powietrze nieco wilgotne, niosło deszcz. Nic dziwnego, że Szumiejkowie chcieli zdążyć z pracami, zanim rozpada się na dobre.

Miejsce po budowlu było puste, jeżeli nie liczyć sterty systematycznie wywożonego gruzu i stratowanych, przysypanych betonem chwastów. Okoliczne nagrobki pokrywała folia – założona tak na wszelki wypadek. Na pobliskiej ławce siedzieli dwaj mężczyźni: syn Szumiejki – Jan i niski, łysiejący robotnik, mocno opalony na wyłaniającym się z koszuli w kratkę karku. Zgodnie popijali napój energetyzujący i odpoczywali w milczeniu. Widać było, że nie spodziewali się aż tak szybkiego powrotu starszego pana, bo skonsternowanym wzrokiem spoglądali na trzymane w rękach puszki. Wincenty Szumiejko też patrzył na te puszki, nie mówiąc ani słowa. Po chwili z rezygnacją machnął ręką i przerywając krepującą ciszę – z tego wszystkiego panowie nawet się nie przywitali – powiedział:

– Jakby się ktoś chciał napić, to tutaj stawiam. – Postawił na grobie obok dwie

wysmukłe, półtoralitrowe butelki mineralnej. Potem odwrócił się do aspiranta i pokazał ręką przed siebie. – No i sam pan widzi, prawie wszystko gotowe, możemy stawiać od nowa. Chłopcy już wypili, to wracamy do pracy.

„Chłopcy” popatrzyli na niego spod oka, uśmiechnęli się i wstali z ławki. Chcieli jak najszybciej skończyć pracę przy tym feralnym grobowcu, a o resztę niech się policja martwi, nie ich sprawa. Flegmatycznie sięgnęli po narzędzia – komisarz z niejakim zdziwieniem skonstatował, że do pracy używają majzla i młotka, a nie wiertła na udar – i systematycznie zaczęli odkuwać podłoże.

Komisarz przez moment pozazdrościł im konkretnej pracy. Zawsze najbardziej tęsknił za jasno sprecyzowanymi celami. Niby takie, pracując w policji, miał, ale nigdy do ich realizacji nie wiodła prosta droga, tylko zawsze pełna bocznych ścieżek i nieprzewidzianych zakrętów. A kamieniarz to sam konkret. Przychodzi klient, składa zamówienie, uzgadnia wygląd pomnika, tablic, napisów i wszystkich dodatkowych ozdobników. Materiał albo jest na miejscu, albo kamieniarz go zamawia, potem zgodnie z zamówieniem nadaje temu materiałowi odpowiednią formę i montuje. Wszystko proste i jasne, bez żadnych możliwości zbłądzenia.

Już komisarz miał zamiar podzielić się swoimi przemyśleniami z Wincentym Szumiejką, gdy w pełną skupienia cmentarną ciszę, przerywaną jedynie odgłosami kucia, wdarł się jeszcze jeden dźwięk – był to ostry zgrzyt metalu, jeden, a potem drugi.

Jan Szumiejko zamarł, a potem odłożył na bok młotek i majzel. Widać było, że coś go zaniepokoiło. Łysawy robotnik zaprzestał kucia i patrzył z boku, co robi szef.

– Panowie, podejdźcie tu bliżej, mam wrażenie, że w tym grobowcu ktoś coś ukrył! – Młodszy Szumiejko trzymał w ręku prostokątną blaszaną puszkę owiniętą foliowym woreczkiem, pokrytym przyschniętym cementem. Przetarł dłonią warstwę cementowego pyłu, zbliżył puszkę do oczu i przeczytał: „Herbata cejlońska”.

– Chwila, moment – komisarz dopiero teraz zareagował i przewyciężył osłupienie, w jakie wpadli zbiorowo. – Panie Janie, niech pan niczego nie rusza, ja ją otworzę... Tylko zaraz, gdzie mamy rękawiczki? Aspirancie, poproszę rękawiczki! – zażądał gromko.

– Nie mam, ale momencik. – Aspirant grzebał po kieszeniach, by w końcu triumfalnie wyciągnąć paczkę chusteczek higienicznych. – Proszę, szefie, pan weźmie, to też dobre.

Komisarz wyciągnął z paczki dwie chusteczki i delikatnie odebrał puszkę z rąk Jana Szumiejki. Nadal powoli, by niczego nie uszkodzić, zaczął odwijać szeleszczącą, brudną folię. Odłożył ją na ławkę i uwolniwszy puszkę od wątpliwego zabezpieczenia, jął otwierać jej wieczko. Najpierw zobaczył kłęb waty celulozowej. Uniósł go delikatnie i oniemiał. W

pudełku, wyłożonym jak puchem watą, pyszniły się złote pierścionki, jeszcze z pożółkłymi ze starości metkami. Miały różnokolorowe oczka i zaliczały się do masywnych. Typowe lokatówki. Nie podobały mu się, a jednocześnie przyprawiały o zawrót głowy swoją wartością. Nad puszką pochylili się także aspirant Maciejak i pan Wincenty, a z wnętrza rozebranego grobowca gramolił się Szumiejko młodszy i jego łysiejący pracownik. Zaczynało robić się tłoczno.

Pierwszy doszedł do siebie aspirant. Trzeba było zabezpieczyć teren i przeszukać centymetr po centymetrze całe dno grobowca. Maciejak momentalnie skojarzył treść raportu z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku z trzymaną przez komisarza w rękach fortuną.

– Tego powinno być około sześciu puszek – mruknął do przełożonego.

– Myślisz?

– No tak wynika z protokołu, który dostarczył ten właściciel. Powyliczał tyle, że nie wiem, może nie w sześciu, tylko w dziesięciu puszkach sprawca ukrył towar. To na pewno jest ten zaginiony łup. Niech pan popatrzy, komisarzu. – Aspirant stanął nad resztkami grobowca i pokazał palcem. – O tam, w głębi, domurowali jakby stopień, żeby nie rzucało się w oczy, wyrównali powierzchnię, żeby odcień był jednakowy. Na to poszedł cement pana Antoniego. W tej nadmurówce powinniśmy znaleźć resztę łupu. Zresztą, o! Tam wystaje kawałek folii!

Aspirant, nie czekając na reakcję, wskoczył w sam środek resztek grobowca. Wziął do ręki majzel i młotek i zaczął delikatnie odkuwać wylewkę oblepającą szczelnie następną puszkę. W ośmiu metalowych opakowaniach po herbacie była zgromadzona fortuna z włamania. Wyglądało na to, że przeleżała sobie w nich przez dwadzieścia jeden lat nietknięta i gdyby nie nobliwy pan jeżdżący dobrymi, ale kradzionymi samochodami, leżałaby tak jeszcze przez wiele lat.

Komisarz z aspirantem Maciejakiem cierpliwie czekali na przyjazd kolegów z komendy. Dobrze wiedzieli, że nie mogą zlekceważyć procedur. Jeszcze by im ktoś po latach zarzucił, że wzięli sobie po bransoletce na pamiątkę. Cały odzyskany łup trzeba było komisyjnie przeliczyć, sfotografować, skatalogować i wycenić. Ręce przestały im drżeć dopiero po przekazaniu kosztowności, które od razu powędrowały do podręcznej stalowej kasety. Tak na wszelki wypadek.

– No to, panie Wincenty, teraz może pan spokojnie kończyć – powiedział, oddychając z ulgą, komisarz. – Przed panem jeszcze tylko rozliczenie z tym dziwnym zleceniodawcą i może pan o grobowcu i wszystkim, co się tutaj działo, zapomnieć. Nie muszę wam, panowie,

powtarzać – komisarz konspiracyjnie ściszył głos – że nic z tego, co widzieliście, nie powinno przedostać się do opinii publicznej. Jak zakończymy śledztwo, to wtedy podamy oficjalny komunikat. – Ożegalski niezbyt wierzył, że uda mu się zmusić do milczenia Szumiejków i ich pracownika. Zwłaszcza pracownik, widać było, że przyzwyczajony do relacjonowania wszystkiego małżonce. Ale komisarz musiał chociaż spróbować.

– Ale, ale, komisarzu, a znaleźne? Przecież tak naprawdę to nam się należy dziesięć procent wartości. – Młodszy Szumiejko dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów chwycił się pod boki i uśmiechnął buńczucznie.

Komisarz pomyślał przez chwilę. Nie za bardzo orientował się w tych wszystkich przepisach i czy było jakieś przeterminowanie roszczeń w tych sprawach, też nie wiedział. Postanowił załatwić sprawę dyplomatycznie.

– Panie Janie, wszystko będzie w protokole, niech się pan nie martwi. Jak się panu należy, to pan dostanie, tylko pytanie, kto zapłaci. Najpierw kwestie formalne, potem reszta. Będę pamiętał – obiecał.

Był zmęczony, ale zadowolony. Sprawa powoli zbliżała się ku końcowi. Oglądając te dziesiątki łańcuszków, pierścionków i bransolet, odczuwał ulgę. Trzymał w ręku dowód niewinności przyjaciela. Bo tak się mówi, że krążyły plotki, że umilkły, że nikt nikogo za rękę nie złapał, ale smród z takiej niewyjaśnionej sprawy ciągnie się przez lata – choćby dokumenty schowano w najciemniejszym kącie archiwum. Rozejrzał się, Szumiejkowie, już spokojni, dalej dłubali przy grobie, Maciejak, z tego wszystkiego wypompowany emocjonalnie, przysiadł na ławce i patrzył przed siebie w zamyśleniu. Darka nigdzie nie widział, ale znał go dobrze i wiedział, że potrafi po mistrzowsku wtopić się w tłum i jeżeli tym tłumem ma być drzewo, to Darek będzie drzewem. Nie do odróżnienia.

Po dłuższej chwili aspirant otrząsnął się z zadumy i energicznie wstał z ławki. Zastanawiał się, w jakiej formie przekazać komisarzowi rewelacje pani Emeliny. Powinien był porozmawiać z nim z samego rana, ale nie zdążył. Pomyślał nawet, że lepiej dla wszystkich byłoby, gdyby biżuterię odnalazła pani Amelia i przeznaczyła na leczenie. A tak... oddadzą pewnie wszystko właścicielowi sklepu. Dobrze, że się chociaż Szumiejko młodszy upomniał o należną część. Postanowił, że porozmawia z komisarzem w komendzie. Na cmentarzu zaczynał czuć się nieswojo. Za dużo nieszczęścia jak na jego gust.

Milcząc, szli w stronę wyjścia, Ożegalski rozmyślał, jak poradził sobie Darek i gdzie zniknął. Na cmentarzu przebywali około dwóch godzin, sporo czasu. Było trochę zamieszania, takiego pełnego podniecenia rozgardiaszu. Gdy już wyszli poza cmentarną bramę, pierwsza rzuciła im się w oczy czerwona alfa romeo. Stała nadal w tym samym

miejscu, co oznaczało, że podejrzany elegancik nadal przebywa na cmentarzu. Tknięci jednym impulsem odwrócili się i zaczęli biec w stronę kaplicy. Po drodze nie napotkali nikogo. Kaplica była już zamknięta, na kracie pyszniły się solidne kłódki. Nie widzieli nigdzie ani nobliwego, ani Białka. Komórka Białka była poza zasięgiem. Obaj mężczyźni zniknęli.

* * *

Sebastian Kloc nie mógł usnąć. Przewracał się z boku na bok niespokojnie, w końcu wstał i otworzył następną butelkę czerwonego wina. To nie był dobry pomysł, wino nie ukoło go do snu, tylko przywołało falę wspomnień i wzmoгло uśpione przez tyle lat wyrzuty sumienia. Myślał, zdecydowanie za dużo myślał. By choć na chwilę zapomnieć o dręczących go koszmarach, włączył komputer i delikatnie pogłaskał klawiaturę. Widok niebieskiego ekranu jak zawsze podziałał na niego kojąco. Kliknął ikonkę z napisem „oddzieleni”, pociągnął następną łyk wina i zapomniał o otaczającej go rzeczywistości.

W noc z piątku na sobotę pisał jak szalony. Czuł, że albo teraz, albo nigdy więcej nie zdobędzie się na tak szczere, osobiste strofy. Pisanie sprawiało, że czuł się czystszy i spokojniejszy, tak jakby sam ze sobą rozliczał się ostatecznie z życia i jego meandrów. Ostatni wers napisał nad ranem, wyczerpany, ale radosny i wolny. Zapisał plik, wydrukował – tak na wszelki wypadek, gdyby coś złego stało się z komputerem – i postanowił wyjść na spacer. Nie jadł śniadania, wypił tylko filiżankę czarnej kawy i odświeżony, ale nie ogolony – postanowił sprawdzić, jak będzie wyglądał z parodniowym zarostem – wyszedł z mieszkania. Świtało. Zawsze lubił patrzeć, jak budzi się dzień. Powietrze wtedy ma inny zapach, a wyłaniające się słońce napawa optymizmem i nadzieją. Ludzie, pozamykani w domach, jeszcze śpią. Psy, zmęczone dyżurowaniem, zaszywiają się w budach i obojętne na uroki wstającego dnia odsypiają wielogodzinne czuwanie. Najlepszy czas na włamania.

Szedł nad Sołę. Rzeka płynęła spokojnie, a puste Planty przywoływały wspomnienia z dzieciństwa. To właśnie na Planty chodził z rodzicami na spacer. Tak mu świtało w głowie, że kiedyś w okolicach kładki prowadzącej na Zasole, której wtedy nie było, był zlokalizowany plac zabaw dla dzieci. Ogródek Jordanowski. Zapamiętał te rodzinne spacer, jedyne dłuższe momenty spędzane z obojgiem rodziców. Ojciec, inżynier, trawił czas na krajowych i zagranicznych budowach. Od Bełchatowa po Irak. Jeżeli pracował w kraju, to starał się, by przynajmniej niedzielę spędzić w domu. Potem gdy pojawiły się wolne soboty, było łatwiej, miał więcej czasu dla rodziny. Mama, nauczycielka, zakochana w swojej pracy, nie poświęcała mu zbyt wiele uwagi. Praktycznie rósł sam. Może dlatego tak zapamiętał te

wspólne spacery Plantami? Ale tamte Planty były inne, teraz są też inne. Ciekawe, jak będą wyglądały za parę lat. Na razie trochę dziko, ale dzięki temu ptaki mają szansę na budowanie gniazd, kaczki pływają po rzece. Przylatują łabędzie. Fajnie mieszkać w mieście, które leży nad rzeką. Można łowić ryby, opalać się na kamienistej plaży. Moczyć nogi do kolan, zwłaszcza jak się nie potrafi pływać.

Zamyślony minął pusty o tej porze parking i nie oglądając się za siebie, szedł wzdłuż muru Zakładu Salezjańskiego. Przed oczami majaczyła mu kładka. Wiedział, że jeżeli pójdzie prosto, to dojdzie aż na Kamieniec, do terenów lęgowych ptaków. Nie obawiał się nikogo i niczego, a rześkie powietrze sprawiało, że z każdą chwilą czuł się lepiej. Co się stało, to się nie odstanie – tak mawiała jego ukochana babcia Ziuta. Nie płacz nad rozlanym mlekiem – tak mówił dziadek Jan. W sumie, jak się tak zastanowił, najbliżsi mu ludzie.

Tak się zamyślił, że prawie potknął się o schody prowadzące na kładkę. Zamrugał oczami, popatrzył uważniej. Wiedział, że sporo wypił, ale miał wrażenie, że już zdążył wytrzeźwieć. Teraz nie był tego pewien. Pochylił się i wyciągnął przed siebie rękę. Dotknął istoty siedzącej na schodach prowadzących na kładkę. Była prawdziwa. Dotknął jeszcze raz i momentalnie cofnął rękę, usłyszawszy głośno brzmienie w porannej ciszy:

– Precz z łapami!

Siedziała przed nim zapłakana Amelia Scolari. Jego duch, jego widmo, jego wyrzut sumienia. Siedziała i płakała. Całą twarz pokrywały jej sine smugi rozcieńczonego łzami tuszu. Zagryzane co jakiś czas wargi znaczyły drobne kropelki krwi. Szczupłymi ramionami obejmowała kolana – pochylona do przodu, zmarnowana, żałosna i udręczona.

Nie wiedział, co może zrobić, zostać czy uciec. W pierwszym porywie chciał uciec, ale nagle zrozumiał, że nie ma już odwrotu. Muszą ze sobą porozmawiać i raz na zawsze wyjaśnić sobie wszystkie wątpliwości. Przysiadł obok Amelii, chlebak położył na kolanach. Pochylił się i przybrał taką samą pozycję jak kobieta. Milczeli oboje, a cisza między nimi stawała się coraz cięższa. Ptaki zaczynały śpiewać. Wstawał piękny, letni dzień.

* * *

Karetka pogotowia ratunkowego znowu stała przed bramą cmentarza. Kierowca najchętniej wjechałby główną aleją do środka, ale aspirant Maciejak nigdzie nie mógł znaleźć pana Antoniego, a i nie wiadomo, czy by się karetka na głównej alei pomiędzy grobami zmieściła. Mówi się trudno. Ratownicy wyciągnęli nosze i dusząc w sobie nieparlamentarne wyrazy, ruszyli po następnego pechowego policjanta. Tym razem byłego.

Zlokalizowanie Dariusza Białka nie należało do łatwych, ale nie było niemożliwe.

Komisarz Ożegalski postawił na dedukcję. Skoro czerwona alfa romeo nadal stała przed bramą cmentarza, to oznaczało to tylko jedno – ani nobliwy, ani przyjaciel cmentarza nie opuścili. Ostatni raz komisarz widział elegancika w okolicy kaplicy cmentarnej. Za nim krok w krok podążał Darek. Dokąd mogli pójść, gdzie mógł ukryć się kierowca alfy romeo? Może nie przed Darkiem, ale przed nim. Być może na słowo „komisarz” nobliwy reagował alergicznie. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy gdy wchodzili na cmentarz, kaplica była zamknięta, czy otwarta.

Wspólnie z aspirantem obchodzili kaplicę, nasłuchując. Nie na wiele to się zdało, cmentarną ciszę raz po raz zakłócały dźwięki dochodzące od ulicy – a to wycie straży pożarnej, a to znowu sygnał karetki pogotowia. Po namyśle postanowili, że Maciejak rozejrzy się po kwaterach leżących z lewej strony kaplicy, a on weźmie na siebie lustrację tych z prawej. Aspirant powędrował w swoją stronę, a komisarz przystanął na chwilę przed kaplicą. Pod wmurowanymi tablicami pamiątkowymi ku czci proboszczów oświęcimskich paliły się znicze. Dookoła pusto, nawet pracujący z panem Antonim Franek i Józef gdzieś przepadli. Komisarz po namyśle – nie chciało mu się przeciskać pomiędzy grobami – jeszcze raz sięgnął po komórkę. Wyszukał numer telefonu przyjaciela, zadzwonił. Odpowiedział mu bardzo uprzejmy, nagrany głos: „Nie mogę odebrać telefonu, jeżeli to sprawa życia lub śmierci – zostaw wiadomość”. Komisarz nie zamierzał zostawiać wiadomości. Nie dość, że nie cierpiał rozmawiać z automatami, to jeszcze nie widział sensu w mówieniu czegokolwiek w pustkę i nagrywaniu tego. Jemu był potrzebny Darek na już, cały i żywy.

Postanowił jednak przejść się wokół kaplicy. Może przyjaciel pozostawił gdzieś po sobie ślad, może mu komórka przez przypadek wypadła z kieszeni. Przecież to niemożliwe, żeby dwie osoby naraz zaginęły i to na powierzchni niespełna trzech hektarów, a nawet nieco mniejszej! W okolicy pozostałości po grobowcu żaden z nich się nie pojawił. Komisarz, nieco zdezorientowany, wkroczył na wąskie dróżki pomiędzy grobami. Cmentarz mu się podobał, ale w niektórych miejscach potrzeba było zręczności ekwilibrysty, by przejść pomiędzy niezwykle ciasno wybudowanymi grobami. Tyle miejsca, by stopę postawić. Jak tu przejść na cmentarz o zmroku? Przecież można sobie przez przypadek nogi połamać.

Komisarz ujrzał przed sobą niedokończony grobowiec i przypomniał sobie opowiadanie aspiranta Maciejaka o spotkaniu na cmentarzu z Wincentym i panią Amelią. Wyszło na to, że Szumiejkowie jeszcze nie dokończyli remontu grobu przy kwaterze sióstr serafitek. Komisarz nie dziwił się im. Wiedział, że marzyli o skończeniu pracy przy pechowym grobie i powrocie do normalnego trybu robót. Niedokończony grób składał się z dwóch części, jednej szerszej, a drugiej węższej. Ta szersza, już gotowa, zajmowała dwie

trzecie powierzchni. Brakowało węższej płyty. Być może Szumiejkowie mieli na niej wryć napisy albo wykonać prace zdobnicze. Tak naprawdę nie wiedział, czy kierowała nim ciekawość, czy przecucie, gdy nachylał się nad ziejącym czernią otworem. Dość, że w chwilę potem wołał do siebie Maciejaka i dzwonił po karetkę. Wszystko wskazywało na to, że Darek, skradając się za nobliwym, nie zauważył otworu w grobie i albo się przechylił i nie utrzymawszy równowagi wpadł, albo się pośliznął, albo został pchnięty.

Na razie musieli poczekać, aż odzyska przytomność. Jego stan lekarz określił jako stabilny, a resztę informacji obiecał po niezbędnych badaniach. Zwłaszcza że do uderzenia w głowę doszło złamanie nogi, i to w dwóch miejscach.

Spokojny o życie przyjaciela, komisarz zastanawiał się co dalej. Łup z włamania odnaleziony, a to oznaczało, że sprawa niezależnie od wyjaśnienia innych wątków zakończyła się sukcesem. Czekala go jeszcze rozmowa z panią Amelią i Sebastianem Klocem. Rekonstrukcję zdarzenia, ze względu na stan osoby w tej rekonstrukcji najważniejszej, musieli odłożyć na inny, bardziej dogodny czas. Pozostawało wyjaśnienie roli nobliwego oraz, przede wszystkim, odnalezienie go. Gdyby podejrzany osobnik wyszedł z cmentarza i poszedł przed siebie, to komisarz by o tym wiedział, nie było cudów, Zdzisiek warował na posterunku. Chyba że spryciarz ulotnił się od tyłu. Nie było to łatwe, ale można było przedostać się na skarpe i zejść do ulicy. Gdyby był odpowiednio zdesperowany... Ale czy był? Mógł po prostu wyjść z cmentarza i nie oglądając się za siebie, wsiąść do samochodu i odjechać. Mógł już nigdy nie przyjechać do Oświęcimia. Tablice samochodu na pewno podmienione, nazwiska kierowcy nikt nie znał. Wystarczyło, by zamiast garnituru włożył dzinsy, do nich t-shirt, ciemne okulary, i nikt by go nie rozpoznał. O nie, nie, nobliwy musiał nadal znajdować się na terenie cmentarza. Jedyne miejscem, które na razie pozostawało dla komisarza niedostępne, była kaplica. Komisarz nie był pewny na sto procent, ale na osiemdziesiąt już tak, że jak ją mijali, to była otwarta na oścież. Bardzo dobre miejsce, by się schować.

* * *

Antoni ledwo łapał oddech. Z każdym dniem czuł, że ubywa mu sił. Tracił orientację i dotychczasową energię. Za dużo przeżyć, za dużo zdarzeń, wszystko naraz. Jeszcze te wspomnienia. Usilnie wracał pamięcią do kwietnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Co się wtedy jeszcze zdarzyło? Już wiedział, że Bożydar poza jego wiedzą pochował Aleksandra Sierszę-Janickiego. Ale taką wiadomość mógł znieść. Było mu przykro, poczuł się zlekceważony, ale czasu nie cofnie. Gorzej, że Bożydar wykorzystał go i nadużył jego

zaufania. W tajemnicy pochował swojego kuzyna, kosztowności ukrył na jego terenie. Pan Antoni jak dzisiaj przypominał sobie dzień, gdy wrócił z sanatorium – to zaskoczenie i zmieszanie Bożydara, gdy do reklamówki pakował prawie nowe, białe adidasy. Zastanawiał się, o czym jeszcze się dowie i czy jego sterane czasem serce te wszystkie wiadomości wytrzyma.

* * *

Aspirant Maciejak wracał od pana Antoniego, dzierżąc w dłoni klucze od kaplicy. Zarządca cmentarza nie czuł się najlepiej, więc aspirant obiecał, że tylko dla pewności zajrzą, sprawdzą, czy wszystko w porządku, i klucze oddadzą. Po chwili masywne drzwi neogotyckiej, dziewiętnastowiecznej kaplicy stanęły przed nimi otworem. Komisarz na wszelki wypadek wyciągnął z kabury broń. Nie to, żeby zamierzał strzelać. Jeszcze nigdy nie miał okazji użyć broni palnej w akcji, ale nie zamierzał dać się zaskoczyć nobliwemu.

Kaplica była pusta. Nikt nie siedział na bocznych ławkach ani na niewielkim podwyższeniu dla ołtarza. W środku panował mrok i przenikający kości chłód. Aspirant rozejrzał się z niedowierzaniem, a po chwili po cichu podszedł w kierunku ołtarza i gromkim głosem powiedział:

– A co myśmy się pana naszukali! Dlaczego pan nie woła? Na pewno jest panu zimno – zatroskał się.

Komisarz podszedł od drugiej strony i zobaczył siedzącego na podłodze eleganckiego starszego mężczyznę. Oparty plecami o postument ołtarza, trząsł się z zimna i wyglądał nieszczęśliwie.

– Ale ja nie wiem, o co panom chodzi. Tak sobie zwiedzałem i nagle okazało się, że stróż mnie zamknął. – Nobliwy nie zamierzał przyznawać się do jakichkolwiek związków z grobowcem.

Po chwili w kajdankach wędrował aleją w stronę samochodu komisarza. Czekają go długie przesłuchanie. Nie miał pojęcia, co ci policjanci wiedzą, a czego się na razie domyślają. Po drodze postanowił, że będzie dla niego lepiej, jeżeli przyzna się do machlojek z grobowcami – niska szkodliwość czynu, nawet nie zdąży dojechać do więzienia i już będą go musieli wypuścić. Bo gdyby trafili na ślad drugiej, przynoszącej niebagatelne profity działalności, to byłby całkiem ugotowany.

* * *

Aspirant Rokicki sam nie wiedział, co ma robić. Komisarza jak na złość nie było, aspiranta Maciejaka tak samo, wyjechali razem, ale litości, powinni byli już wrócić. Buciek

poszedł na zakupy do swojego ulubionego sklepu z herbatami. Przypomniało mu się, że widział „herbatę kibica” i chciał sprawdzić, jak smakuje. Następny zwariowany, a ty siedź człowieku i męcz się.

Aspirant nie bez powodu był rozdrażniony. W niecałą godzinę po wyjeździe komisarza z Maciejakiem do komendy zgłosili się, i to razem, pani Amelia Scolari, obywatelka włoska, i Sebastian Kloc, poeta.

Akurat wykorzystując także nieobecność Krzyśka, aspirant Rokicki zaczynał uzupełniać zapasy cukru. Delicje wyłożył na biurko, obok postawił spodek z pięcioma kostkami cukru, do ssania. Kawa, obficie podlana śmietanką, była już gotowa do picia. Chciał przez chwilę odpocząć, podelektować się ograniczonymi przez komisarza słodyczami. W domu też nie miał lekko. Narzeczona rygorystycznie pilnowała, by zdrowo jadł, i tak samo tępiła chipsy, jak i ptasie mleczko. No to chociaż w pracy... Gdy przyszli interesanci, to kawę wypił na szybkiego, żeby nie wystygła, delicje z bólem schował z powrotem do sejfu. Potem zrobiło mu się głupio i powyciągał wszystko z powrotem. Zaproponował kawę, ciasteczka. Tylko że goście, bo trudno było ich inaczej nazwać, kawę już dawno wypili, po ciasteczkach też pozostał tylko zapach, a komisarza nadal nie było. Aspirant Rokicki był kompletnie zdezorientowany.

Z dużą ulgą powitał powrót Krzyśka. Krzysiek na Olszewskiego miał blisko i tak ze sklepem, jak i z właścicielką zaczynał się zaprzyjaźniać. Wyraźnie pasowała mu przytulna atmosfera pomieszczenia nasyconego aromatami wydobywającymi się z dziesiątek puszek, skrzynek i pojemników zawierających egzotyczne mieszanki herbat. Kawy też było do wyboru, do koloru, ale dużo bardziej interesowały go odmiany herbat, rodzaj parzenia i różne utensylia uprzyjemniające ceremoniał parzenia i picia tego napoju.

Telefon komisarza nie odpowiadał, w końcu po dosyć nerwowo spędzonej godzinie stażysta nawiązał kontakt z aspirantem Maciejakiem. Zwięźle jak na niego wyjaśnił, w czym problem, i otrzymawszy polecenie zatrzymania za wszelką cenę oczekujących na ich powrót gości, wrócił do pokoju. Z pokoju konferencyjnego przytargał wygodny fotel dla pani Amelii, zlekceważywszy nieco znanego mu z widzenia poetę. Ten nawet nie zwrócił uwagi na zamieszanie, cały czas pogrążony w myślach.

Sebastian nie lubił na nic czekać, ale skoro razem z Amelią podjęli decyzję o zgłoszeniu się na policję w celu wyjaśnienia sprawy, to nie zamierzał się wycofywać i choćby miał czekać pięć godzin, to zamierzał doczekać powrotu komisarza. Skoro oni z Amelią potrafili sobie wyjaśnić wszystkie wątpliwości i wzajemnie wybaczyć, to komisarzowi należało się wytłumaczenie całej tej nieszczęsnej historii. Poza tym Amelia koniecznie

chciała oczyścić dobre imię Eligiusza. Tak bardzo zmartwiła się, gdy Antoni powiedział jej, że policja posądziła Eligiusza o sprzedaż kradzionych przedmiotów na Allegro. Antoni starał się być oględny i nie wprowadzał Amelii w szczegóły życiorysu Eligiusza. Nie chciał dokładać jej zmartwień.

Komisarz po powrocie do komendy nie krył zdziwienia i radości na widok przybyłych. Nobliwego oddał w, jak zapewnił, profesjonalne ręce aspiranta Rokickiego w celu przesłuchania, a sam zajął się panią Amelią i Sebastianem. Zamiast codziennej kawy stażysta Buciek z tajemniczą miną postawił przed nim parujący wonnie kubek.

– A gdzie moja kawa?

– A... – Stażysta zająknął się. – Nie mamy już kawy, ale mamy herbatę. Proszę spróbować. Pani Małgosia twierdzi, że nie ma nic lepszego na kłopoty z nadciśnieniem i miażdżycą niż czerwona herbata. I... – przypomniał sobie – na odchudzanie. Więc niech pan spróbuje, panie komisarzu, i państwo też. O tutaj, proszę. – Drżącymi rękami stażysta ustawiał kubki przed siedzącymi. Wiedział, że swoje od komisarza jeszcze usłyszy, ale postanowił konsekwentnie promować picie herbaty. Tak w komendzie, jak i w domu. Tylko wszystkim wyjdzie na zdrowie.

Amelia popijała herbatę drobnymi łykami. Smakowała jej, chociaż ona nie potrzebowała się odchudzać. Już była bardzo szczupła. Zastanawiała się, od czego zacząć. Wprawdzie Sebastian ofiarował się opowiedzieć za nią całą tę historię sprzed ponad dwudziestu lat, ale ona nie mogła na to pozwolić. Dopiero po rozmowie z nim zrozumiała, że przepełniona nienawiścią i bólem zmarnowała wiele lat swojego życia, zbyt wiele. Długo siedzieli razem na schodach kładki. Robiło się coraz cieplej, a Amelia nie mogła, nie była w stanie odezwać się do siedzącego obok niej Sebastiana. On, tak samo milczący, nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Postanowił zacząć od najprostszego: „Przepraszam cię” – szepnął i zamilkł. Czekał.

Amelia nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co mogłaby mu odpowiedzieć. Samo „przepraszam” nie załatwiało sprawy. Ona chciała wiedzieć, dlaczego zginął Marek, miłość jej życia. Dlaczego tak długo czekała na jakiegokolwiek wiadomości, czy ktoś zawinił, czy był to tylko przypadek? W końcu poukładała sobie mniej więcej kolejność zdarzeń w głowie i zaczęła opowiadać wszystko po kolei. Komisarz nie krył zdumienia.

Amelia ślub z Alfredem Rodkiewiczem wzięła w Polsce. Alfredo był zakochany, a ona była przekonana, że go kocha. Tęskniła wprawdzie za Italią, brakowało jej bardzo rodzinnego domu, ale Alfredo otaczał ją takim ciepłem i miłością, że byłaby bez serca, gdyby tego nie doceniała. Ale to było dla niej za mało. Żyli dostatnio, ale nieco monotennie. On codziennie

jeździł do pracy, ona zostawała sama w domu. Sprzątała, prała, prasowała, gotowała wymyślne obiady i nudziła się. Rozrywkę stanowiły dla niej zakupy w sklepach, wizyty u fryzjera i u kosmetyczki. Ot, takie drobne, kobiece przyjemności. Marka spotkała w Tęczy. Przyszedł dorobić komplet kluczy do domu. Tak samo jak i ona. Stali i czekali na otwarcie małego punktu, w którym starszy już pan dzień w dzień dorabiał klucze, sprzedawał breloczki i pełnił funkcję nieformalnego punktu kontaktowego. Można było u niego zostawić list, odebrać odpowiedź, nie powierzając swych mocno poufnych spraw poczcie. Potem poszli razem na kawę. Nie, nie do lokalu, zaprosiła Marka do domu. Zaufała mu od pierwszych słów. Był dla niej taki miły, uczynny, ciepły. Tak zainteresowany jej potrzebami, taki oddany. Alfredo też był miły i zakochany, ale cóż... był starszy od Marka o prawie dwadzieścia lat, ciągle zajęty pracą, tymi swoimi projektami, rysunkami. Po pół roku ukradkowych spotkań postanowili, że ona wyjedzie z powrotem do rodziców, do Sorrento, przeprowadzi rozwód z Alfredem, a Marek dojedzie do niej i będą żyli długo i szczęśliwie. Ostatni raz widzieli się w dniu jej wyjazdu. Zostawiła mu kluczyki do dużego fiata – poprosił ją, to mu dała. Nie, nawet przez moment nie myślała o kradzieży. Samochód był wspólny, tak jej, jak i męża. Nie miała wyrzutów sumienia. A że nie poinformowała Alfreda... Nawet przez moment o nim nie pomyślała. Teraz wie, że była szaloną egoistką, ale była taka zakochana. Emelina mówiła jej, że życie bywa brutalne, że wszystko zło, które wyrządziła Alfredowi, obróci się przeciwko niej, ale nie chciała słuchać. Wtedy wiedziała swoje.

Amelia bardzo wzruszona, otarła widoczne w kącikach oczu łzy i wypita kilka łyków herbaty. Cierpka w smaku, orzeźwiała ją.

To prawda, dobrze wiedziała, do czego Markowi potrzebny był samochód. To była część planu, podwójnego planu. To całe włamanie wymyślił właściciel sklepu jubilerskiego. Na prawo i lewo rozpowiadał, jak to mu dobrze interesy idą, ale prawda była całkiem inna. Był bliski plajty. I wtedy wymyślił sobie, że sfinguje włamanie do własnego sklepu, na jakiś czas ukryje towar, a ubezpieczyciel pokryje straty. Wykupił polisę na odpowiednio wysoką kwotę, a potem sprowadził biżuterię w większej niż zwykle ilości i namówił swojego znajomego Bożydara Kępińskiego, by ten, dobrawszy sobie współników, włamał się do obficie zaopatrzonego sklepu. Bożydar był kuzynem Marka, znali się bardzo dobrze, pochodzili z jednej wsi. Najpierw, w latach siedemdziesiątych, w Oświęcimiu zamieszkał Bożydar. To były czasy wielkiej fali przyjęć do pracy w zakładach chemicznych. Potem przez wiele lat pracował w tych zakładach, a już na emeryturze rozpoczął pracę sprzedawcy w kiosku Ruchu. Całe życie mieszkał samotnie, nie miał żony ani dzieci, a wszystko, co posiadał, przeznaczył dla kuzyna, dla Marka właśnie. Gdy Marek przyjechał za pracą do

Oświęcimia, to pierwsze kroki skierował do domu starszego kuzyna. Ten przyjął go z otwartymi ramionami i szybko załatwił mu pracę w zakładach. Marek napisał list do siostry, że wszystko w porządku, zostaje w mieście, prosi, aby się nie martwili. Siostra miała tyle własnych trosk, że po jakimś czasie uznała, iż bratu, teraz miastowemu, przewróciło się w głowie i nawet nie zamierzała go szukać. Dlatego nikt nie zgłosił zaginięcia Marka Kępińskiego.

Amelia ciężko westchnęła. Wcale nie było jej łatwo wracać do tamtych dni, ale postanowiła, że powie wszystko, do końca. A potem, potem wyjedzie.

Sebastian Kloc siedział na stołku ze zwieszoną głową, równie zamyślony, zasłuchany. Chciał mieć tę wspólną spowiedź za sobą i znowu zacząć nowe życie. Wybaczył Amelii atak na cmentarzu. Wzięła go z zaskoczenia. Nie bardzo tylko potrafił zrozumieć, dlaczego ona pije jabłkowe piwo. Postanowił przekonać ją do picia czerwonego wina. Zawsze to zdrowszy nałóg. Teraz słuchał, o czym opowiada Amelia, i oczy mu się otwierały. Sam traktował udział we włamaniu do sklepu jubilerskiego jako jednorazową przysgodę. Bożydar Kępiński, kolega jego ojca, zaproponował mu pilnowanie wejścia do sklepu, a Sebastian nie widział w tym nic zdrożnego. Nawet na początku, naiwny, nie wiedział, że chodzi o włamanie. Gdy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno i nie mógł się wycofać. Przygotowali się dobrze, termin był idealnie dobrany. Noc z czwartku na piątek. Nie mieli kłopotów z wejściem do środka, młodszy Kępiński był zaopatrzony w komplet wytrychów. Dobrze wiedział, jak otworzyć sklep. Podniósł kratę, umocował do boków. Dla pozorów pogmerał w zamku. Szybko weszli do środka. Wewnątrz sączyło się liche światło, tak jak co noc. Część biżuterii leżała w kasetach pod szkłem. Nie wie, co dalej było, bo wyszedł pilnować. Miał dać znać, gdyby zobaczył kogoś obcego. Stał przytulony do odrapanego muru ratusza i pilnie wpatrywał się w jasną witrynę sklepową. Przyznaje, nie zauważył skradającego się policjanta. Co gorsza, nie widział zaparkowanego przecznicej dalej policyjnego samochodu. Dobre miejsce sobie wybrali na obserwację, ciemne, ciche i spokojne, za winkiem domu. Przegapił. Gdyby nie przegapił, Marek na pewno by żył. Gdy zorientował się w sytuacji, to myślał tylko o tym, żeby uciec i żeby matka z ojcem się nie dowiedzieli, co nawywijał. To prawda, silnik fiata był podrasowany. Marek Kępiński był z zawodu mechanikiem samochodowym, wiedział, co zrobić, żeby samochód był zrywny. Mieli kluczyki, nie przewidywali kłopotów. Kto mógł przypuszczać, że policjant będzie strzelał i co gorsza, że trafi.

Kloc spojrzał na Amelię, było mu jej szczerze żal. Gdyby tylko mógł cofnąć czas. Wtedy to całe włamanie to dla niego była draka, przygoda. Poza tym Bożydar Kępiński twierdził, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik i nie muszą się niczego obawiać.

Właściciel sklepu dostanie, co jego, a oni też skorzystają. Marek chciał jechać za Amelią do Włoch, potrzebował kasy. Bożkowi sprzedawanie w kiosku Ruchu namolnym klientom tak uprzykrzyło życie, że nic, tylko mówił, że wraca na wieś. Kupi dom, kawałek pola. Będzie na swoim. A on o niczym nie myślał, miał ochotę przeżyć przygodę, zaszaleć. Tego złota było mnóstwo, mogli zrealizować swoje plany. Układ z właścicielem sklepu był taki, że oni zabierają złoto, a on zgarnia kasę z ubezpieczenia i bierze z powrotem połowę zrabowanej biżuterii. Miałby czysty zysk. Zamknąłby sklep z zarobkiem. Po czasie okazało się, że starszy Kępiński miał całkiem inny plan i nie zamierzał się z nikim dzielić. A może chciał się z nimi podzielić, tylko nie zdążył? Gnając na złamanie karku spod Tęczy, nie wiedzieli, że Marek Kępiński umrze. Nie wiedzieli, że jest aż tak poważnie ranny. Gdyby tylko zdawał sobie z tego sprawę, to nie bacząc na okoliczności, pojechaliby prosto do szpitala. Ale gdy dojechali do domu Bożydara, okazało się, że Marek nie oddycha. Już nie żył. Wpadli w panikę. On, Sebastian, był na skraju hysterii. Bożek zorientował się w sytuacji, kazał mu wracać do domu i zapomnieć o tym, co widział. Łatwo mu było mówić. Nie pamięta, jak przeżył te następne miesiące targany nieustającymi wyrzutami sumienia. Najgorsze jest to, że nie miał kontaktu z Amelią, bo do złota to on wagi nie przywiązywał. Było mu całkiem obojętne. Naprawdę nie wiedział, że Bożydar pochował kuzyna w grobie Sierszy-Janickiego. Tak samo nie miał pojęcia, że schował tam biżuterię. Kępiński powiedział mu, że im mniej będzie wiedział, tym dla niego lepiej, a jak sprawa przyschnie, to sprzeda biżuterię i wtedy podzieli się kasą. W pół roku potem Bożydar Kępiński już nie żył. Wszelkie znane sobie tajemnice zabrał do grobu. Dopiero teraz tak wszystko odżyło. On, Sebastian Kloc, jest gotowy odpowiedzieć za wszystko, co zrobił. Nie zrobił wiele, ale gdyby istniała taka konieczność... Przeszłości nie zmieni. Teraz najważniejsza jest terażniejszość i przyszłość, czyli zdrowie Amelii.

Sebastian odsapnął i podniósł wyżej głowę. Czuł się jak po wyczerpującej spowiedzi, zmęczony, ale usatysfakcjonowany. Myślał, w jaki sposób mógłby pomóc Amelii.

Ona nadal zastanawiała się, jak by jej życie wyglądało, gdyby Marek nie zginął. Może byliby razem, a może wręcz przeciwnie – rozstaliby się w gniewie i nienawiści. Skoro porwał się na włamanie, zamiast uczciwie zapracować, to może nie był to jego pierwszy raz, może go nie znała? Aż się wzdrygnęła na te bluźniercze myśli. Jak ona mogła? I tak naprawdę, dlaczego się czepia? Przecież wiedziała, do czego jest mu potrzebny samochód, nie zaprotestowała, jeszcze dała mu dobrowolnie kluczyki do fiata. Nie zrobiła nic. Na obwinianiu wszystkich spędziła długie dwadzieścia lat. Pamięta, najpierw czekała, aż Marek się odezwie. To nie był czas telefonów komórkowych i internetu. Raczej czas telefonów stacjonarnych, połączeń międzynarodowych i listów.

– O właśnie, listów – wtrącił się komisarz. – Gdyby pani była taka uprzejma i spojrzała na skrawek listu odnaleziony w grobowcu. Wygląda na to, że Marek Kępiński miał przy sobie pani zdjęcie i list. Zdjęcie w czasie ucieczki wypadło mu z kieszeni, podniósł je dzielnicowy Białek i nie przekazał do akt, natomiast z listem został pochowany. O tutaj, zaraz pani pokażę.

Komisarz zaczął przegrzebywać korytko z podręcznymi dokumentami. Teczka z listem leżała przyłożona stertą papierów na samym dnie. Komisarz wyciągnął ją i podał siedzącej naprzeciw Amelii. Ta wzięła teczkę do ręki, zerknęła i rozplakała się.

– To jego pismo – powiedziała przez łzy. – Tak mieliśmy umówione, że gdyby nie dzwonił, gdyby się coś stało, to takim miejscem do kontaktu będzie Tęcza. Tam się poznaliśmy, gdy przyszliśmy dorobić klucze. Tam w razie czego miał mi zostawić wiadomość. Potem uzgodniliśmy, że najlepiej będzie, jeżeli jak najszybciej wyjadę, tak żeby nas nikt nie kojarzył, żeby mi było łatwiej rozwód dostać. – Amelia znowu zaczęła rozdzierająco łkać.

Zgromadzeni dookoła niej mężczyźni nie wiedzieli, w jaki sposób mają zareagować. Czekali, aż sama się uspokoi. Nic takiego nie następowało, a płacz przeradzał się w łkanie. Amelia nie miała zamiaru odpowiadać na dalsze pytania. Zamierzała solidnie się wyplakać i zastanowić co dalej. Niestety nie umiała zapanować nad płynącymi łzami. Co ona teraz mogła zrobić? Nic, tylko czekać. Zaniósła się szlochem, a komisarz postanowił zareagować. Nie miał doświadczenia z damskimi łzami, małżonka do płaczących nie należała, ale pamiętał o złym stanie zdrowia pani Amelii. Taki atak mógł się dla niej tragicznie skończyć.

– Krzysiek, biegnij po doktora Jastrzębka, to w końcu też lekarz – zadysponował, a sam wstał i nalał zimnej wody do plastikowego kubka. Nie mieli nic na uspokojenie, ale miał nadzieję, że doktor coś ze sobą przyniesie.

Doktor Jastrzębek nie zamierzał bawić się w internistę, tylko wezwał pogotowie. Pani Amelia potrzebowała fachowej pomocy.

Resztę wyjaśnień miał złożyć Sebastian Kloc.

Wiedzieli już, kto i dlaczego zorganizował włamanie, wiedzieli, gdzie został ukryty łup z włamania, i co najważniejsze – wiedzieli, kim był i jak się nazywał pochowany z Aleksandrem Sierszą-Janickim mężczyzna. Tak jak przypuszczali, Kępiński wiedział, że może pochować kuzyna w grobowcu. Gdyby chciał załatwić wszystko drogą formalną, urządzić normalny pogrzeb, to musiałby wyjaśnić lekarzowi wypisującemu akt zgonu, skąd się wzięła kula w plecach kuzyna. Wtedy mógłby pomarzyć o realizacji swoich planów. A tak miał nadzieję, że sprawa przyschnie. W każdej chwili mógł dostać się do grobowca, rozkuć wylewkę i wyciągnąć puszkę z biżuterią. Czuł się pewnie. Sebastian zniknął mu z oczu

pograżony w nasilającej się depresji, a Amelia już nie wróciła z Włoch. Tylko ona mogłaby złożyć doniesienie na policję, ale najpierw czekała, aż Marek przyjedzie, a potem już nie czekała. Trwała w pełnym urazów i pretensji żalu i nieustającej żałobie. Wiedziała, że Marek nie żyje, ale nikt, nawet pani Emelina Krancowa, nie zdawał sobie sprawy z tego, co zdarzyło się w noc z czwartku na piątek. Gdyby nie przymusowa sytuacja, to nigdy nie przyjechałaby do Oświęcimia. Ale rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy i wiedziała, że gdzieś czeka na odkrycie łup z tamtego włamania. Zamieszkała w domu pani Emeliny, tym samym, w którym całe lata temu mieszkał Aleksander Siersza-Janicki, i rozpoczęła własne dochodzenie. Szybko zorientowała się, że nie ma talentów śledczych i tylko łut szczęścia może dopomóc jej w odnalezieniu biżuterii. Łutu szczęścia też zabrakło. Gdy zrozpaczona przywędrowała nad rzekę, myślała tylko o jednym; w jaki sposób rozstać się z życiem. Gdzieś czytała, że obciążone kamieniami ciało idzie szybko na dno. Przypomniała sobie sceny z filmów i słynne, mafijne betonowe buty. Zebrała kamienie. Torba była tak ciężka, że nie mogła jej podnieść. Wtedy rozplakała się i po prostu odeszła. Brakło jej sił, by popełnić samobójstwo.

Aspirant Maciejak zrelacjonował komisarzowi opowieść pani Emeliny. Cóż, mogli jej tylko podziękować za dobrą wolę i chęć niesienia pomocy. Pani Emelina powiedziała, co chciała, zaś to, co uważała, zachowała przy sobie. Na pewno wiedziała dużo więcej, niż powiedziała Maciejakowi. Na sprawę włamania machnęła ręką, śmierć Bożydara i Marka Kępińskich pominęła wymownym milczeniem. Dla niej ważne było zdrowie i życie Amelii. To o nią martwiła się najbardziej. Wiedziała, że Amelia nie poradzi sobie bez pomocy przyjaciół. Ubzdurzała sobie, że jej ciało jest siedliskiem nowotworu, nie umiała powiedzieć którego, w zależności od okoliczności to chorowała na białaczkę, to znowu miała raka płuc. Czasami tak się dusiła, że pani Emelina zaczęła dużo poważniej patrzeć na objawy choroby nękające przyjaciółkę. Chciała, by ta trafiła w końcu w ręce solidnego lekarza, a nie szarlatana nastawionego na wyciągnięcie jak największej kasy i straszenie. Amelia była chora, ale nie śmiertelnie. Potrzebowała bodźca, aby żyć.

* * *

Wincenty Szumiejko odetchnął z ulgą. Mniejsza o pieniądze, jakoś się z Emeliną rozliczą. Najważniejsze, że ten samozwańczy właściciel grobowca przyznał się do sfałszowania testamentu Sierszy-Janickiego. Okazało się, że całe lata temu nobliwy pracował w kancelarii notarialnej, którą w Krakowie prowadził Aleksander Siersza-Janicki. Stąd jego wiedza na temat stanu posiadania pryncypała i nie tylko pryncypała. Nobliwy odszedł z pracy w kancelarii i zajął się inną sferą działalności. Wiedział, że były szef zmarł, i był przekonany,

że został pochowany na krakowskim cmentarzu. Pamiętał, że Siersza-Janicki opłacał dwa grobowce – jeden, rodzinny, na Salwatorze, drugi, pusty, na oświęcimskim cmentarzu. Nawet przez moment nie podejrzewał, że notariusz spoczął na cmentarzu w Oświęcimiu, w rezerwowym grobowcu. Był w szoku, gdy dowiedział się, że kamieniarz zastał w grobowcu szczątki ludzkie, i to podwójne! Taki pech! Przez wiele lat podrabiał akty kupna i sprzedaży kamienic i grobowców, podrabiał testamenty. Zarabiał na tym całkiem spore pieniądze. A teraz taka wpadka!

Wincentego nadal gnębiła kwestia alarmu. Być może był przeczulony, ale wizja grobowca wypchanego wszelakim dobrem była dla niego jak najbardziej realna. Musiał zwrócić na to uwagę aspirantowi Maciejakowi.

Na razie czekało ich uczestnictwo we wspólnym pogrzebie. Wincenty ledwo ochłonął po odnalezieniu biżuterii, by za moment podniecać się informacjami na temat okoliczności zatrzymania nobliwego. Następny dzień nie był dla niego łatwiejszy. Okazało się, że prawowitą właścicielką grobu jest jego koleżanka ze szkoły, Emelina Krancowa. Teraz musieli zorganizować pogrzeb i powtórne pochowanie nieboszczyków w połyskującej na zielono budowli.

Przed otwartą kaplicą cmentarną zgromadzili się wszyscy zainteresowani. Był Antoni, odmłodzony i pogodzony z przeszłością, Alfredo i Eligiusz, obaj zapatrzeni w jeszcze bladą i słabą, ale spokojną Amelię. Amelia wypisała się ze szpitala na własne żądanie. O sobie się już nie bała. Uczestnicząc w mszy, mogła pożegnać się na zawsze z Markiem i zakończyć smutny etap swego życia. Gruntowne badania wykazały, że choruje na astmę, która w połączeniu z szybko postępującą osteoporozą potrafi mocno uprzykrzyć życie. Nie była ani śmiertelnie chora, ani sama, miała obok siebie przyjaciół. Przy Amelii usiadł Wincenty z małżonką. Był zmęczony, ale zadowolony, że to fatalne zlecenie dobrze się skończyło. Na skrawku ławki przysiadł ich syn Jan, obok odświętnie ubrani, z książeczkami do modlenia w rękach i w towarzystwie żon stali jego pracownicy.

Po drugiej stronie ołtarza miejsca zajęli komisarz Ożegalski i aspirant Maciejak, trzymający w rękach piękną wiązkę białych tulipanów. Komisarz nadal nie mógł uwierzyć, że to właśnie jemu trafiła się sprawa tak ciekawa i nietypowa, jakby wyjęta z kart powieści detektywistycznej. Teraz wiedział, że wszystko w życiu może się zdarzyć. Przy końcu ławki usiadł aspirant Rokicki, obok przystanął stażysta Buciek.

Rokicki nie siedział zbyt długo, bo nagle zrobiło się zamieszanie i energicznym krokiem weszła pani Emelina Krancowa. Aspirant poderwał się na równe nogi i elegancko zaoferował jej wolne miejsce. Spojrzawszy na niego łaskawie, usiadła obok aspiranta

Maciejaka i zerknęła z aprobatą na kwiaty. Były piękne.

Msza trwała krótko, ale była dostosowana do okoliczności, pełna nostalgii i wspomnień. Szczątki Aleksandra Sierszy-Janickiego i Marka Kępińskiego pan Antoni włożył do wspólnej trumny. Nadal mieli razem spoczywać w pokoju, w od nowa poświęconym grobowcu.

Biżuteria została ulokowana w depozycie policyjnym. Czekają ich długie śledztwo i sprawdzanie, komu należy ją zwrócić. W tej sprawie nadal nic nie było proste. Właściciel sklepu od dawna nie żył. Rodzina twierdziła, że o niczym nie wie. Ubezpieczyciel dawno zakończył swoją działalność. Pozostawało przekazanie Skarbowi Państwa lub na cele charytatywne.

Grupa dowodzona przez komisarza Ożegalskiego w rezultacie miała niemałe zasługi i w niepamięć poszły groźby komendanta dotyczące obciążenia i tak skąpo wydzielanej premii. Nie musieli się wstydzić. Pozostawało im do wyjaśnienia, kim naprawdę jest nobliwy. W nazwisko Jan Kowalski jakoś żadnemu z nich nie chciało się wierzyć. Czekali na informacje z Centralnej Bazy Danych, a gdy je otrzymali, okazało się, że mogą przy okazji zamknąć jeszcze parę spraw. Wszystko wskazywało na to, że przeczucia pana Wincentego nie były pozbawione podstaw. Jan Kowalski vel Jan Jankowski był poszukiwanym przez policję dilerem narkotyków. Bardzo pomysłowym dilerem. Bo tylko pomysłowy diler mógł wpaść na pomysł trzymania narkotyków w urnach. O uprawianym przez niego procederze wiedziały tylko dwie osoby – Maciej Sroka i Łukasz Szyszka, wielbiciele czarnych, skórzanych kombinezonów i doraźnej przemocy łagodzonej podręcznym chloroformem. Zostali zidentyfikowani dzięki odciskom palców pozostawionym na kłódce zamykającej kratę grobowca. Jan Kowalski wszystkiemu zaprzeczał. Któż to widział, aby właściciel doskonale prosperującej, znanej agencji handlu nieruchomościami parął się czymś tak obrzydliwym jak rozprowadzanie narkotyków?! Brak przyznania się do winy nie świadczy o niewinności podejrzanego, niemniej jednak komisarz zdawał sobie sprawę, że od podejrzenia, ba!, od złapania na prawie gorącym uczynku do skazania sprawcy wiedzie długa, najeżona trudnościami droga.

Zapowiadała się ciężka oraz bardzo pracowita jesień.

* * *

Amelia pedantycznie pakowała walizki. Ubrania układała w równą kostkę, tak by wszystkie się zmieściły. Była smutna, ale spokojna. Za sobą zostawiała ponad pięćdziesiąt lat życia. Przed sobą miała ich nie wiadomo ile, ale zamierzała cieszyć się każdym odzyskanym

dniem. Postanowiła, że wróci do domu, do Sorrento. Dostała lekarstwa, wiedziała, jaki tryb życia powinna prowadzić, czego unikać. Wszyscy byli dla niej mili i wyrozumiali. Otrzymała więcej, niż mogła się spodziewać. Zlustrowała pokój, rzeczy zostały ułożone na swoim miejscu, zamknięte walizki ustawiła obok łóżka. Cierpliwie czekała na zamówioną wcześniej taksówkę. Pokój wysprzątała, tak aby Emelina nie narzekała na bałagan. Już się pożegnały, jak zawsze serdeczne i bliskie sobie.

Na chwilę, zmęczona, przysiadła na łóżku. Usłyszała klakson i poderwała się momentalnie. Musiała się spieszyć, taksówkarz już pukał do drzwi. Otworzyła je i zamarła w progu.

Po chwili pokój miała pełen gości. Starsi panowie w komplecie, aspirant Maciejak niespotykanie elegancki, prowadzący pod rękę panią Emelinę. Obok komisarz Ożegalski, aspirant Jerzy Rokicki i stażysta Krzysztof Buciek z bukietem obłędnie pachnących herbacianych róż w ręku.

Na szarym końcu, nieśmiało, z niebieskim zeszytem w ręku, wsunął się Sebastian Kloc, poeta. Drżącymi rękami nałożył na krótkowzroczne oczy okulary, otworzył zeszyt, dla dodania sobie animuszu odchrząknął kilka razy i nieco się jękając wyrecytował:

*Dziś Amelia nasza miła
Drugi raz się urodziła.
Czarująca, uśmiechnięta
I na co dzień i od święta.*

*Wszyscy się z jej odmiany
Jak dzieci cieszymy.
Amelio nasza droga – nie wyjeżdżaj,
Bardzo prosimy...*

Tu głos mu się załamał, całe szczęście, że goście zaczęli klaskać i zrobił się taki gwar, że nikt nie usłyszał aspiranta Maciejaka mruczącego pod nosem:

– Ludu złoty, jak to jest poezja, to chyba sam wezmę się za pisanie.

Posłowie

Cmentarz Parafialny w Oświęcimiu w 1986 roku został uznany za obiekt zabytkowy. Od lat jest to miejsce spoczynku oświęcimian, w tym najznamienitszych obywateli miasta. To tutaj w 1842 roku został pochowany Kajetan z Brzezia Russocki herbu Zadora, adiutant cesarza Napoleona Bonaparte, właściciel Oświęcimia. Tu spoczęli burmistrzowie – żeby tylko wymienić Antoniego Słowińskiego i Edwarda Jaśkiewicza, radny, mistrz malarski i naczelnik straży pożarnej w Oświęcimiu Michał Gawiński oraz malarze, z Marianem Giebułtowskim i Janem Szczęsnym Stankiewiczem na czele. Znajdziemy na cmentarzu nagrobek niesłychanie zdolnego, przedwcześnie zmarłego rzeźbiarza Leona Szuberta, a także naczelnika poczty Aleksandra Orłowskiego, twórcy między innymi marsza żałobnego *W mogile ciemnej śpij na wieki*. Są tutaj także pochowani wybitni proboszczowie oświęcimscy: Jan Skarbek, Andrzej Knysz, Józef Joniec – bohaterski żołnierz spod Monte Cassino. Są też nauczyciele, Helena i Józef Skarbkowie, Stefan Chowaniec, klan nauczycielski Tobiczaków. Blisko wejścia na cmentarz, w grobowcu rodzinnym spoczywa Apolonia Pomietlarz, znana jako Pola Bukietyńska. Gwiazda Opery Śląskiej w Bytomiu. Do dzisiaj pamiętam dźwięk jej kryształowego głosu.

Blisko kwatery ułanów poległych w tysiąc dziewięćset czternastym roku leży cichutko pan Henryk Lehnert, filmowiec nieprofesjonalny, pierwowzór bohatera filmu Krzysztofa Kieślowskiego *Amator*, człowiek niesłychanie skromny i życzliwy światu. Tak ich wielu na tych niespełna trzech hektarach.

Jak każdy cmentarz, tak i ten ma swoje, skrywane głęboko, tajemnice. Ta opisana w książce jest wytworem mojej wyobraźni, ale oczywiście wszystko może się zdarzyć.

Zazwyczaj zaznacza się, iż zbieżność osób i nazwisk jest przypadkowa. I tak w części jest. Katechetka Antonina Małysiak to moja katechetka z lat, gdy lekcje religii były atrakcją, a nie obowiązkiem.

Opisane zdarzenia w dużej części są fikcją literacką, ale nie w całości. Wyobraźni i dociekliwości Czytelnika pozostawiam odgadnięcie, co zdarzyło się naprawdę, a co mogło się zdarzyć.

Licząc na poczucie humoru i dystans, do grona pracowników Komendy Powiatowej Policji pozwoliłam sobie dokooptować komisarza Sławomira Ożegalskiego, aspiranta Zygmunta Maciejaka, młodszego aspiranta Jerzego Rokickiego i stażystę Krzysztofa Bućka. Bardzo dobrze im się pracowało.

Wszystkie obiekty zabytkowe, sklepy, kawiarnie, ulice, miasto Oświęcim i rzeka Soła

z nadbrzeżnymi Plantami istnieją naprawdę.



ABC

**WYSZEDŁ
Z DOMU
I NIE WRÓCIŁ**

IWONA MEJZA

Oficyna